

7

**DUCHY
ZJAWY
UPIORY**

Krajowa Agencja Wydawnicza



DUCHY, ZJAWY, UPIORY



KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA WARSZAWA 1979

WILHELM HAUFF (1802 — 1827)
OPOWIEŚĆ O STATKU UPIORÓW

Młodo zmarły prozaik niemiecki, któremu przedwczesna śmierć nie pozwoliła się w pełni wypowiedzieć. Autor opowiadań i nowel („Lichtenstein”, „Karawana”, „Gospoda w Spessarcie”), próbujący swoich sił zarówno w tematyce historycznej jak i egzotycznej i współczesnej.

Mój ojciec miał niewielki sklepik w mieście Basra. Nie był ani biedny, ani bogaty, a należał do ludzi, którzy niechętnie podejmują ryzyko, z obawy że stracą i to ubogie mienie, jakie posiadają. Wychowywał mnie w zasadach skromności i prawości i po niedługim czasie doczekał się w mej osobie cennego pomocnika. Kiedy ukończyłem lat osiemnaście, on zaś dokonał właśnie pierwszej poważniejszej spekulacji, zmarł, zapewne ze zgryzoty, iż tysiąc złotych monet morzu powierzył. Wkrótce śmierć tę musiałem uznać za los szczęścia, nie minęło bowiem wiele tygodni, jak nadeszła wiadomość, iż statek, który wiozł majątek ojca, za-tonął. Fatalny ten wypadek nie zdołał jednak załamać mego młodzieńczego męstwa. Wszystko, co ojciec pozostawił mi w spadku, zamieniłem na pieniądze i wyruszyłem w świat, by spróbować szczęścia na obczyźnie, mając za jedynego towarzysza starego sługę mego ojca, który z racji wieloletniego przywiązania nie chciał rozstać się ze mną i mym losem.

Przy pomyślnym wietrze wsiedliśmy na statek odpływający z portu Basra. Celem podróży tego statku, na którym wynajęliśmy miejsca, były Indie. Płynęliśmy wytyczoną trasą już dwa tygodnie,

kiedy kapitan zapowiedział zbliżającą się burzę. Miał przy tym zatroskaną minę, zdawało się bowiem, iż zna tutejsze wody nie na tyle, by móc spokojnie stawić czoło wichrowi. Kazał opuścić wszystkie żagle, i płynęliśmy dalej całkiem powoli. Noc zapadła, chłodna i jasna, i kapitan sądził już, że się omylił co do oznak zapowiadających burzę. Nagle statek jakiś, którego wcześniej nikt z nas nie widział, śmignął tuż obok naszego. Z pokładu owego statku dobiegały dzikie chichoty i wrzaski, co mnie w tych pełnych grozy chwilach przed burzą niepomiernie zdumiało. Jednakże kapitan stojący u mego boku pobrał śmiertelnie.

— Mój statek jest zgubiony — wykrzyknął — tam oto żegluje śmierć!

Nim zdążyłem go spytać o znaczenie tego dziwnego okrzyku, nadbiegli ku nam marynarze, zawodząc i lamentując:

— Czyście go widzieli? Teraz już po nas!

Kapitan kazał recytować pogrzebujące wersety z Koranu, a sam zasiadł u steru. Na próżno jednak! Wicher z każdą chwilą przybierał na sile, i nie minęła godzina, a statek zatrzeszczał i osiadł na mieliźnie. Spuszczono łodzie, i ledwie ostatni marynarze zdołali się uratować, statek w naszych oczach zatonął, ja zaś popłynąłem w morze jak żebrak. Niedola nasza na tym się jeszcze nie skończyła. Burza szalała coraz gwałtowniej, łodzią nie można już było kierować. Objąłem mocno starego sługę i przysięgliśmy sobie, że jeden drugiego nigdy nie opuści. Wreszcie zaczęło świtać. Lecz z pierwszym brzaskiem jutrenki huragan uderzył w łódź, którą płynęliśmy, i przewrócił ją. Nie ujrzałem już więcej żadnego z towarzyszy podróży. Wpadając do wody straciłem przytomność; kiedy się obudziłem, leżałem w ramionach starego wiernego sługi, który wdrapał się na przewróconą łódź i mnie za sobą pociągnął. Burza ucichła. Po naszym statku nie zostało ani śladu, ale w niewielkim oddaleniu ujrzeliśmy inny statek, i w jego stronę niosły nas fale. Gdyśmy się do niego zbliżyli, rozpoznałem, że on to właśnie mijał nas nocą i w takie przerażenie wprowadził kapitana. Dziwną grozę budził we mnie ten statek. Wypowiedź kapitana, która takie złowrogie znalazła potwierdzenie, pustka, jaką zionął statek — na jego pokładzie nikt się nie pokazywał, chociaż podpłynęliśmy tak blisko i wołaliśmy tak głośno — wszystko to przejmowało mnie lękiem. Był to jednak jedyny nasz ratunek, i chwaliliśmy Proroka, który zgotował nam tak

cudowne ocalenie.

Z dzioba statku zwieszała się długa lina. Chcąc się jej uchwycić, wiosłując rękami i nogami skierowaliśmy ku niej naszą łódź, wreszcie udało nam się szczęśliwie podплыnąć gdzie należy. Krzyknąłem gromkim głosem, ale na statku panowała wciąż głucha cisza. Jęliśmy wspinać się po linie, jako młodszy wiekiem ruszyłem pierwszy. Lecz, o zgrozo! jakież widok ukazał się moim oczom, gdy wstąpiłem na pokład! Jego deski czerwone były od krwi, dwadzieścia, a może i trzydzieści trupów w tureckim odzieniu leżało dokoła, wsparty o środkowy maszt, stał mężczyzna bogato ubrany, z szablą w dłoni, ale z twarzą bladą i wykrzywioną, w czoło miał wbity potężny gwóźdź, który go do masztu przytwierdzał. Nie śmiałem prawie oddychać. Na koniec zjawił się i mój towarzysz. I jego także zaskoczył widok pokładu, gdzie było pełno straszliwych trupów, lecz ani śladu żywej istoty. Odważyliśmy się wreszcie, poleciwszy wylęknione dusze opiece Proroka, zapuścić się dalej. Za każdym krokiem rozglądaliśmy się dokoła, czy aby nic nowego, jeszcze straszliwszego, z jakiego kąta nie wychynie. Wszystko jednak trwało w nie zmienionym stanie. Jak okiem sięgnąć ani żywej duszy, tylko my dwaj i przestwór morza. Nie śmieliśmy nawet głośno mówić, z obawy że przybity do masztu martwy kapitan zechce obrócić ku nam swe nieruchome oczy albo że któryś z zabitych podniesie nagle głowę. Dotarliśmy w końcu do schodów prowadzących w głąb statku. Mimo woli przy-stanęliśmy obaj i popatrzyliśmy na siebie, żaden nie śmiał bowiem wyrazić swoich myśli.

— Panie mój — rzekł wierny sługa — wydarzyły się tutaj straszne rzeczy. Ale jeśli nawet tam na dole pełno jest morderców, wolę już zdać się na ich łaskę i niełaskę niż dłużej przebywać wśród samych trupów.

Myślałem podobnie jak on, zdobyliśmy się więc razem na odwagę i, pełni oczekiwania, poczęliśmy zstępować na dół. Jednakże i tutaj panowała śmiertelna cisza, i tylko nasze kroki rozbrzmiewały na schodach. Stanęliśmy przed drzwiami kajuty. Przyłożyłem do nich ucho i nasłuchiwałem: nie dobiegł mnie jednak żaden odgłos. Otworzyłem drzwi. Wnętrze przedstawiało obraz wielkiego nieporządku. Przyodziewek, broń i wszelki sprzęt poniewierały się wszędzie. Ani cienia jakiegokolwiek ładu. Załoga, a co najmniej sam kapitan, niedawno tu za-pewne ucztowała, ślady libacji były bowiem

wyraźne. Szliśmy dalej od jednego pomieszczenia do drugiego, od kajuty do kajuty, wszędzie piętrzyły się obfite zasoby jedwabiu, pereł, cukru i innego dobra. Nie posiadałem się z radości widząc to, sądziłem bowiem, jako że nikogo na statku nie było, iż wszystko może stać się moją własnością. Ibrahim zwrócił mi wszelako uwagę, że znajdujemy się zapewne bardzo daleko od lądu i o własnych siłach, bez ludzkiej pomocy, nigdy tam dotrzeć nie zdołamy.

Uraczywszy się do woli jadłem i napojami, których znaleźliśmy pod dostatkiem, wróciliśmy na pokład. Wciąż jednak skóra nam cierpła od straszliwego widoku zalegających wszędzie trupów. Postanowiliśmy uwolnić się od nich i wyrzucić je za burtę. Jakież było nasze przerażenie, gdy okazało się, że żadnego z nich nie można ruszyć z miejsca. Wszystkie były jak przyrosnięte, i aby je usunąć, trzeba by pozrywać deski z pokładu, do tego zaś brakowało nam odpowiednich narzędzi. Nie sposób też było zdjąć kapitana z masztu ani nawet wyciągnąć szabli z jego zeszywniałej dłoni. Spędziliśmy dzień na smętnym rozpamiętywaniu naszego położenia, a kiedy noc zapadać poczęła, zezwoliłem staremu Ibrahimowi udać się na spoczynek, sam zaś zamierzałem czuwać na pokładzie i wypatrywać ratunku. Ledwie jednak księżyc wzeszedł, ja zaś wedle układu ciał niebieskich poznałem, iż jest godzina jedenasta, ogarnęła mnie senność tak przemożna, że padłem bez czucia za beczkę stojącą tuż obok. Był to zresztą nie sen, lecz raczej rodzaj ośpienia, słyszałem bowiem wyraźnie uderzenia fal o kadłub statku, skrzywienie masztów i świst wichru w żaglach. Nagle wydało mi się, że na pokładzie rozbrzmiewają jakieś głosy i kroki męskie. Chciałem wstać, aby się rozejrzeć. Jednakże niewidzialna siła spętała mi członki, nawet oczu nie mogłem otworzyć. Tymczasem głosy stawały się coraz mocniejsze, odnosiłem wrażenie, że to załoga krząta się rażno po pokładzie. Chwilami zdawało mi się, że słyszę donośny głos dowódcy, to znów pociąganie za liny, zwijanie i rozwijanie żagli. Coraz to jednak traciłem świadomość, zapadłem w głębszy sen, tak że słyszałem już tylko coś niby szczekanie broni, a zbudziłem się dopiero wtedy, gdy słońce stało już wysoko i świeciło mi w twarz. Rozejrzałem się zdumiony: burza, statek, zabici i to, co się działo w nocy, wydawało mi się snem jedynie, bo kiedy otworzyłem oczy, wszystko było jak wczoraj. Nieruchomo leżeli zabici, nieruchomo stał kapitan, przybity do swego masztu. Śmiałem się wspominając

niedawny sen i udałem się na poszukiwanie starego sługi.

Zastałem go w kajucie pogrążonego w głębokiej zadumie.

— O panie mój! — wykrzyknął, widząc mnie. — Wolałbym spocząć na dnie najgłębszego z mórz, byle nie spędzać jeszcze jednej nocy na tym przeklętym statku.

Spytałem go o przyczynę tak zgryźliwego humoru, on zaś mi odpowiedział:

— Pospawszy kilka godzin, zbudziłem się i usłyszałem nad głową gwałtowną bieganinę. Myślałem zrazu, że twoje to kroki, panie, wszelako musiało tam chodzić ze dwudziestu chłopca co najmniej, dobiegły mnie zresztą wołania i krzyki. Na koniec rozległy się na schodach czyjeś ciężkie kroki. Opuściła mnie wtedy całkiem wszelka przytomność, od czasu do czasu wracała mi tylko na chwilę, i wtedy to ujrzałem męża, który stoi tam na górze przygwożdżony do masztu, siedzącego przy tym oto stole: śpiewał on i popijał, zaś ów, co leży nie opodal w szkarłatnej szacie, siedział obok niego i pomagał mu w picciu.

Tak oto prawił mój stary sługa.

Możecie mi wierzyć, drodzy bracia, że nie było mi wesoło na duszy: otóż nie uległem bynajmniej złudzeniu i także słyszałem owych umarłych. Podróż w takim towarzystwie budziła we mnie grozę. Mój Ibrahim pogrążył się w głębokich rozmyślaniach.

— Wiem już! — wykrzyknął wreszcie; przypomniał sobie bowiem zakłęcie, którego nauczył go jego dziad, doświadczony, bywały w świecie człowiek, a które miało pomagać przeciwko wszelkim duchom i czarom; zapewnił mnie również, że najbliższej nocy pokonamy ów nienaturalny sen, jaki nas opadł, jeśli z należytą gorliwością recytować będziemy wersety z Koranu. Propozycja starego spodobała mi się. W trwożnym oczekiwaniu wyglądaliśmy nadchodzącej nocy. Obok kajuty znajdowała się niewielka komórka, i tam właśnie postanowiliśmy się ukryć. W drzwiach wywierciliśmy parę otworów, dostatecznie dużych, aby patrząc przez nie można było objąć wzrokiem całą kajutę; następnie zamknęliśmy drzwi od środka, najszczelniej, jak się tylko dało, a Ibrahim wypisał w każdym z czterech kątów imię Proroka. I tak oczekiwaliśmy koszmarów nocy. Około godziny jedenastej zaczęła mnie znów ogarniać gwałtowna senność. Mój towarzysz poradził mi odczytać parę wersetów z Koranu, co mi istotnie bardzo pomogło. Nagle w górze nad nami

zaczął się jakby ruch, liny jęły trze-szczeć, kroki zadudniły po pokładzie, dały się słyszeć rozliczne głosy. Przez kilka minut wy-czekiwaliśmy w napięciu, aż wreszcie na schodach wiodących do kajuty rozległy się czyjeś kroki. Słyszając to, stary począł recytować owo zaklęcie, którego dziad go nauczył dla obrony przed czarami i upiorami:

*Czy z niebieskich splotacie przestrzeni,
Czyli morską wydaje was fala,
Czy też ogień was rodzi z płomieni
Lub mrok grobu z otchłani wyzwala —
Skądkolwiek przybywacie, o tajemne duchy,
Allach jest waszym panem, jego macie słuchać.*

Muszę przyznać, że tak naprawdę to nie wierzyłem w moc tego zaklęcia, i włos zjeżył mi się na głowie, gdy drzwi otworzyły się z hałasem. Do kajuty wkroczył ów mąż okazałej postaci, którego widziałem przybitego gwoździem do masztu. Gwóźdź wciąż jeszcze tkwił w jego czole, szablę jednak wsunął do pochwy — za nim szedł ktoś drugi, mniej bogato odziany; jego również widziałem wśród trupów na pokładzie. Kapitan, gdyż on to był niewątpliwie, miał bladą twarz, wielką czarną brodę i dzikie spojrzenie, którym toczył po całym pomieszczeniu. Widziałem go całkiem dokładnie, kiedy przechodził obok naszych drzwi; on zaś zdawał się wcale nie zwracać uwagi na owe drzwi, które nas ukrywały. Obaj mężowie zasiedli przy stole stojącym pośrodku kajuty i jęli rozprawiać głośno, niemal krzycząc, w nie znane; nam mowie. Gadali coraz głośniej i coraz zapalczywiej, wreszcie kapitan huknął zaciśniętą pięścią w stół, aż w całej kajucie zagrzmiało. Rozmówca jego, wybuchnąwszy wściekłym śmiechem, zerwał się i skinął na kapitana, by szedł za nim. Ów wstał również, wyciągnął szablę z pochwy i obaj opuścili kajutę. Odetchnęliśmy swobodniej, kiedy sobie poszli; kres naszych udręk był jednak jeszcze bardzo daleki. Hałas na pokładzie stawał się z każdą chwilą głośniejszy. Słyszeć było spieszłą bieżącą, krzyki, śmiechy i wycie. Nagle rozpętał się isticie piekielny harmider, zdawało nam się po prostu, że cały pokład ze wszystkimi żaglami, ze szczękami broni i ludzkim wrzaskiem zwali nam się na głowę — aż tu ni stąd, ni zowąd zapadła głęboka cisza. Kiedy po upływie wielu

godzin odważyliśmy się wyjść na górę, zastaliśmy wszystko, tak jak było: ani jeden trup nie zmienił położenia, wszystkie były sztywne niby drewno.

Tak mijał nam na statku dzień po dniu: płynęliśmy wciąż na wschód, gdzie też wedle moich obliczeń powinien być znajdować się ląd, ale chociaż w ciągu dnia pokonywaliśmy wiele mil, nocą musieliśmy najwyraźniej przebywać tęże drogę z powrotem, gdyż wschodzące słońce zastawało nas zawsze w tym samym miejscu. Nie potrafiliśmy wytłumaczyć sobie tego stanu rzeczy inaczej jak tym, że w nocy umarli statek nasz zawracali i na pełnych żaglach odrabiali przebytą w dzień drogę. Aby temu zapobiec, przed nastaniem nocy ściągaliśmy wszystkie żagle i stosowaliśmy te same środki co przy drzwiach kajuty: wypisaliśmy na pergaminie imię Proroka oraz zaklęcie dziadka na dodatek i przywiązywaliśmy ów pergamin do zwiniętych żagli. Siedząc w naszej komórce, wyczekiwaliśmy z lękiem na wynik tych zabiegów. Owej nocy upiory szalały, zda się, jeszcze gwałtowniej, lecz, o dziwo, nazajutrz żagle były nadal zwinięte, tak jakśmy je poprzedniego wieczoru zostawili. Na dzień rozwijaliśmy tylko tyle żagli, ile trzeba było, aby statek mógł powoli posuwać się naprzód, i tym sposobem przez pięć dni przepłynęliśmy spory szmat drogi.

Wreszcie rankiem szóstego dnia ujrzeliśmy w niewielkiej odległości ląd, podziękowaliśmy więc Allachowi za tak cudowne ocalenie. Dzień cały płynęliśmy wzdłuż brzegu, zaś siódmego ranka spostrzegliśmy w pobliżu, jak nam się zdawało, mury miasta; z nie lada trudem zarzuciliśmy kotwicę, która rychło na dnie morza spoczęła, spuściliśmy łódź, przymocowaną na pokładzie, i całą siłą wiosła popłynęliśmy ku miastu. Po upływie pół godziny znaleźliśmy się w nurcie rzeki wpadającej tutaj do morza i wysiedliśmy na brzeg. W bramie miasta usłyszeliśmy jego nazwę, okazało się, iż jest to miasto hinduskie, położone całkiem niedaleko od stolicy, która stanowiła pierwotny cel mej wyprawy. Udaliśmy się do karawanseraju, by orzeźwić się po pełnej przygód podróży. Jałem się tam rozpytywać o jakiegoś mądrego i roztropnego człeka, dając przy tym gospodarzowi do zrozumienia, że potrzebny mi jest taki, który znałby się nieco na czarach. Gospodarz poprowadził mnie więc na ustronną uliczkę, pod niepozorne domostwo, zapukał do drzwi, po czym wpuszczono mnie do wnętrza, zalecając jedynie pytać o Muleja.

Z głębi domu wyszedł ku mnie stary człeczyna z siwą brodą i długim nosem i zapytał, czego sobie życzę. Odparłem, że szukam mądrego Muleja, na co starzec rzekł, iż on to jest we własnej osobie. Poprosiłem go tedy o radę, co winienem uczynić z zabitymi i jak mam się zabrać do usunięcia ich ze statku. On mi wyjaśnił, że załoga statku za jakiś czyn występny została zapewne mocą czarów skazana na te morskie peregrynacje; w jego przekonaniu czar ten można odczynić wynosząc ciała zabitych na ląd; tego zaś nie da się dokonać inaczej jak zrywając deski, na których trupy leżą. Zgodnie z nakazami Boga i prawa statek wraz ze wszelkimi dobrami, jakie zawiera, należy do mnie, ja go bowiem znalazłem; winienem jednak trzymać wszystko w ścisłej tajemnicy i ofiarować mu jakiś skromny podarek z osiągniętych bogactw, a on mi za to wraz ze swoimi niewolnikami pomoże pozbyć się trupów. Obiecałem hojnie go wynagrodzić, po czym ruszyliśmy w drogę, zabrawszy pięciu niewolników, wyposażonych w piły i siekiery. Po drodze czarownik Mulej nie mógł się nachwalić naszego szczęśliwego pomysłu, by owinąć żagle wersetami z Koranu. Oświadczył, że był to jedyny dla nas sposób ratunku.

Było jeszcze dość wczesne popołudnie, gdy dobiliśmy do statku. Natychmiast zabraliśmy się do roboty i po upływie godziny cztery trupy leżały już w łodzi. Kilku niewolników musiało popłynąć z nimi na ląd, by je tam pogrzebać. Po powrocie opowiadali, że zwłoki oszczędziły im trudu kopania grobu, gdyż ledwie spoczęły na ziemi, w proch się rozpadły. Piłowaliśmy dalej deski z przyrośniętymi do nich trupami i przed wieczorem wszystkie zostały przeniesione na ląd. W końcu nie było już na pokładzie ani jednego, prócz kapitana przybitego do masztu. Na próżno próbowaliśmy wyciągnąć gwóźdź z drewna — żadną siłą nie można było poruszyć go nawet o włos. Nie wiedziałem już, co robić, nie sposób przecież było rąbać maszt, by przewieźć go na ląd. Mulej znalazł jednak wyjście z tej opresji. Czym prędzej posłał jednego z niewolników, by popłynął łodzią na brzeg i przywiózł garnek wypełniony ziemią. Kiedy niewolnik wrócił, czarownik wypowiedział nad garnkiem jakieś tajemnicze słowa i nasypał trochę ziemi na głowę trupa. Ten natychmiast otworzył oczy, odetchnął głęboko, a rana od gwoździa na jego czole zaczęła krwawić. Teraz udało nam się bez trudu gwóźdź wyciągnąć, ranny zaś osunął się w ramiona jednego z niewolników.

— Kto mnie tu sprowadził? — spytał, przyszedłszy jakby nieco

do siebie. Mulej wskazał w moją stronę, podszedłem więc do niego. — Dzięki ci, cudzoziemcze, wyzwoliłeś mnie od długotrwałej męki. Pięćdziesiąt lat już ciało moje pływa po tych wodach, a dusza skazana była na to, by co noc do niego powracać. Teraz wreszcie głowa moja dotknęła ziemi i mogę już spokojnie odejść do mych przodków. — Na mą prośbę, by nam wyjawiał, jakim sposobem popadł w tak straszne położenie, odpowiedział: — Przed pięćdziesięciu laty byłem potężnym, powszechnie szanowanym człowiekiem i mieszkałem w Algierze; wszelako żądza zysku pchnęła mnie do tego, by wyposażyć statek i ruszyć na pirackie wyprawy. Czas jakiś uprawiałem już ten proceder, gdy pewnego razu w Dżancie wziąłem na pokład derwisza, który pragnął podróżować za darmo. Zarówno ja, jak i moi towarzysze byliśmy surowymi ludźmi, nie zważaliśmy na świętość owego męża, ja zaś wręcz drwiłem sobie z niego. Wszelako gdy on w świętym zapale wypomniął mi raz mój grzeszny żywot, nocą, wypiwszy ze sternikiem w kajucie zbyt wiele, popadłem w srogi gniew. Rozwścieczony tym, co mi powiedział derwisz, a czego nie zniósłbym nawet z ust sułtana, wypadłem na pokład i wbiłem sztylet w pierś zuchwalca. Umierając przeklął on mnie i moją załogę, abyśmy nie mogli umrzeć ani żyć, póki głowy nasze nie spoczną na ziemi. Derwisz zmarł, my zaś wrzuciliśmy go do morza, drwiąc z jego gróźb; jednak te same nocy spełniły się słowa umierającego. Część załogi zbuntowała się przeciwko mnie. Rozpętała się okrutna walka, aż moi zwolennicy zostali pokonani, mnie zaś przybito gwoździem do masztu. W końcu zresztą i buntownicy poumierali z ran, i mój statek zamienił się w jeden wielki grobowiec. Mnie również oczy kołem stanęły i tchu już złapać nie mogłem, sądziłem więc, że umieram. Było to jednak tylko odrętwienie, które trzymało mnie w swej władzy; następnej nocy, o tej samej godzinie, kiedy wrzuciliśmy derwisza do morza, ocknąłem się i ja, i cała moja załoga, wszystko na statku ożyło; nie mogliśmy jednak nic robić i nic mówić prócz tego, cośmy robili i mówili owej nocy. I tak pływamy od lat pięćdziesięciu, nie mogąc ani żyć, ani umrzeć; jakimże bowiem sposobem mieliśmy dotrzeć do jakiegoś lądu? Z szaleńczą radością rzucaliśmy się na pełnych żaglach w każdą burzę, z nadzieją, że statek rozbije się wreszcie o jaką skałę i nasze zmęczone głowy spoczną na dnie morza. Wszystkie nasze wysiłki spełzały jednak na niczym. Teraz dopiero umrę. Raz jeszcze dziękuję ci, nieznany wybawco; jeśli skarby mogą stanowić dla ciebie

nagrodę, to przyjmij ten statek w dowód mej wdzięczności.

Po tych słowach głowa kapitanowi opadła, i wyzionął ducha. Natychmiast też rozpadł się w proch, jak jego towarzysze. Zebraliśmy ów proch do skrzyneczki i zakopaliśmy ją na lądzie; następnie sprowadziłem z miasta robotników, którzy doprowadzili do porządku mój statek. Wymieniwszy z wielkim zyskiem towary, jakie się na nim znajdowały, na inne, nająłem marynarzy, obdarowałem hojnie mego przyjaciela Muleja i pożeglowałem w ojczyście strony. Płynąłem jednak okrężną drogą, przybijałem bowiem do brzegów rozlicznych wysp i lądów, handlując rozmaitymi towarami. Prorok błogosławił moim przedsięwzięciom. Po trzech kwartałach zawinąłem do portu w Basrze, dwa razy bogatszy, niż byłem dzięki spuściźnie, jaką zostawił mi umierający kapitan. Moi ziomkowie podziwiali moje bogactwo i moje szczęście, sądząc, iż znalazłem Diamentową Dolinę słynnego podróżnika Sindbada. Nie odbierałem im tej wiary, wszelako od tej pory wszyscy młodzieńcy z Basry, skoro tylko ukończyli lat osiemnaście, musieli wyruszać w świat, aby podobnie jak ja osiągnąć szczęście. Ja zaś żyłem sobie w spokoju i zadowoleniu i co pięć lat odbywałem podróż do Mekki, aby w tym świętym miejscu dziękować Panu za jego błogosławieństwa i prosić go, by kapitana i jego towarzyszy przyjął do swego raj.

Przełożyła *Emilia Bielicka*

EDWARD GEORGE EARLE BULWER-LYTTON (1803 — 1873)
DUCHY I LUDZIE

Angielski powieściopisarz, dramaturg i mąż stanu. Spośród jego utworów największy rozgłos zdobyły „Ostatnie dni Pompei”. Był on również autorem opowiadań opartych na motywach parapsychologii.

Mój przyjaciel, literat i filozof, powiedział mi kiedyś pół żartem, pół serio:

— Wyobraź sobie, ostatnio odkryłem dom, w którym straszy, i to w samym centrum Londynu.

— Naprawdę straszy? A co... duchy?

— Niestety nie mogę na to odpowiedzieć. Wiem tylko, że sześć tygodni temu wybrałem się z żoną na poszukiwanie pokoiw umeblowanych. Przechodząc cichą uliczką zobaczyliśmy w oknie jednego z domów ogłoszenie: „Pokoje umeblowane”. Ponieważ dzielnica nam odpowiadała, obejrzelśmy mieszkanie i — zapłaciwszy za tydzień z góry — opuściliśmy je po trzech dniach. Żadna ludzka siła nie byłaby w stanie nakłonić mojej żony, by została tam dłużej. I wcale się nie dziwię.

— Coście zobaczyli?

— Wybacz, nie chciałbym, żeby mnie wyśmiano za przesady czy przywidzenia, a z drugiej strony nie mogę wymagać, byś tylko na podstawie moich zapewnień uwierzył w coś, czemu jedynie twoje własne zmysły mogą dać wiarygodne świadectwo.

Powiem tyle, że wyгнаło nas stamtąd wcale nie to, cośmy słyszeli albo widzieli (mógłbyś pomyśleć, żeśmy padli ofiarą własnej podnieconej wyobraźni czy też złośliwego żartu), lecz jakiś nieokreślony strach, który chwycił nas oboje, ilekroć przekraczaliśmy drzwi pewnego nie umeblowanego pokoju, gdzie nie było nic widać ani słychać.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było jednak to, że po raz pierwszy w życiu zgodziłem się z żoną — nigdy nie grzeszyła rozumem — i przyznałem po przespaniu trzech nocy, że nie sposób spędzić tu następnej. Czwartego dnia rano wezwałem więc kobietę, która pilnowała domu i usługiwała nam, oświadczając, że nie jesteśmy zadowoleni z mieszkania i w związku z tym wyprowadzamy się przed upływem tygodnia.

Odparła sucho:

„Ja wiem dlaczego; i tak byliście dłużej niż inni. Niewielu przed wami zgodziło się przespąć tu drugą noc, a nie widziałam takiego, co by został na trzecią. Widocznie były dla was szczególnie łaskawe”.

„Były? Kto?” — spytałem z wymuszonym uśmiechem.

„No, te, co straszą w tym domu, obojętne, kim są. Mnie one nie przeszkadzają. Pamiętam je sprzed lat, kiedy mieszkałam tu nie jako służąca. Wiem, że mi kiedyś przyniosą śmierć. Zresztą wszystko jedno... jestem stara i tak wkrótce umrę. Wtedy połączę się z nimi... ale w tym domu”.

Kobieta mówiła z takim ponurym spokojem, że zdumienie nie

pozwoili mi dalej pro-wadzi rozmowy. Zaplaciliemy za tydzień — szczęśliwi, że nas to tak tanio kosztowało.

— Podniecasz moją ciekawość — rzekłem. — Moim największym marzeniem jest spędzić noc z duchami. Proszę cię, podaj mi adres domu, który opuściłeś tak sromotnie.

Przyjaciół wręczył mi adres i ledwo się rozstaliśmy, pospieszyłem we wskazanym kierunku.

Dom leżał po północnej stronie Oxford Street, w cichym, ale przyzwoicie wyglądającym zaułku. Był zamknięty, w oknie ani śladu ogłoszenia; nikt też nie odpowiedział na moje pukanie. Kiedy zbierałem się do odejścia, zagadnął mnie chłopiec z piwiarni:

— Czy chciał się pan widzieć z kimś z tego domu?

— Tak, slyszalem, że jest do wynajęcia.

— Do wynajęcia! Niestety, staruszka, która tu mieszkała, już nie żyje. Umarła trzy tygodnie temu i nie mogą znaleźć nikogo, kto by tu został, chociaż pan J... tyle daje. Kobiecie, co u niego sprzątała, zaproponował funta tygodniowo za samo tylko otwieranie i zamykanie okien. I to nie chciała.

— Nie chciała? Dlaczego?

— W tym domu straszy; staruszkę, która go pilnowała, znaleźli martwą w jej własnym łóżku. Z szeroko otwartymi oczami. Powiadają, że ją diabeł zadusił.

— Mówiłeś o jakimś panu J... Czy to właściciel domu?

— Tak.

— Gdzie mieszka?

— Na ulicy G... pod numerem...

— Co robi? Prowadzi jakieś interesy?

— Nie, nic takiego. Po prostu samotny człowiek.

Wsunąłem chłopcu w rękę napiwek za wyczerpującą informację i udałem się na ulicę G... leżącą w pobliżu nawiedzanego domu. Szczęśliwie zastałem pana J... w mieszkaniu. Był to starszy człowiek o inteligentnej twarzy i ujmującym sposobie bycia. Przedstawiłem się i od razu wyłuszczyłem cel swojej wizyty. Powiedziałem, że doszły mnie słuchy, jakoby w tamtym domu straszyło, że chciałbym obejrzeć dokładnie miejsce cieszące się tak osobliwą reputacją i że byłbym zobowiązany, gdyby zechciał wynająć mi dom choćby na jedną noc. Wyraziłem też gotowość zapłacenia za to sumy, którą wymieni.

— Szanowny panie — odparł pan J... niezwykle uprzejmie —

dom jest do pańskiej dyspozycji na tak długo lub na tak krótko, jak tylko pan sobie życzy. O czynszu mowy być nie może, a cała korzyść będzie po mojej stronie, gdy wykryje pan przyczyny dziwnych zjawisk, które w tej chwili pozbawiają ten budynek wszelkiej wartości. Nie mogę go wynająć chociażby dlatego, że nie sposób znaleźć kogoś, kto by zechciał utrzymywać go w porządku i otwierać drzwi. Niestety, w domu tym straszy, jeśli można się tak wyrazić, i to nie tylko w nocy, ale i w dzień. Nocą jednak te zjawiska są dużo bardziej przykre i niepokojące. Staruszka, która zmarła trzy tygodnie temu, była ubogą wziętą z przytułku. Moja rodzina знаła ją od dziecka, kiedyś nawet powodziło jej się tak dobrze, że dzierżawiła ten dom od mojego wuja. Była to kobieta wysoce wykształcona i światłego umysłu — jedyna osoba, jaką udało mi się nakłonić do zamieszkania w tym domu. I rzeczywiście po jej niespodziewanej śmierci i po wizycie koronera miejsce to nabrało tak przykrego rozgłosu, że mimo rozpaczliwych starań nie potrafiłem znaleźć dozorczy, a tym bardziej dzierżawcy; chętnie przeto wynajmę dom na rok bez żadnego czynszu każdemu, kto tylko zgodzi się płacić podatki.

— Jak długo już dom ten cieszy się taką opinią?

— Wie pan, trudno powiedzieć, w każdym razie od wielu lat. Staruszka, o której wspomniałem, twierdziła, że kiedy go odnajmowała, już w nim straszyło. Ja, prawdę mówiąc, spędziłem życie w Indiach, w służbie Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Do Anglii wróciłem w zeszłym roku, odziedziczywszy majątek po wuju. Wśród nieruchomości był ten właśnie dom, zamknięty i pusty. Mówiono, że w nim straszy i że nikt tam nie chce zamieszkać, ale uśmiechałem się na to tylko jak na głupie plotki. Włożyłem w remont sporo pieniędzy, uzupełniłem staroświeckie umeblowanie kilkoma nowoczesnymi rzeczami, dałem ogłoszenie i znalazłem lokatora na rok.

Był to emerytowany pułkownik. Sprowadził się z rodziną — córką i synem — oraz służbą. Opuścili dom nazajutrz i chociaż każdy z nich twierdził, że widział coś zupełnie innego niż pozostali, wszystkim wspólny był lęk przed czymś strasznym. Sumienie nie pozwalało mi dochodzić swego ani potępiać pułkownika za zerwanie umowy.

Wtedy osadziłem tam ową staruszkę, upoważnioną do

wynajmowania pojedynczych apartamencików. Niestety, nie miałem lokatora dłużej niż trzy doby. Nie chcę panu opowiadać tych wszystkich historii. Dość na tym, że nie było dwóch ludzi, którzy by doznali tego samego. Zresztą lepiej, żeby się pan sam przekonał, zamiast wprowadzać się pod wrażeniem jakichś opowieści. Musi pan być przygotowany, że zobaczy i usłyszy pan to i owo. Co do środków ostrożności — pozostawiam je pańskiej decyzji.

— A pan nie próbował nigdy spędzić tam nocy? — zapytałem.

— Oczywiście... wprawdzie nie noc, ale trzy godziny przy pełnym świetle dziennym... sam w całym domu. Muszę przyznać, że ciekawość moja została nie tyle zaspokojona, co raczej ugaszona. Nie chciałbym powtórzyć tego doświadczenia. Nie może pan chyba narzekać na brak szczerości z mojej strony. I uczciwie ostrzegam: o ile pana zainteresowanie nie jest szaleńczo silne, a nerwy niezwykle wytrzymałe — niech pan nie spędza nocy w tym domu.

— Moje zainteresowanie jest szaleńczo silne — odparłem — i chociaż tylko tchórz może się chwalić, że w żadnej sytuacji nerwy go nie zawiodą, to jednak muszę stwierdzić: moje nerwy przeszły tyle i tak różnorodnych prób, iż mogę na nich polegać — nawet jeśli chodzi o dom, w którym straszy.

Pan J. niewiele już mówił; wyjął z biurka i wręczył mi klucze. Dziękując mu serdecznie za szczerość i zgodę uniosłem swoją zdobycz.

Natychmiast po przyjsciu do domu, szalenie zniecierpliwiony, wezwałem zaufanego sługę, młodego człowieka o niezwykle wesołym usposobieniu i niezrównanej odwadze, a poza tym całkowicie wolnego od jakichkolwiek przesądów.

— F... — powiedziałem — czy pamiętasz, jak bardzo zawiedliśmy się w czasie naszego pobytu w Niemczech, nie znalazłszy żadnego ducha w tym zamku, o którym mówiono, że jest nawiedzany przez postać bez głowy? Wyobraź sobie, słyszałem o pewnym domu w Londynie, gdzie — mam poważne powody tak sądzić — straszy nie na żarty. Zamierzam spędzić tam dzisiejszą noc. Z tego, co mówiono, niewątpliwie coś daje się widzieć albo słyszeć — coś, być może, bardzo strasznego. Czy, gdybym cię wziął ze sobą, będę mógł zawsze polegać na twojej przytomności umysłu?

— O panie, proszę mi zaufać — odparł F. szczerząc zęby z zadowolenia.

— Dobrze, oto klucze od tego domu, a tu adres. Idź zaraz, wybierz dla mnie jakąś sypialnię, a ponieważ dom był nie zamieszkały przez całe tygodnie, rozpal porządny ogień, wywietrz pościel i oczywiście postaraj się o świece i opał. Weź mój rewolwer i sztylet. Sam też się zabezpiecz nie gorzej; jeśli nie będziemy w stanie stawić czoła choćby tuzinowi duchów — jesteśmy do niczego.

Przez resztę dnia pochłaniały mnie sprawy tak ważne, że nie zdążyłem nawet pomyśleć o nocnej przygodzie, w której stawką miał być mój honor. Zjadłem obiad sam, i to dosyć późno, czytając przy tym jak zwykle. Wybrałem tom eseju Macaulaya. Przyszło mi do głowy, że mógłbym wziąć książkę ze sobą — tak jędrny był styl i tak rzeczowe ujęcie tematów. Doskonałe antidotum na podnieconą wyobraźnię.

Zgodnie z planem około wpół do dziesiątej wsadziłem książkę do kieszeni i leniwie po-włokłem się w stronę nawiedzanego przez duchy domostwa. Zabrałem też mego ulubionego psa, niezwykle czujnego i odważnego bulteriera, który lubił nocami węszyć po nie znanych mrocznych zakamarkach i zaułkach w pogoni za szczurami - jednym słowem, wymarzonego psa na duchy.

Była letnia, ale chłodna noc; niebo trochę mgliste i zaciągnięte chmurami. Mimo to przeglądał księżyc, słaby i jakby wymokły, lecz zawsze księżyc, obiecując — jeśli chmury ustąpią — przejaśnienie po północy.

Zapukałem wreszcie do drzwi; służący otworzył mi z wesołym uśmiechem.

— Wszystko w jak najlepszym porządku, proszę pana, i bardzo wygodnie.

— Taak? — powiedziałem z nutą rozczarowania. — I nie widziałeś ani nie słyszałeś nic osobliwego?

— Właściwie muszę przyznać, że słyszałem coś dziwnego.

— Co to było?

— Odgłos kroków za moimi plecami i raz czy dwa jakiś szmer koło ucha, coś jakby szept — i nic więcej.

— No i cóż, masz stracha?

— Ani trochę.

Śmiałe spojrzenie młodzieńca upewniło mnie raz jeszcze, że bez względu na to, co się stanie, nigdy mnie nie opuści.

Staliśmy w hallu. Drzwi od ulicy były zamknięte. Zwróciłem

teraz uwagę na psa: w pierwszej chwili wbiegł ochoczo do środka, ale natychmiast przyczołgał się z powrotem do drzwi, skrobiąc i skomląc, żeby go wypuścić. Pogłaskałem go po głowie i dodałem mu odwagi, pies więc pozornie pogodzony z sytuacją podążył za nami. Zamiast jednak spieszyć przodem i węszyć, jak zwykle na nowym miejscu — trzymał się cały czas mojej nogi.

Najpierw zwiedziliśmy sutereny, gdzie mieściła się kuchnia i piwnice. W ostatniej zna-leźliśmy parę butelek wina. Stały w skrzynce, osnute pajęczynami, nie ruszane od lat. Najwyraźniej duchy nie były moczymordami. Poza tym nie natrafiliśmy na nic ciekawego. Z tyłu domostwa leżało małe, mroczne podwórko, otoczone bardzo wysokimi murami. Bruk tu obrósł mchem, płyty pokryła wilgoć i kurz; idąc zostawialiśmy niewyraźne ślady.

I oto po raz pierwszy stałem się naocznym świadkiem przedziwnego zjawiska w tym osobliwym przybytku. Nagle tuż przed sobą zobaczyłem, jak odciska się ślad ludzkiej stopy. Przystanąłem, chwyciłem mego sługę za ramię. Jednocześnie, równie nagle jak pierwszy, ale nieco przed nim, powstał drugi ślad. Podszedłem szybko do tego miejsca. Niewidzialna stopa w dalszym ciągu pozostawiała małe, dziecinne ślady. Były zbyt niewyraźne, by określić dokładnie ich kształt, przypominały jednak zarys bosej stopy. Zjawisko to ustało, gdy doszliśmy do przeciwległego muru.

Postanowiłem obejrzeć pokoje na parterze: salon, mniejszy salonik i najmniejszy z nich pokój, który prawdopodobnie zajmował lokaj — wszystkie ciche jak śmierć. Potem zwiedziliśmy jadalnię, które robiły wrażenie świeżych i odnowionych. Rozsiadłem się w fotelu we frontowym pokoju. F. postawił na stole lichterz, który rzucał na nas snop światła. Poprosiłem go, aby zamknął drzwi. Kiedy się odwrócił, krzesło stojące pod przeciwległą ścianą szybko i bezszelestnie zbliżyło się do mnie, zatrzymując się w odległości jarda, i to dokładnie vis à vis.

— To nawet lepsze niż wirujące stoliki — powiedziałem ze śmiechem, na dźwięk którego pies zjeżył się i zawył.

F. nie zauważył żadnej zmiany, zajęty był uspokajaniem psa. Nie przestawałem obserwować krzesła. W pewnej chwili wydało mi się, że widzę na nim blady, mglisty zarys ludzkiej postaci, zarys tak niewyraźny, że zacząłem wątpić w mój wzrok, pies zupełnie się uspokoił.

— Odstaw z powrotem pod ścianę to krzesło — rzekłem do F., który natychmiast spełnił polecenie.

— Czy to pan? — zapytał odwracając się gwałtownie.

— Ja... a co?

— Jak to? Ktoś mnie uderzył; czułem wyraźnie. W ramię, o tutaj.

— Nie, to nie ja, ale najwyraźniej mamy do czynienia z jakimiś iluzjonistami i choć może nie rozszyfrujemy ich sztuczek, z pewnością prędzej my ich złapiemy, niż oni nas stąd wystraszą.

Nie siedzieliśmy długo w jadalniach — były wilgotne i zimne. Z przyjemnością wróciłem na górę, do kominka. Na wszelki wypadek jednak, podobnie jak na dole, pozamykaliśmy wszystkie drzwi.

Służący wybrał mi na sypialnię najlepszy pokój na całym piętrze — duży z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę. Wsparty na czterech klockach materac sprężynowy, który zajmował niemało miejsca, stał naprzeciwko kominka, gdzie płonął wesoły, jasny ogień. Drzwi, znajdujące się między łóżkiem a oknem, prowadziły do pokoju służącego. Była to niewielka klitka, bez połączenia ze schodami, a jedyne drzwi dzieliła z moją sypialnią. Na umeblowanie składały się sofka i dwie szafy po obu stronach kominka, pokryte tym samym co ściana matowobrazowym papierem. Przeszukaliśmy je dokładnie, nie znajdując nic poza paroma wieszakami. Zbadaliśmy też — najwyraźniej solidne — szczytowe ściany budynku.

Zwiedziwszy te apartamenty rozgrzałem się trochę i zapaliłem papierosa, po czym podjęliśmy przegląd domostwa. Na klatkę schodową wychodziły jeszcze jedne drzwi. Te były szczelnie zamknięte.

— Panie — powiedział F. zdziwiony — otwierałem te drzwi, podobnie jak wszystkie inne, zaraz po przyjsciu. Nie mogły zostać zamknięte od środka, gdyż...

Zanim jednak dokończył zdania, drzwi, których żaden z nas nawet nie dotknął, cicho otworzyły się same.

Spojrzeliliśmy na siebie rażeni tą samą myślą: daje się tu wyczuć ludzką obecność.

Rzuciłem się do drzwi pierwszy, mój sługa za mną. Pokój był mały, pusty, ponury, całkiem nie umeblowany; w kącie wałało się zaledwie kilka starych skrzynek i koszyków. Małe okno zasłaniała okiennica. Pokój, bez kominka, miał jedne drzwi — te, przez które weszliśmy. Podłogi, starej, nierównej, stoczonej przez robaki,

noszącej ślady licznych reperacji w postaci rozsianych tu i ówdzie jaśniejszych plam, nie okrywał żaden dywan. I nigdzie żywej duszy — nawet miejsca, gdzie mogłaby się ukrywać.

Kiedy tak staliśmy, patrząc dokoła, drzwi zamknęły się równie cicho, jak przedtem się otwały: byliśmy uwięzieni.

Po raz pierwszy poczułem dreszcz nieokreślonej grozy. Wręcz przeciwnie mój towarzysz.

— No, chyba nie myślą nas tu więzić. Jednym kopnięciem wyważyłbym te drzwi.

— Spróbuj najpierw ręką — powiedziałem otrząsając się ze złowrogich przeczuć, jakie mną owładnęły — a ja tymczasem otworzę okiennice i wyjrzę na dwór.

Odsunąłem sztaby. Okno wychodziło na małe podwórko, które już opisałem. Ani śladu parapetu — nic, tylko gładka ściana; gdyby ktoś się pokusił o ucieczkę, nie znalazłby oparcia dla nogi — skrzyłby kark na bruku podwórka.

Tymczasem F... na próżno starał się otworzyć drzwi. Wreszcie zapytał, czy może spróbować siłą. Tu muszę oddać memu słudze sprawiedliwość: nie zdradzając najmniejszych objawów strachu, opanowany — powiedziałbym nawet wesoły, jak na okoliczności tak niezwykle — wzbudził we mnie podziw. Mogłem sobie pogratulować wyboru towarzysza, stojącego pod każdym względem na wysokości zadania. Zgodziłem się chętnie. Ale choć F. odznaczał się niemałą siłą, na nic się ona nie zdała. Zawiodły też łagodniejsze środki. Drzwi nie drgnęły nawet pod naporem uderzeń.

Bez tchu prawie, ciężko dysząc F. ustąpił. Wtedy spróbowałem sam — na próżno. Zaniechałem więc dalszych wysiłków, a dreszcz grozy przeszedł mnie ponownie. Tym razem bardziej mroźny i uporczywy. Poczulem, jak nagle ze szpar zniszczonej podłogi podnosi się dziwny, zaziemski podmuch, napętniający pokój jakimś jadowitym, wrogim życiu fluidem. Wtem drzwi otworzyły się bardzo powoli i cicho, jak gdyby z własnej inicjatywy. Wskoczyliśmy na korytarz. Oczom naszym ukazała się plama świetlna wielkości człowieka — bezkształtna i niematerialna, która czas jakiś sunęła przed nami, by wreszcie wejść na schody wiodące na strych. Podążyliśmy za światłem. Wpełzło na poddasze, którego drzwi stały otworem. Gdy przekroczyłem próg, świetlny obłok stopniał do małej kuleczki, bardzo jasnej i ruchliwej, spoczął na chwilę na łóżku w rogu

pokoju, zamigotał i znikł. Podeszliśmy do łóżka i zbadaliśmy je dokładnie.

Na stojącej opodal komodzie leżała jedwabna, spłowiała chustka z nie dokończoną cerą, w której tkwiła igła. Chustka pokryta była kurzem; prawdopodobnie należała do kobiety zmarłej tu niedawno, a pokój był pewnie jej sypialnią.

Wiedziony ciekawością zacząłem otwierać szuflady. Było w nich parę kobiecych fatałaszków i dwa listy związane wyblakłą żółtą wstążeczką. Pozwoliłem sobie je zabrać. Poza tym nie znaleźliśmy nic godnego uwagi. Światło nie pojawiło się już więcej, lecz wychodząc usłyszeliśmy wyraźnie tuż przed nami tupot nóg.

Minęliśmy pozostałe cztery poddasza, cały czas wyprzedzani przez odgłos kroków. W dalszym ciągu nie było nic widać.

Na schodach poczułem nagle, że ktoś łapie mnie za rękę, w której trzymam listy, i — zaraz potem — lekki, delikatny ruch zmierzający do rozluźnienia mego chwytu; zacisnąłem dłoń mocniej — ruch ustał.

Wróciliśmy do mego pokoju; stwierdziłem, że pies nie poszedł z nami. Leżał tuląc się do kominka i drżał. Niecierpliwie zacząłem przeglądać listy. Tymczasem F. dobył z pudła broń, umieścił ją w głowach mego łóżka, po czym jął uspokajać psa, który zdawał się nie zwracać na niego najmniejszej uwagi.

Korespondencja była krótka, datowana dokładnie trzydzieści pięć lat temu. Najwyraźniej listy od wielbiciela do pani jego serca albo od męża do młodej żony. Zarówno zwroty, jak i wzmianki o niedawno odbytej podróży — wskazywały na to, że autor listów był marynarzem. Ortografia i charakter pisma typowe dla człowieka niewykształconego. Mimo to język pełen był ekspresji. Spoza miłosnych zaklęć wyzierało uczucie namiętne i żywiołowe. Tu i tam jednak trafiały się mgliste, niezrozumiałe aluzje do jakiejś wielkiej tajemnicy, której przedmiotem najprawdopodobniej nie była miłość — lecz zbrodnia.

„Powinniśmy się kochać — brzmiało jedno ze zdań, które zapamiętałem — tym bardziej że gdyby wszystko wyszło na jaw, ludzie by nas przeklęli”.

I znów:

„Pamiętaj, żebyś w nocy z nikim nie dzieliła pokoju — mówisz przez sen”. A dalej: „Co się stało, już się nie odstanie. I mówię ci: nie ma przeciwko nam żadnych dowodów, dopóki zmarli nie wstają z

grobow”.

W tym miejscu wprawniejsza ręka, najwidoczniej kobieca, dopisała między wierszami: „niestety, wstają”.

Na końcu listu noszącego późniejszą datę widniała notatka skreślona tą samą kobiecą ręką: „Zginął na morzu czwartego czerwca, tego samego dnia, co...”

Odłożyłem listy na stół i zacząłem się zastanawiać nad ich treścią. W obawie jednak, że rozmyślania te mogą mnie wytrącić z równowagi, postanowiłem przygotować się nerwowo na wszystko, co mi mogła przynieść nadchodząca noc. Poprawiłem ogień, jasny jeszcze i wesoły, i otworzyłem Macaulaya. Czytałem do wpół do dwunastej, po czym rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Służącemu poleciłem iść do siebie i czuwać. Kazałem mu też zostawić drzwi między naszymi pokojami otwarte.

Byłem sam. Na nocnym stoliku płonęły dwie świece, koło których położyłem zegarek i broń. Następnie z całym spokojem powróciłem do Macaulaya. Naprzeciwko trzaskał jasny ogień, a na macie przed kominkiem drzemał pies. Mniej więcej po dwudziestu minutach poczułem na policzku bardzo zimny prąd powietrza, jakby zadrażnienie.

Pomyślałem, że drzwi wychodzące na korytarz musiały się otworzyć; ale nie — były zamknięte. Spojrzałem w lewo i zobaczyłem, że płomyki świec chyłą się gwałtownie jak na wietrze. Jednocześnie zegarek leżący obok rewolweru wolniutko, jak pod wpływem niewidzialnej ręki, ześliznął się ze stolika — i znikł. Poderwałem się gwałtownie; w jedną dłoń chwyciłem rewolwer, w drugą sztylet — nie chciałem, by podzieliły los zegarka.

Uzbrojony w ten sposób, rozejrzałem się po podłodze: ani śladu zegarka.

Teraz u wezłowania mojego łóżka dały się słyszeć trzy wyraźne, głośnie stuknięcia.

— Czy to pan? — zawołał F...

— Nie. Miej się na baczności!

Pies wstał i przysiadł na zadzie, strzygąc nerwowo uszami. Utkwił we mnie spojrzenie tak dziwne, że pochłonęło całą moją uwagę. Podniósł się powoli ze zjeżoną sierścią i stał na sztywnych łapach z tym samym dzikim wyrazem oczu.

Nie miałem jednak czasu patrzeć na psa. W drzwiach ukazał się

służący i jeżeli kiedykolwiek widziałem przerażenie w ludzkiej twarzy, to właśnie wtedy. Gdybym go spotkał w tym stanie na ulicy, nie poznałbym go z pewnością. Każdy rys twarzy miał zmieniony. Minął mnie szybko i wyszeptał nieswoim głosem:

— Uciekać! Uciekać! Goni mnie!

Dopał drzwi wiodących na schody, pchnął je i wyleciał na korytarz. Mimo woli podążyłem za nim, wołając, by się zatrzymał. Nie zwrócił na mnie uwagi. Gnał trzymając się poręczy i skacząc po kilka stopni naraz. Usłyszałem tylko, jak drzwi frontowe najpierw się otwarły, a potem zatrzasnęły.

Zostałem sam w nawiedzonym przez duchy domu.

Chwilę tylko stałem niezdecydowany, czy iść w jego ślady... Ale duma i ciekawość odwiodły mnie od tak haniebnego ucieczki. Wróciłem do sypialni i zamknąłem za sobą drzwi, po czym ostrożnie przeszedłem do następnego pokoju. Nie znalazłem nic, co by usprawiedliwiało panikę służącego. Jeszcze raz starannie obejrzałem ściany w poszukiwaniu jakichś ukrytych drzwi. Nic — ani śladu. Nawet pęknięcia w brązowej tapecie. Którędy więc wśliznęło się to coś, co tak przeraziło mego sługę, jak nie przez mój pokój?

Wróciwszy do siebie, zamknąłem drzwi na klucz i gotów na wszystko usiadłem przy kominku.

Pies skulony wciskał się w róg pokoju, jakby chciał wejść w ścianę. Zacząłem do niego przemawiać. Biedne zwierzę, oszalałe ze strachu, wyszczerzyło zęby. Z pyska ciekła mu ślina. Byłby mnie niewątpliwie ugryzł, gdybym go dotknął. Zdawał się mnie nie poznawać.

Jeśli ktokolwiek widział w ogrodzie zoologicznym królika, który ze strachu przed wężem chowa się w kąt, może sobie wyobrazić przerażenie tego psa.

Stwierdziwszy, iż wszystkie wysiłki zmierzające do uspokojenia zwierzęcia trafiają w próżnię, w obawie, że jego ukąszenie mogłoby się okazać równie jadowite jak ukąszenie wściekłego psa, zostawiłem je w spokoju, sam zaś odłożyłem broń na stół i podjąłem lekturę Macaulaya.

Aby jednak czytelnikowi nie wydało się, że liczę na pochwały z powodu mojej odwagi czy też opanowania, które — mógłby ktoś pomyśleć — wyolbrzymiam, pozwolę sobie tu na kilka uwag natury osobistej.

Ponieważ moim zdaniem przytomność umysłu czy też to, co zwiemy odwagą, jest ściśle uzależnione od uodpornienia na nieoczekiwane okoliczności, muszę stwierdzić, że już dawno przywykłem do wszystkiego co niesamowite. Byłem świadkiem wielu niezwykłych zjawisk w różnych częściach świata — zjawisk, którym nikt by nie dał wiary, gdybym je spróbował oddać w słowach, albo które przypisano by siłom nadprzyrodzonym.

Ja osobiście jednak twierdzę, że siły nadprzyrodzone nie istnieją, a to, co nimi tłumaczymy, jest po prostu prawem przyrody, dotąd jeszcze przez człowieka nie odkrytym.

Wobec tego na widok ducha nie mam prawa powiedzieć: „A jednak zjawiska nadprzyrodzone istnieją”, tylko raczej: „skoro się zjawiał, stało się to — wbrew powszechnemu mniemaniu - zgodnie z prawami natury, a więc nie w sposób nadprzyrodzony”.

Jestem przekonany, że źródłem wszystkich niesamowitych wydarzeń, których byłem świadkiem, jak również wszystkich „cudów”, które współcześni amatorzy spirytyzmu uważają za fakty, była zawsze działalność żywej, materialnej istoty. Do dziś na Kontynencie twierdzą, że potrafią wywoływać duchy. Przypuśćmy na chwilę, że twierdzą słusznie. Jakież stąd wnioski? Ten, że obecność człowieka w jego materialnej postaci, czyli źródła, że tak się wyrażę, materialnego działania, wywołuje dzięki specjalnym organicznym właściwościom danego osobnika pewne dziwne zjawiska odbierane przez nasze zmysły.

Przyjmijmy ponadto za prawdziwe opowieści o pokazach spirytystycznych w Ameryce: na przykład produkowanie dźwięków, pisanie na papierze, przesuwanie mebli przez niewidzialne ręce, dotyk dłoni nie należących, zdawałoby się, do nikogo — to jednak musi tu być jakieś medium czy też w ogóle żyjąca istota, której pewne szczególne cechy organiczne są w stanie wywołać podobne zjawiska.

Jednym słowem, we wszystkich tego rodzaju „cudach”, zakładając nawet, że nie ma w nich ani trochę oszustwa, musi brać udział podobna nam ludzka istota, dzięki której albo poprzez którą osiąga się podobne efekty.

Tak właśnie jest, z dobrze nam już dzisiaj znanymi zjawiskami hipnozy i elektrobiologii, gdzie umysł ludzki ulega wpływowi świadomego, również ludzkiego, działania. Nawet jeśli przyjmiemy, że medium zdolne jest odpowiedzieć na rozkazy i gesty hipnotyzera

odległego o sto mil, nie umniejszamy to w niczym roli istoty materialnej.

Tym, co ma moc przekazywania bodźców materialnych między ludźmi mimo przestrzeni i przeszkód, jest fluid materialny, obojętne, jak go nazwiemy.

Stąd wszystko, czego już byłem i czego jeszcze miałem być świadkiem w tym przedziwnym domu, przypisywałem działaniu jakiejś istoty czy też medium równie śmiertelnego jak ja sam. Pogląd ten w sposób oczywisty oszczędził mi przerażenia, które niewątpliwie ogarnęłyby owej pamiętnej nocy każdego, kto za nadprzyrodzone uważa zjawiska nie dające się pomieścić w zwykłych kategoriach przyrody. Umocniony zatem w przekonaniu, jakoby to, czego już doświadczyłem i czego jeszcze spodziewałem się doświadczyć poprzez własne zmysły, działo się za sprawą istoty ludzkiej, odpowiednio przez naturę obdarzonej i mającej w tym jakiś cel, rozsmakowałem się w swojej teorii, wyrosłej na gruncie rozważań filozoficznych, a nie przesądu.

Tak przygotowany, podjąłem obserwację równie spokojnie jak chemik oczekujący na wynik rzadkiego a niebezpiecznego doświadczenia.

Oczywiście im bardziej ograniczałem wpływ wyobraźni na rozsądek, w tym lepszym byłem nastroju, wobec czego zarówno oko moje, jak i myśli powróciły do Macaulaya, krynicy zdrowego rozsądku.

Nagle uświadomiłem sobie obecność czegoś między światłem a kartką książki, na którą padł cień. Podniosłem głowę i... zobaczyłem coś, co bardzo trudno albo wręcz nie sposób opisać.

Wyglądało to tak, jakby przede mną zaczęła wyłaniać się jakaś ciemność nieokreślone-go kształtu. Nie mogę zdecydowanie powiedzieć, że była to postać ludzka; w każdym razie bardziej przypominała ludzką sylwetkę, czy może raczej cień, niż cokolwiek innego.

Kiedy tak stała, odcinając się wyraźnie na tle światła, jej rozmiary wydały mi się gigantyczne. Wierzchołkiem sięgała prawie sufitu.

Przejął mnie nieprzyjemny chłód. Gdybym miał pod ręką kawałek lodu, uczucie zimna nie byłoby chyba silniejsze ani bardziej fizyczne. Jestem przekonany, że nie był to chłód grozy.

Patrząc dalej, odniosłem wrażenie - trudno to stwierdzić z pewnością — że z góry spogląda na mnie para oczu. Wydawało mi

się, że widzę je zupełnie dokładnie, to znów, że znikają; w każdym razie dwa promyki bladego, błękitnego światła co chwila przebijały ciemność w miejscu, w którym dostrzegłem te oczy.

Usiłowałem coś powiedzieć, ale głos mnie zawiódł. Zdołałem tylko zadać sobie w myśli pytanie: „Czyżby to był strach?” Nie, to nie strach.

Próbowałem wstać — na próżno. Czuję się tak, jakby przykuwał mnie jakiś ciężar nie do udźwignięcia. Jakby mojej woli przeciwstawiała się przemożna potęga. To poczucie beziły wobec nadludzkiej mocy, którego człowiek doświadcza w sensie fizycznym podczas sztormu, wielkiego pożaru czy spotkania z dziką bestią, ogarnęło mnie w sensie moralnym. Powoli, powoli brało nade mną władzę, aż przyszła groza — groza, której słowami nie jestem w stanie opisać. Zachowałem jednak dumę, jeśli już nie odwagę, i powiedziałem sobie w duchu; „To przecież groza — nie strach; dopóki nie czuję strachu, nie ma się co przejmować. Mój umysł temu zaprzecza. To po prostu iluzja. Ja się nie boję”.

Z ogromnym wysiłkiem udało mi się wreszcie wyciągnąć rękę po leżącą na stole broń. Nagle ręką mą coś wstrząsnęło, zwiśla bezwładnie wzdłuż ciała. Na domiar złego płomienie świec zaczęły powoli blednąć — ogień na kominku stopniowo zanikł i wkrótce pokój zaległa całkowita ciemność.

Fakt, że zostałem po ciemku sam na sam z tą mroczną istotą, której potęga tak wyraźnie dawała się odczuć, podziałał na moje nerwy.

Przerażenie osiągnęło szczyt. Wiedziałem, że albo postradam zmysły, albo przełamie zły czar. Oczywiście wybrałem to drugie.

Dobyłem wreszcie głosu, a moje słowa brzmiały jak skrzek:

— Ja się nie boję. Moja dusza nie odczuwa strachu! — W tym samym momencie znalazłem siłę, by wstać.

Błądząc w panującym dokoła zmroku, dotarłem do jednego z okien; szarpnąłem zasłony i otworzyłem okiennice. Moją pierwszą myślą było „światło”.

I kiedy wysoko w górze zobaczyłem cichy, spokojny księżyc, ogarnęła mnie radość, która wynagrodziła całe poprzednie przerażenie. Był przecież księżyc i lampy gazowe na opuszczonej, śpiącej uliczce.

Spojrzałem znów na pokój; z zewnątrz sączyła się poświata

miesiąca. Ciemna zjawa rozplynęła się pozostawiając tylko cień na przeciwległej ścianie. Wzrok mój spoczął na stole (był to stary, mahoniowy, okrągły stół bez jakiegokolwiek przykrycia), spod którego wysunęła się ręka aż po przegub: dłoń równie cielesna jak moja, ale chuda, pomarszczona, mała — dłoń staruszki. Powoli zamknęła się na dwóch listach leżących na stole i wraz z nimi zniknęła. Zaraz potem dały się słyszeć trzy miarowe, głośne uderzenia, które słyszałem już u wezglowia łóżka, zanim rozegrała się ta niezwykła scena.

Gdy dźwięki stopniowo zamarły, uczułem, że pokój zaczyna delikatnie drgać, a w przeciwległym końcu, jak gdyby z podłogi, wytryska cała kaskada iskier czy kuleczek — niby bańki barwnych światel — zielonych, żółtych, ogniste czerwonych, lazurowych, które zaczynają podskakiwać i poruszać się we wszystkie strony. Każda wedle własnego kaprysu, jak bańki gazu świetlnego.

Jednocześnie krzesło — podobnie jak w pokoju piętro wyżej — za sprawą niewidzialnej siły ruszyło spod ściany i zatrzymało się po przeciwnej stronie stołu.

I nagle... jakby z wnętrza krzesła wyrosła postać kobiety tak wyraźna, jak kształt życia, a zarazem tak widmowa, jak kształt śmierci. Twarz miała młodzieńczą, dziwnej i ponurej piękności; ubrana była w białą jak obłok luźną suknię, obnażającą szyję i ramiona.

Zjawa zaczęła gładzić długie, jasne włosy, które opadały jej na ramiona. Nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, utkwiała wzrok w drzwiach — zdawała się słuchać, patrzeć, czekać.

Tymczasem zarys na ścianie pociemniał i znów miałem wrażenie, że gdzieś u szczytu wyblęsnęły oczy — oczy wpatrzone w postać kobiecą.

Następnie od strony drzwi, które pozostawały zamknięte, jęła się zbliżać inna postać, równie wyraźna jak pierwsza i jednakowo widmowa. Była to postać młodego mężczyzny.

Miał na sobie ubranie czy może raczej coś co przypominało strój z ubiegłego stulecia, ponieważ obie postacie, mimo iż widoczne, były wyraźnie niematerialne, nie podlegające dotykowi. Jakiś brak konsekwencji, coś groteskowego, a jednocześnie przerażającego tkwiło w kontraście, jaki stanowił staroświecki, pełen dworskiej dystynkcji i drobiazgowej staranności, przybrany mnóstwem koronek

i wstążek strój z jego właścicielem o wyglądzie trupa i spokoju zjawy. Kiedy widmo mężczyzny przybliżyło się do widma kobiety, czarny cień błyskawicznie oderwał się od ściany. Na chwilę wszystko spowiało ciemność.

Gdy powróciło blade światło, zobaczyłem dwie zjawy stojące jakby w objęciach cienia, który unosił się między nimi. Na piersi kobiety widniała krwawa plama. Mężczyzna wspierał się o miecz, a krew obficie ściekała z koronek i wstążek. Następnie pochłonał ich cień — znikli bez śladu.

Wtedy powróciły bańki, skacząc i żeglując w powietrzu, coraz większe i większe, i coraz dziksze w swoim tańcu.

Nagle rozwarły się drzwi do alkowy i wyszła z nich postać staruszki. W ręku trzymała listy — te same, po które wyciągnęła się tajemnicza dłoń. W ślad za staruszką usłyszałem kroki. Odwróciła się, jak gdyby nadśluchując, otworzyła listy i zaczęła je czytać.

Zza jej ramienia wyjrzała ziemista twarz — typowa twarz topielca od dawna już spoczywającego w wodzie. Był obrzękły, wymokły, spowity w wodorosty, z ociekającymi wodą włosami. U nóg starej kobiety leżał trup, przy którym kuliło się dziecko. Nędzne, zabiedzone, ze strachem w oczach i głodem malującym się na buzi. Kiedy spojrzałem w twarz staruszki, zmarszczki i rysy zatarły się i zobaczyłem oblicze młodzieńca. Było kamienne, źrenice lśniły zimnym blaskiem. Po chwili jednak, tak jak poprzednio, wszystko pochłonał mrok.

Teraz wpatrywałem się w niepodzielnie panujący cień, w którym niebawem znów zabłysły oczy — złe oczy węża. Ponownie w oszalałym płasie uniosły się bańki świetlne, mieszając się z bladą poświatą księżyca. Ni z tego, ni z owego z tańczących kulek, niby ze skorupki jajka, zaczęły wyłazić monstrualne stwory; wnet powietrze zagęściło się od ohydnych, bezkrwistych larw, które opisać mogę czytelnikowi jedynie przez porównanie do kropli wody widzianej pod mikroskopem: mrowiąca się masa żywych stworzeń, przezroczystych, giętkich, ruchliwych, goniących się i pożerających nawzajem, jakich nigdy nie dojrzysz gołym okiem.

Tak jak kształt tych stworów był całkowicie pozbawiony symetrii, tak ruchy ich były zupełnie bezładne. Krążyły wokół mnie bez celu, coraz gęściej i szybciej kłębiąc się dokoła głowy i pełznąc po ręce podświadomie wyciągniętej jakby gestem odżegnywania się od

wszelkiego zła.

Czasami czułem, że coś mnie dotyka; ale nie były to larwy — dotykały mnie niewidzialne ręce. Raz nawet jakieś chłodne palce zacisnęły mi się na gardle. Ponieważ wciąż byłem świadom tego, że jeżeli tylko poddam się trwodze, znajdę się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, całym wysiłkiem starałem się umocnić i uodpornić wolę.

Przede wszystkim więc odwróciłem wzrok od cienia, a zwłaszcza od dziwnych węzowych oczu, które teraz stały się dokładnie widoczne i skupiały w sobie tyle intensywnego, czynnego zła, iż bałem się, że skruszy moją wolę.

W pewnym momencie blade światło zaszło czerwoną łuną jak od pożaru. Larwy straciły barwę, jakby spopielaly w ogniu, pokój znów zawibrował i po raz trzeci dały się słyszeć miarowe uderzenia. Na koniec wszystko pożarł mrok.

Cień zniknął w miarę, jak ustępowała czerń. Jednocześnie zapłonęły świece na stole i drzewo na kominku. Stopniowo wyłonił się z mroku cały pokój.

Obie pary drzwi pozostały zamknięte. Te, które prowadziły do pokoju służącego — nawet na klucz. W rogu mojej sypialni leżał pies. Zawołałem go — ani drgnął. Podszedłem — był martwy. Leżał z oczyma wywróconymi, wywieszonym językiem i pianą na pysku. Wziąłem go na ręce i przyniosłem do kominka. Dręczył mnie żal i wyrzuty sumienia z powodu utraty ulubieńca. Czułem się winny jego śmierci. Byłem pewien, że zdechł ze strachu.

Jakież było moje zdumienie, kiedy stwierdziłem, że pies ma skręcony kark, po prostu pęknięty kręgosłup. Niewątpliwie stało się to w ciemności. Czyż nie musiała tego dokonać ręka równie ludzka jak moja? Miałem wszelkie dane po temu, by tak przypuszczać. Ale cóż, ja mogę tylko stwierdzić fakt. Wnioski pozostawiam czytelnikowi.

Wkrótce dokonałem następnego dziwnego odkrycia: oto mój zegarek, w tak tajemniczy sposób — zabrany, powrócił na stół. Co więcej — wskazywał dokładnie tę godzinę, o której go wzięto. Niestety, od tej pory mimo licznych usiłowań zegarmistrza jest zupełnie bezużyteczny: albo chodzi, jak mu się podoba, albo staje w nieoczekiwanym momencie.

Do końca nocy nic się już nie wydarzyło, niedługo też doczekałem się świtu. Feralny dom jednak opuściłem przy pełnym

świetle dziennym, zwiedziwszy uprzednio pusty pokój, w którym czas jakiś byliśmy z moim służącym uwięzieni.

Żywiłem silne przekonanie, które trudno by mi było uzasadnić, iż mechanizm wszystkich zjawisk, że tak się wyrażę, których byłem świadkiem, tkwił właśnie tutaj. I nawet teraz, stojąc na tej podłodze w biały dzień, poczułem dreszcz grozy, jakiej doświadczyłem już w nocy, grozy spotęgowanej wypadkami w moim pokoju.

Nie mogłem wytrzymać w tych ścianach ani chwili dłużej, a kiedy schodziłem na dół, słyszałem znów przed sobą kroki. Otwarłem drzwi na ulicę — mógłbym przysiąc, że doszedł mnie stłumiony śmiech.

Dotarłem do domu spodziewając się zastać tam zbiegłego sługę. Tymczasem nie pokazał się wcale. Dopiero po trzech dniach otrzymałem od niego z Liverpoolu list następującej treści:

Wielce Szanowny Panie!

Pokornie dopraszam się przebaczenia, choć Bóg jeden wie, jak mało na nie zasłużyłem po tym, czego Pan był świadkiem. Jestem pewien, że miną lata, zanim wrócę do siebie, a o przydatności do służby mowy być nie może. Wobec tego jadę do mego szwagra do Melbourne. Statek odpływa jutro. Być może długa podróż uspokoi moje nerwy. Obecnie jeszcze ciągle drzę i myślę z ulgą o tym, że to już poza mną. Uprzejmie proszę Wielmożnego Pana, aby wszystkie moje rzeczy wraz z należnymi mi poborami przesłał mojej matce do Walworth.

List kończyły dodatkowe usprawiedliwienia, dosyć zresztą chaotyczne, i wyjaśnienia dotyczące pełnionych przez niego obowiązków.

Ta nagła ucieczka mogła nasuwać podejrzenie, że już dawniej planował wyjazd do Australii, a wypadki tej nocy potraktował jako pretekst.

Nie odmawiam tym przypuszczeniom słuszności. Po prostu uważam je za dość prawdopodobną interpretację nieprawdopodobnych zjawisk.

Moja teoria pozostała jednak niewzruszona. Wieczorem zajechałem pod nawiedzany przez duchy dom dorożką, żeby zabrać swoje rzeczy i ciało biednego psa.

Nikt mi nie przeszkadzał i poza tym, że ilekroć wchodziłem czy schodziłem ze schodów, poprzedzały mnie tajemnicze kroki, panował

zupełny spokój. Opuściwszy dom, udałem się do pana J. Zwróciłem mu klucze i oświadczyłem, że moja ciekawość jest już całkowicie zaspokojona. Właśnie kiedy zamierzałem opowiedzieć mu pokrótce, czego byłem świadkiem, przerwał mi i bardzo grzecznie dał do zrozumienia, żeby mu więcej nie zawracać głowy tajemnicami, których nie da się rozwiązać.

Postanowiłem w końcu nadmienić o listach i o tym, w jak dziwny znikły sposób. Zapytałem też, czy sądzi, że listy adresowane były do staruszki, która niedawno zmarła, i czy w jej młodości nie zdarzyło się nic, co by usprawiedliwiało podejrzenia nasuwające się pod wpływem ich lektury. Pan J. wydawał się zaskoczony i po chwili namysłu odparł:

— Wiem bardzo niewiele o tej kobiecie, poza tym, że jak już panu mówiłem, znana była mojej rodzinie. Chociaż... ożywił pan pewne mgliste wspomnienia... Tak, oczywiście, zbiorę informacje i o wszystkim pana powiadomię. Ale nawet jeśli przyjmiemy za słuszny popularny przesąd, że kto był albo wykonawcą, albo ofiarą zbrodni, po śmierci jako niespokojny duch nawiedza jej miejsce, to przypominam panu, że już na długo przed zgonem staruszki dały się w tym domu słyszeć i widzieć dziwne rzeczy. Uśmiecha się pan? A cóż pan na to powie?

— Powiem tylko tyle, że jeśli dotrzemy do źródła tych tajemnic, znajdziemy tam niewątpliwie żywą ludzką istotę.

— Jak to, więc sądzi pan, że to wszystko oszustwo? Cóż by miało na celu?

— Bynajmniej nie oszustwo w zwykłym tego słowa znaczeniu. Niech pan sobie jednak spróbuje wyobrazić, że zapadłem w głęboki sen, z którego nie sposób mnie obudzić, i że w tym śnie odpowiadam na pańskie pytania z taką dokładnością, do jakiej na jawie nigdy nie byłbym zdolny. Na przykład mówię, ile ma pan pieniędzy w kieszeni, więcej nawet, odgaduję pańskie myśli. Przyzna pan, że nie musiałyby to być oszustwo; tym mniej siły nadprzyrodzone. Świadczyłyby to tylko o tym, że zupełnie nieświadomie podlegam wpływowi hipnotyzera działającego na mnie z oddali.

— Oczywiście, jeśli założymy, że tak dalece posunięta hipnoza jest możliwa. To znaczy, wnioskuje pan z tego, że hipnotyzer przez swój wpływ na przedmioty martwe był w stanie wywołać tak dziwne zjawiska, których pan i inni byli świadkami.

— Nie. To, co zwykliśmy określać mianem hipnozy, jest za słabe. Ale może istnieć siła pokrewna, potężniejsza od tej, siła dawnymi czasy zwana magią. Nie twierdzą, że ma ona władzę nad wszystkimi przedmiotami martwymi, lecz jeśli tak jest, nie byłoby to sprzeczne z naturą, a przeciwnie — stanowiłoby rzadki dar udzielany przez przyrodę tylko osobnikom o pewnych cechach szczególnych, które poprzez praktykę można rozwinąć.

Znana jest starożytna teoria, w sprawie której nie zajmuję stanowiska, głosząca, że tego rodzaju potęga włada zmarłymi, a raczej pewnymi ich myślami czy wspomnieniami, które ciało przez jakiś czas zachowuje. Zmusza ona nie to, co zwiemy duszą i co pozostaje absolutnie poza zasięgiem ludzkiej mocy, lecz widmo, czyli odbicie tego, co najbardziej ziemskie w człowieku, żeby się jawiło naszym zmysłom. W każdym razie nie przypuszczam, by siła ta była nadprzyrodzona.

Pozwoli pan, że zilustruję swoją teorię przytaczając eksperyment, który Paracelsus uważa za nietrudny, a autor „Ciekawostek literatury” cytuje jako wiarygodny.

Kwiat ginie strawiony płomieniem. Bez względu na to, z jakich się składa elementów, nic z niego nie zostaje. Wszystko przepada, nie wiadomo gdzie. Nie odnajdziesz zetlałych składników. Ale za to chemicznie z popiołu wskrzesić można widmo żywego kwiatu.

Podobnie, dzieć się może z ludzkimi istotami. Po śmierci dusza ulatuje jak aromat kwiatu, którego obraz mimo to możesz wywołać. Tak samo powstała zjawia ludzka, powszechnie i jakżeż niesłusznie mylona z duszą zmarłego, jest tylko widmem jego cielesnej powłoki.

Stąd we wszystkich znanych historiach o duchach i seansach spirytystycznych uderza nas brak tego, co zwiemy duszą, a więc najwyższej, wysublimowanej inteligencji. Tak zwane duchy rzadko przychodzą w jakichś konkretnych celach, prawie nigdy nie mówią, a ich wypowiedzi głębią nigdy nie przewyższają przeciętnych ludzkich możliwości.

Amerykańscy spirytyści opublikowali tomy całe, prozą i wierszem, myśli przekazywanych, jak twierdzą, przez sławnych zmarłych: na przykład Szekspira, Bacona i Bóg wie kogo.

Myśli te nie są ani trochę mądrzejsze od tego, co powiedziałby żywy człowiek, utalentowany i wykształcony, a już z całą pewnością dużo mniej genialne od tego, co głosili Bacon, Szekspir czy Platon. Są

to tylko wyobrażenia przekazywane w ten czy inny sposób (nie stwierdziliśmy jeszcze dokładnie, w jaki) przez jeden ludzki umysł innemu. Bez względu na to, czy w efekcie zaczynają spacerować stoły, czy ukazują się diabelskie postacie w magicznym kole, czy też wreszcie mrozą nam w żyłach krew cienie podobne temu, jaki mnie się ukazał — twierdzę stanowczo, że to tylko wyobrażenia przekazywane jak po drucie telegraficznym przez jakiś ludzki umysł.

Pewne predyspozycje pozwalają niektórym organizmom czynić cuda chemiczne. Inne organizmy wyposażone są we fluid naturalny — nazwijmy go elektrycznym — i te produkują cuda, powiedzmy, elektryczne. Zjawiska te jednak pozostają w całkowitej sprzeczności z ogólnymi tendencjami naukowymi: są niematerialne, bezcelowe, dziecinne i kapryśne. Nie prowadzą do żadnych wielkich osiągnięć, stąd małe zainteresowanie nimi świata i uczonych, którzy tej dziedziny zupełnie nie kultywują. W każdym razie jestem najzupełniej przekonany, że odległym źródłem wszystkiego, co słyszałem i widziałem w tamtym domu, był człowiek, i to niewątpliwie nieświadom wyników swego działania, co wnoszę z tego, że podobnie jak trudno o dwa identyczne sny, nie było też dwóch osób, którym by się te same rzeczy objawiły.

Gdyby chodziło tu o zwykłe oszustwo, mechanizm jego z pewnością nie dopuszczałby takiej różnorodności produkowanych efektów. Gdyby z kolei była to siła nadprzyrodzona, działająca z polecenia Wszechmocnego, bezsprzecznie zmierzałaby do jakiegoś konkretnego celu. Te zjawiska nie dają się zaliczyć do żadnej z wymienionych klas. Moim zdaniem, źródłem ich jest jakiś odległy umysł ludzki, a to, co się zjawia, stanowi tylko odbicie jego błędzących, bardzo ruchliwych i różnorodnych, na pół uformowanych myśli. Jednym słowem muszą to być czyjeś sny, wprowadzone w czyn i częściowo ucieleśnione.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że musi to być intelekt niezwykle potężny, zdolny wprawić materię w ruch, uzbrojony w złą, destruktywną siłę. Mojego psa uśmierciła jakaś moc konkretna, materialna. O ile się orientuję, potrafiłaby i mnie pozbawić życia, gdybym tylko był tak osłabiony strachem jak biedne zwierzę i gdyby mój umysł i duch nie wyposażyły mnie w skuteczną broń — wolę.

— Zabiło panu psa?! To straszne! Rzeczywiście... zastanawiające, że żadne zwierzę nie chce pozostać w tym domu; nawet kot. Ba!

Szczura ani myszy nigdy tam nie widziano.

— Zwierzęta instynktownie wyczuwają niebezpieczeństwo zagrażające ich życiu. Ludzie lepiej wyposażeni w środki obrony są mniej wrażliwi. No, ale dość tego. Czy pojął pan moją teorię?

— Owszem, chociaż nie całkowicie. W każdym razie bardziej skłonny jestem przyjąć pańską teorię, nawet z jej wszystkimi — przepraszam za wyrażenie — dziwolągami niż historie o duchach i chochlikach, którymi karmiono nas w dzieciństwie. Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. W moim nieszczęsnym domu nadal straszy. Cóż, u licha, mam robić?

— Powiem panu, co ja bym zrobił w tej sytuacji. Jestem wewnątrznie przekonany, że zbiornicą czy też centralą, z której rozchodzą się na cały dom te dziwne fluidy, jest ów mały nieumeblowany pokój. Radzę panu rozwalić ściany, rozebrać podłogę i w ogóle zlikwidować cały pokój. Dobudowany jest nad małym, tylnym podwórkiem i można by go zburzyć bez szkody dla reszty domu.

— I myśli pan, że gdybym to zrobił...

— Jestem pewien, że to tak, jakby pan przeciął druty telegraficzne. Cóż szkodzi spróbować? Tak jestem o tym przeświadczony, że chętnie pokryję do połowy koszt rozbiórki, o ile tylko pozwoli mi pan poprowadzić roboty.

— Nie, dziękuję; koszt mogę pokryć sam. Co do reszty, powiadomię pana listownie.

Mniej więcej po dziesięciu dniach otrzymałem od pana J. list, w którym donosił, że odwiedził ostatnio dom, że listy, o których mówiłem, znalazł w szufladzie na dawnym miejscu i że przeczytawszy je powziął podobne podejrzenia. Wreszcie pan J. pisał, że przeprowadza wywiad w sprawie kobiety, do której, jak słusznie przypuszczałem, były adresowane.

Okazało się, że trzydzieści sześć lat temu, to znaczy na rok przed otrzymaniem tych listów, poślubiła wbrew woli rodziny pewnego Amerykanina, bardzo podejrzanego osobnika, o którym powszechnie mówiono, że był piratem. Sama pochodziła z przyzwoitej kupieckiej rodziny i przed ślubem pracowała jako guwernantka. Brat owej kobiety, wdowiec, ogólnie uważany za bogacza, miał sześćioletnie dziecko. W miesiąc po jej ślubie znaleziono ciało tego brata w Tamizie, w pobliżu Mostu Londyńskiego. Na szyi widniały ślady

obrażeń, nie dość wyraźne jednak, by mogły usprawiedliwić inny wynik obdukcji jak tylko: „śmierć przez utonięcie”. Amerykanin i jego żona zajęli się sierotą; zmarły brat testamentem czynił siostrę prawną opiekunką dziecka, a w razie jego śmierci — swoją spadkobierczynią. Dziecko zmarło w sześć miesięcy później — jak przypuszczano — z powodu zaniedbania i złego traktowania. Sąsiedzi zeznali nawet, że słyszeli nieraz w nocy jego płacz.

Chirurg, który dokonał sekcji zwłok, stwierdził, że zgon nastąpił wskutek całkowitego wyniszczenia organizmu oraz że ciało pokryte było świeżymi siniakami. Podobno pewnej zimowej nocy dziecko usiłowało uciec. Wykradło się na tylne podwórko i najwidoczniej po nieudanych próbach wdrapania się na mur, spadło wyczerpane na kamienie. Rano znaleziono je martwe. Mimo że istniały liczne dowody okrucieństwa, brakło dowodów morderstwa. Ciotka i jej mąż swoje nieludzkie postępowanie pozorowali rzekomym uporem i złośliwością dziecka, które, jak twierdzili, było niedorozwinięte. Tak czy inaczej, po śmierci sieroty ciotka odziedziczyła fortunę brata. Nim upłynął pierwszy rok małżeństwa, Amerykanin nagle opuścił Anglię, dokąd już nigdy nie wrócił. Mówiono, że kupił niewielki stateczek, który się rozbił na Atlantyku w dwa lata później.

Wdowa żyła w dostatku, ale koło fortuny się odwróciło: bank ogłosił niewypłacalność, akcje przepadły, niewielki interes, w który włożyła pieniądze — zbankrutował. Wtedy poszła na służbę, schodząc stopniowo do roli zwykłej posługaczki. Nigdzie też nie zagrzała miejsca, choć właściwie nic konkretnego nie można jej było zarzucić.

Mimo że uważano ją za pracowitą, uczciwą, a przede wszystkim cichą, spokojną, jakoś jej się nie wiodło. Tak więc na koniec trafiła do przytułku, skąd wziął ją pan J. i poruczył jej pieczę nad domostwem, które kiedyś dzierżawiła.

Pan J. dodał, że spędził samotnie godzinę w pustym pokoju, który radziłem mu zburzyć. Przerażenie jego było tak ogromne, choć nic nie słyszał ani nie widział, że natychmiast zdecydował się mnie usłuchać. Najął nawet ludzi i czekał tylko mego sygnału. Oznaczonego dnia udałem się do nawiedzanego przez duchy domu. Otwarliśmy drzwi ślepego, ponurego pokoju. Najpierw zerwano listwy i podłogę. Pod belkowaniem, zasłanym grubą warstwą śmieci, odkryliśmy tajemne przejście, przez które niewątpliwie przecisnąłby się człowiek. Kłapa zakrywająca otwór przybita była potężnymi gwoździami. Gdy po

licznych wysiłkach z naszej strony gwoździe puściły, zeszliśmy do położonego niżej pokoju, którego istnienia nikt się nawet nie domyślał. Było tam okno i przewód kominowy, najwyraźniej od dawna zamurowany. Przeszukaliśmy pokój w blasku świec; stały tam jakieś stare, próchniejące meble — trzy krzesła, dębowy taboret i stół — wszystko w stylu sprzed lat osiemdziesięciu. W komódce pod ścianą znaleźliśmy na pół zbutwiałe części staroświeckiej męskiej garderoby, jaka mogła być noszona osiemdziesiąt czy nawet sto lat temu przez osoby wysoko postawione: kosztowne metalowe klamry i guziki, dziś widywane tylko przy dworskich strojach, i piękny krótki miecz. W kamizeli, niegdyś strojonej złotymi koronkami, dziś wyblakłej i zbutwiałej, znaleźliśmy pięć gwinei, parę srebrnych monet i żółtkły bilet wstępu do jakiegoś miejsca rozrywki dawno już przebrzmiałej.

Największe jednak odkrycie stanowił rodzaj żelaznego sejfu, przytwierdzonego do ściany, którego zamek znaleźliśmy dopiero po długich poszukiwaniach.

Skrytka miała trzy półki i dwie małe szufladki. Na półkach stały buteleczki napełnione przezroczystym płynem, zamknięte hermetycznie. Zawierały bezbarwne, lotne substancje, o których nie mogę powiedzieć nic ponad to, że nie były truciznami. W skład ich między innymi wchodził fosfor i amoniak. W skrytce leżały także jakieś dziwne próbówki i mała metalowa pałeczka, z jednej strony zakończona kryształem, a z drugiej bursztynem, jak również magnes o dużej mocy. W jednej z szuflad znaleźliśmy złotą miniaturkę, która mimo starości zachowała niezwykłą żywość barw. Był to portret mężczyzny w średnim wieku, lat około czterdziestu siedmiu. Twarz szczególna, robiąca wrażenie. Gdybyśmy mogli wyobrazić sobie potężnego węża zamienionego w człowieka, który by w ludzkich rysach zachował cechy gada, więcej by wam to dało niż długie opisy. Płaskie, szerokie czoło, subtelny owal pociągłej twarzy, maskujący silny zarys żuchwy, podłużne, duże, budzące trwogę oczy, zielone jak szmaragdy, a ponadto jakiś okrutny spokój płynący z poczucia ogromnej siły...

Najdziwniejsze było to, że jak tylko zobaczyłem miniaturę, uderzyło mnie zaskakujące podobieństwo do jednego z najrzadszych portretów na świecie — do podobizny człowieka rangą ustępującego jedynie królowi, który w swoim czasie był bardzo głośny.

Historia mówi o nim niewiele albo wcale, wystarczy — natomiast przejrzyć korespondencję jego współczesnych, a niemało można znaleźć wzmianek na temat jego dzikiej odwagi, bezwzględnej niemoralności, niespokojnego ducha i zamiłowania do nauk tajemnych..

Człowiek ten zmarł w kwiecie wieku i — jak mówią kroniki — na obczyźnie; w samą porę, by ujść prawu ścigającemu go za zbrodnie, o które był oskarżony i za które czekał go topór katowski.

Po śmierci wszystkie jego podobizny, bardzo zresztą liczne jako znanego mecenasa sztuki, zostały wykupione i zniszczone, najprawdopodobniej przez spadkobierców, którzy radzi byli wymazać jego imię ze swego wspaniałego drzewa genealogicznego. Posiadał ogromną fortunę, której część, jak fama głosi, przywłaszczył sobie jego faworyt — astrolog czy też jasnowidz, dość że w sposób tajemniczy zginęła po jego śmierci.

Jeden z jego portretów uniknął zniszczenia. Widziałem go parę miesięcy temu w domu pewnego zbieracza i wywarł na mnie silne wrażenie — podobnie jak na wszystkich, którzy go oglądali. Niezapomniana twarz, której miniaturę miałem teraz w dłoni. Prawda, że tutaj mężczyzna wydawał się parę lat starszy niż na portrecie i nawet w chwili śmierci. Ale... czy rzeczywiście tylko parę lat? Niemożliwe — przecież okres działalności tego nieustraszonego człowieka od niewątpliwej daty powstania miniatury dzielą przeszło dwa wieki!

Kiedy tak patrzyłem zadumany, pan J. powiedział:

— Czy to możliwe? Przecież ja znałem tego człowieka.

— Jak to? Gdzie?! — wykrzyknąłem.

— W Indiach. Był zaufanym jednego z radźów i o mały włos nie wciągnął go w rewoltę, w której radża z pewnością straciłby swoje dominia. Człowiek ten był Francuzem. Nazywał się de V.; mądry, odważny, ale samowolny. Nalegaliśmy na jego dymisję i banicję. To na pewno on. Nie ma dwóch takich twarzy. A jednak... ta miniatura ma około stu lat.

Mimo woli odwróciłem podobiznę. Na odwrocie wyryty był pięciokąt, a w nim drabinka, której trzeci stopień stanowiła data 1765. Przyjrzawszy się jeszcze dokładniej, znalazłem sprężynkę; za jej pociągnięciem odskoczyło wieczko. Wewnątrz był napis: „Dla Ciebie, Marianno. Bądź wierna na śmierć i życie...”

Tu następowało nazwisko, które pominę milczeniem, nazwisko mi nieobce. Starzy ludzie w czasach mego dzieciństwa opowiadali o strasznym szarlatanie, który wstrząsnął opinią publiczną Londynu przynajmniej na rok, uciekając z kraju pod zarzutem dokonania dwóch morderstw we własnym domu: na swojej kochance i na rywalu.

Nie wspomniawszy o tym ani słowem panu J. oddałem mu miniaturę.

O ile otwarcie pierwszej szuflady żelaznego sejfów nie nastroczało najmniejszych trudności, o tyle z drugą było znacznie gorzej. Mimo iż nie zamknięta na klucz, opierała się wszystkim naszym wysiłkom, ustąpiła zaś dopiero podważona dżutem. Wewnątrz znaleźliśmy osobliwy aparat, i to w jak najlepszym stanie.

Na cienkim notatniku stało kryształowe naczynie wypełnione przezroczystą cieczą, po której pływało coś w rodzaju kompasu. Igła szybko poruszała się dokoła; zamiast jednak normalnych oznaczeń kompasu, na tarczy widniało siedem dziwnych symboli, przypominających te, jakimi astrologowie oznaczają planety.

Z szuflady, jak się potem okazało, wyłożonej drzewem leszczynowym, dobywał się dosyć szczególnie zapach ani zbyt mocny, ani przykry. Cokolwiek było jego źródłem, odór ten miał dziwny wpływ na nasze nerwy. Czuliśmy to wszyscy — silny dreszcz od stóp do głów.

Chcąc jak najszybciej obejrzeć notatnik, zdjąłem naczynie. Wtedy igła kompasu zaczęła wirować z zawrotną szybkością. Coś mi się szarpnęło tak silnie, że upuściłem przyrząd na ziemię. Płyn się rozlał, naczynie potłukło, a kompas potoczył w róg pokoju. Jednocześnie ściany zakółsały się niby rozhuśtane przez jakiegoś olbrzyma.

Dwaj robotnicy z przerażeniem rzucili się do schodów, ale widząc, że się nic więcej nie dzieje, powrócili bez większych sprzeciwów.

Tymczasem otworzyłem oprawny w gładką, czerwoną skórę i opatrzony srebrnym zamknięciem notatnik, zawierający jedną tylko grubą kartkę. Na kartce, w podwójnej, pięciokątnej ramce wypisane były starą, klasztorną łaciną następujące zdania, które w dosłownym tłumaczeniu brzmią, jak następuje:

„Na wszystko, co jest w tych ścianach, obdarzone czuciem czy nieczule, żywe czy martwe, zgodnie z ruchami wskazówki działa moja wola. Niech będzie przeklęty ten dom, a mieszkańcy niech nie zaznają

spokoju”.

Nie znaleźliśmy nic więcej. Pan J. spalił notatnik z jego anatema i kazał zburzyć aż do fundamentów tajemniczą przybudówkę. Następnie sprowadził się tu na miesiąc i stwierdził, że trudno o spokojniejszy, bardziej wygodny dom w całym Londynie. Wkrótce też wynajął go na korzystnych warunkach, a lokator nigdy się na nic nie skarżył.

Na tym jednak moja historia się nie kończy. W parę dni po przeprowadzce pana J. złożyłem mu wizytę. Właśnie rozmawialiśmy stojąc w otwartym oknie, kiedy przed domem zatrzymał się wóz z meblami, które pan J. prznosił tu z dawnego mieszkania. Usiłowałem go przekonać o słuszności mojej teorii, że zjawiska uważane powszechnie za nadprzyrodzone są li tylko wytworem ludzkiego umysłu, cytując na jej poparcie fakt, iż wykryliśmy i zniszczyli siedlisko złych mocy czy też czarów.

W odpowiedzi pan J. zauważył, że jeśli rzeczywiście istnieje hipnoza czy jakaś inna analogiczna siła, zdolna na odległość wywoływać tak niezwykle efekty, to prawdopodobnie nawet po śmierci osoby obdarzonej tymi zdolnościami skutki jej działalności nie giną. Jeżeli więc czar został naprawdę rzucony i zamknięty w czterech ścianach tamtego pokoju przeszło siedemdziesiąt lat temu, najprawdopodobniej jego sprawcy nie ma już wśród żywych.

Kiedy pan J. wymawiał ostatnie słowa, chwyciłem go gwałtownie za rękę. Z przeciwległej strony ulicy nadszedł właśnie przyzwoicie ubrany mężczyzna i zagadnął o coś woźnicę, zwrócony twarzą do naszego okna. Była to niewątpliwie twarz ze znalezionej przez nas miniatury, twarz dygnitarza z portretu sprzed dwustu lat.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął pan J. — przecież to de V. Ani o dzień starszy od tego, którego widziałem w młodości na dworze radży.

Tknieci jedną myślą pośpieszyliśmy na dół. Pierwszy wypadłem na ulicę, ale nieznajomy już odszedł. Zobaczyłem go jednak z odległości paru jardów i za chwilę byłem przy nim. Postanowiłem przemówić, lecz kiedy spojrzałem mu w twarz, stwierdziłem, że głos mnie zawiódł. Te oczy, oczy węża, osadziły mnie w miejscu i sparaliżowały jakimś czarem. Od całej jego postaci biło takie dostojeństwo i duma, że nawet największym śmiałkom odebrałyby tupet.

A zresztą... cóż właściwie miałem mu powiedzieć? O co spytać?

Zawstydzony i niezdecydowany, pozostałem trochę w tyle, postępując jednak ciągle w pewnej odległości za nieznanym, który tymczasem skręcił w ulicę, gdzie oczekiwał go powóz ze służącym w liberii. Mężczyzna wszedł — powóz odjechał, a ja wróciłem do domu.

Pan J. czekał w drzwiach. Zapytaliśmy woźnicę, co mówił nieznanomy.

— Pytał tylko, kto jest teraz właścicielem domu.

Tak się złożyło, że tego samego wieczoru szedłem z przyjacielem do klubu Cosmopolitan. Przybytek ten stoi otworem dla ludzi wszelkich narodowości, zapatrywań i stanowisk. Po prostu idziesz, zamawiasz kawę, palisz cygaro. Zawsze spotkasz kogoś sympatycznego, nierzadko jakąś sławną osobistość.

Nie minęła chwila, a przy sąsiednim stoliku zobaczyłem... człowieka z miniaturowości. Rozmawiał z moim znajomym, którego oznaczę tu literą G. Był bez kapelusza i podobieństwo do miniaturowości tym więcej mnie zaskoczyło. Zauważyłem tylko gdy rozmawiał, że twarz miał może mniej surową. Czasem nawet gościł na niej uśmiech — powściągliwy jednak i chłodny.

Dostojeństwo w obejściu, które zauważyłem już na ulicy, tu uderzyło mnie jeszcze bardziej. Dostojeństwo tak typowe dla książąt Wschodu, w którym zawiera się najwyższa obojętność obok niezaprzeczalnej, kapryśnej potęgi.

Wkrótce G. pożegnał swego rozmówcę, pozostawiając go nad lekturą jakiegoś naukowego pisma.

Odciągnąłem znajomego na stronę.

— Jak się nazywa i kim jest ten dżentelmen?

— Ten? O, to bardzo znaczna osobistość. Spotkałem go w zeszłym roku w jaskiniach Petry. Najznakomitszy orientalista, którego znam. Trzymaliśmy się razem. W przygodzie z opryszkami jego zimna krew uratowała nam życie. Potem zaprosił mnie do swojej willi w Damaszku, gdzie spędziłem uroczy dzień wśród kwiecia migdałów i róż — coś wspaniałego! Mieszkał tam jakiś czas spokojnie jak wschodni basza. Podejrzewam, że to renegat. Nieprawdopodobnie bogaty dziwak, a oprócz tego wielki hipnotyzer. Na własne oczy widziałem jego ogromny wpływ na przedmioty martwe. Gdybyś na przykład wyjął z kieszeni list i rzucił go w drugi koniec pokoju, na jego rozkaz list przyjdzie do twoich stóp. Będzie się turlał i turlał po

podłódze, aż spełni polecenie. Daję ci słowo. Wszystko to prawda. Widziałem nawet, jak panuje nad pogodą. Gromadzi lub rozpędza chmury za pomocą szklanej pałeczki. Ale nie lubi mówić o tych rzeczach przy obcych. Dopiero co przyjechał do Anglii. Powiada, że nie był tu całe lata. Pozwól, że ci go przedstawię.

— Doskonale. To on jest Anglikiem? Jak się nazywa?

— Bardzo pospolicie. Richards.

— Jak urodzony? Co wiesz o jego rodzinie?

— Właściwie nic. Zresztą, czy to ważne? Na pewno parweniusz, ale bogaty... diabelnie bogaty!

G. poprowadził mnie do nieznanego i dokonał prezentacji. Sposób bycia pana Richardsa bynajmniej nie znamionował wielkiego podróżnika. Podróżnicy na ogół odznaczają się dużym temperamentem. Są rozmowni, żywi, pełni inicjatywy. Pan Richards był spokojny, powściągliwy w rozmowie, a jego zachowanie cechowała osobliwa górnołotność i drobiazgowa dbałość o etykietę, typowa dla ubiegłego wieku.

Zauważyłem też, że jego angielszczyzna była nieco staroświecka, akcent zaś, powie-działbym, z lekka cudzoziemski. Pan Richards nadmienił jednak, że w ostatnich latach dosyć rzadko posługiwał się ojczystym językiem.

Rozmowa potoczyła się na temat zmian, jakim uległ Londyn od czasu ostatniej wizyty pana Richardsa. Potem zeszła na literaturę, problemy społeczne, polityczne oraz niektórych wielkich ludzi. Wszystko to zdawało się nie interesować pana Richardsa. Najwyraźniej nie czytał żadnego ze współczesnych autorów, a o wielu mężach stanu młodszego pokolenia zaledwie słyszał. Raz jeden tylko roześmiał się, kiedy G. zapytał, czy ma zamiar kandydować w wyborach do parlamentu. Był to śmiech jak gdyby wewnętrzny, pełen sarkazmu, złowrogi śmiech-szyderstwo. Po chwili G. przyłączył się do znajomych, którzy właśnie weszli na salę, więc powiedziałem spokojnie:

- Widziałem pańską miniaturę, panie Richards, na Oxford Street, w domu, w którym niegdyś pan mieszkał i który najprawdopodobniej sam pan budował, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo. Przechodził pan tamtędy dziś rano.

Dopiero teraz odważyłem się spojrzeć mu w twarz. Przykuł mój wzrok swymi fascynującymi, węzowymi oczyma. Zupełnie mimo

woli, jak gdyby wyciągano ze mnie słowo po słowie, dodałem szeptem:

— Studiowałem kiedyś tajemnice natury i życia. Znałem wybitnych profesorów wiedzy tajemnej. Mam prawo poruszać z panem ten temat. — Tu wymieniłem coś w rodzaju hasła.

— Uznaję pańskie prawo. Cóż chce pan wiedzieć?

— Jak dalece przy pewnych temperamentach może sięgać ludzka wola?

— Jak potężna może być ludzka myśl? Proszę tylko pomyśleć, a zanim pan odetchnie, będzie pan w Chinach.

— Zgoda, ale moja myśl nie ma w Chinach żadnego znaczenia..

— Proszę ją tylko wyrazić, a może go nabrać. Niech ją pan sformułuje na piśmie, a prędzej czy później zmieni cały ustrój Chin. Bo czymże jest prawo, jak nie ludzką myślą? Myśl jest nieograniczona. Myśl to potęga, bez względu na jej wartość. Zła myśl może ustanowić złe prawo równie silne, jak dobra ustanawia dobre prawo.

— Tak. To, co pan mówi, potwierdzałoby moją własną teorię, że dzięki niewidzialnym prądom jeden ludzki umysł może przekazywać drugiemu swoje wyobrażenia równie szybko jak wiadomości przekazywane za pomocą środków widzialnych. Ponieważ myśl jest niezniszczalna i ponieważ wyciska pewne piętno w świecie materialnym, nawet jeśli jej autor już nie żyje, istnieje duże prawdopodobieństwo, że myśli człowieka żyjącego mają moc ożywiania myśli zmarłych, takich, jakimi myśli te były za ich życia. Natomiast aktualne wyobrażenia zmarłych są niedostępne myśli człowieka żyjącego. Nieprawdaż?

— Wstrzymam się z odpowiedzią. Gdybym stwierdził, że myśl jest ograniczona, zatrzymałby się pan na tym. Ale proszę mówić dalej, wszak ma pan jakieś specjalne pytania.

— Intensywne zło połączone z intensywną wolą, zrodzone ze szczególnego temperamentu i wspomagane przez środki będące w granicach ludzkiej wiedzy, może produkować zjawiska przypisywane niegdyś diabelskiej magii. Może nękać ludzkie domostwa zjawami wskrzeszonymi ze złych myśli i złych czynów, jakich dokonano w tych ścianach — niedoskonałe, chaotyczne strzępy przed laty rozegranych tu dramatów. Myśli, splątane ze sobą bezładnie jak w sennym widziadle, urastają do złudnych postaci i dźwięków

wywołujących uczucie grozy nie dlatego, żeby naprawdę pochodziły z zaświatów, ale dlatego, że są widmami czegoś, co rzeczywiście się zdarzyło, splecionymi w potworne sceny za sprawą śmiertelników obdarzonych potęgą złej siły. Źródłem tej siły jest materialny mózg ludzki. Dzięki niemu zjawy mogą porażać jak elektrycznością, zabijać tych, których myśl nie jest silniejsza od myśli promotora zjawisk, mogą uśmiercić najsilniejsze nawet zwierzę, otępiałe ze strachu, nie są jednak w stanie zrobić nic człowiekowi, który mimo cierpiącej skóry zachowa hart ducha.

Często w starych opowieściach czytamy o czarnoksiężnikach rozrywanych przez diabły, które sami stworzyli. W pewnym sensie, jak wiemy, jest to możliwe: niektóre jednostki ze swych złych skłonności emanują fluidy, te zaś — zwykle spokojne i nieszkodliwe — przybierają nieraz okropne kształty i przeraźliwą siłę. Podobnie błyskawica, drzemiąca gdzieś w chmurach, nagle w sposób naturalny przyjmuje widzialną postać i grozi zniszczeniem.

— Widzę, że uchylił pan rąbka wielkiej tajemnicy — powiedział spokojnie pan Richards — ale z tego, co pan mówi, wynika, że podobną siłą może być obdarzony jedynie człowiek zły, mściwy.

— O ile efekty są takie, o jakich właśnie wspominałem, to nawet bardzo zły i mściwy. Jest on jednak w stanie wyrządzić szkodę tylko temu, do kogo powziął niechęć albo na kogo ma nieograniczony wpływ. Pozwolę sobie przytoczyć tutaj pewien przykład, który, choć nie wykracza poza prawa natury, wydaje się dziwny.

Niewątpliwie pamięta pan, jak Albertus Magnus, opisawszy w pierw drobiazgowo proces wywoływania duchów, podkreśla, że dar tan posiada niewielu: „człowiek musi się urodzić spirytystą” — to znaczy z pewnymi określonymi predyspozycjami psychicznymi, jak na przykład urodzony poeta.

Rzadko zdarzają się ludzie obdarzeni tą tajemniczą mocą, pochodzącą z intelektu nieskazitelnego, najwyższej klasy. Zwykle umysł ma jakąś skazę, sprzeczność czy anomalię. Z drugiej strony musi posiadać wysoce rozwiniętą zdolność koncentrowania się na jednym przedmiocie — czynną siłę, którą zwiemy wolą. Choć więc intelekt takich ludzi nie jest zupełnie zdrowy, dąży tym intensywniej do osiągnięcia wytkniętych celów. Załóżmy, że naprawdę istnieje człowiek obdarzony, i to w sposób szczególny, tą tajemną mocą. Umieścmy go w wyższych sferach społecznych.

Powiedzmy, że człowiek ten to epikurejczyk z usposobienia — a zatem kocha życie, jest absolutnym egotystą. Ma silne namiętności, nie zna poświęcenia, nie żywi szlachetnych uczuć. Pożąda gwałtownie tego, na co ma akurat ochotę — nienawidzi namiętnie wszystkie-go, co stoi mu na przeszkodzie. Jest zdolny popełniać najgorsze zbrodnie bez żadnych skrupułów; skłonny raczej przeklinać bliźnich niż żałować za swoje grzechy. Okoliczności, jakie sam stwarza, udostępniają mu rzadką znajomość tajemnic życia, która może służyć jego egoistycznym celom. Jest cierpliwym obserwatorem, gdy jego namiętności tego wymagają, i dokładnym kalkulatorem nie z umiłowania prawdy, ale tam, gdzie miłość własna zaostrza jego zdolności. Człowiek taki może stać się uczonym.

Należy się więc spodziewać, że podobny osobnik, znając z doświadczenia wpływ swoich sztuczek na innych oraz wypróbowałszy na sobie siłę własnej woli, będzie jak najusilniej drogą studiów rozszerzał swą wiedzę. Kocha on życie, boi się śmierci, ma silną wolę przeobrażania. Ale nie może przywrócić sobie młodości, podobnie jak i zatrzymać nadchodzącej śmierci. Nie może też uczynić nieśmiertelnym swego ciała. Mimo to potrafi na niewiarygodnie długi okres odwlec proces starzenia. Rok nie postarzy go więcej niż innych godzina. Intensywna wola, przekuta w system naukowy, czuwa nad zachowaniem jego cielesnej powłoki. On żyje. By jednak nie budzić podejrzeń, od czasu do czasu pozornie umiera.

Zapewniwszy sobie środki finansowe oraz odprawienie ceremonii pogrzebowych, człowiek ten znika i ukazuje się na drugim końcu świata, gdzie żyje sobie spokojnie, przez nikogo nie podejrzewany. Nie zjawia się też na terenach dawnej swej działalności, dopóki żyje ktoś, kto mógłby go poznać. Gdyby miał jakieś uczucia, byłby głęboko nieszczęśliwy, ale nie ma żadnych — chyba tylko dla siebie. Żaden uczciwy człowiek nie uznałby jego długowieczności, żadnemu też — czy byłby dobry, czy zły — nie mógłby powierzyć tej tajemnicy. Człowiek, jakiego opisałem, mógłby istnieć — więcej: człowieka takiego widzę teraz przed sobą. Książę... z dworu... dzielący czas między rozpustę i burdy, alchemię i czary, w ubiegłym stuleciu zaś znany szarlatan i kryminalista, występujący pod nazwiskiem nie tak już przyzwoitym jak dziś i zamieszkujący dom, o który dziś pan pytał. Człowiek ten uciekł przed prawem, które sam pogwałcił. Precz z miast i domostw zdrowych moralnie ludzi! Precz

do imperiów, które przeminęły, precz na dzikie pustynie...

W odpowiedzi usłyszałem szept tak bardzo melodyjny, że zdawał się całego mnie przenikać i obezwładniać wbrew mojej woli...

— Szukałem takiego człowieka jak ty przez całe stulecia. Nareszcie znalazłem! Nie rozstaniemy się, póki mi nie powiesz, czego chcę. Jest w tobie wizja przeszłości i przyszłości. Wytęż myśl i patrz w przyszłość!

Kiedy to mówił, odniosłem takie wrażenie, jakbym opuściwszy powłokę cielesną uniósł się na skrzydłach orła ponad budynek, w przestrzeń bezkresną. Byłem poza moim ciałem. Gdzie — nie wiem. W każdym razie gdzieś ponad czasem i ponad ziemią.

I znów usłyszałem melodyjny szept:

— Masz rację, posiadam wielkie tajemnice dzięki sile woli. To prawda, że wola i wiedza mogą opóźnić proces starzenia, ale śmierć przychodzi nie tylko z wiekiem. Cóż mogę, na przykład, poradzić na wypadki, w których tak często giną młodzi? Nic. Każdy wypadek to przeznaczenie, a wobec przeznaczenia ludzka wola jest bezsilna.

Powiedz, jaki będzie mój koniec: czy miną wieki, nim wreszcie umrę pod brzemieniem lat postępujących powoli, ale nieuchronnie, czy też zginę w jakim wypadku?

— Zginiesz w wypadku.

— Jak dużo mam jeszcze czasu? — zapytał nieco drżący głos

— Mierząc w kategoriach mego życia — bardzo dużo.

— Czy przed śmiercią powrócę między ludzi, by dzielić ich losy jak dawniej, zanim poznałem wielkie tajemnice? Czy wezmę czynny udział w ich codziennej walce, troskach i nadziejach. A może rozum mędrca zdobędzie mi potęgę królów?

— Kiedyś jeszcze odegrasz na ziemi rolę, która poruszy i wprawi w zdumienie cały świat. Ty — istota niezwykła — dla niezwykłych też celów żyjesz całe stulecia. Wszystkie tajemnice, których dotąd strzegłeś, znajdują zastosowanie. Wszystko to, co sprawia, żeś teraz obcy ludzkim generacjom, uczyni cię ich panem. Jak drzewa i trawy porywa i wsysa wir wody, tak pokolenia całe i trony miotać będzie huragan twej woli. Straszliwy niszczycielu, któryś w swym zniszczeniu wbrew własnej woli stał się twórcą!

— Czy chwila ta jest odległa?

— Bardzo odległa, ale gdy nadejdzie — koniec twój będzie bliski.

— Jak to się stanie?

— Spójrz w cztery strony świata. Na Północy, przed którą instynkt twój cię ostrzega, gdzie nie postąpiła jeszcze twoja noga — pochwyti cię widmo. To będzie śmierć. Widzę statek — coś na nim straszy, coś go ściga. Statek płynie naprzód. Za nim sunie flotyła zbłąkanych okrętów. Statek wpływa w krainę lodów, pod niebem purpurowym od meteorów. Dwa księżycy wiszą nieruchomo nad lodowymi rafami. Widzę, jak statek utknął w białym wąwozie lodowych skał. Jego pokład zasłany jest trupami — sztywne, sine ciała pokryte zieloną pleśnią. Jeden tylko człowiek pozostał przy życiu — to ty! Ale lata, choć tak wolno płynęły, wycisnęły na tobie piętno. Na twarzy widać zapowiedź starości — wola osłabła w komórkach mózgu. Lecz ta wola, choć nie tak już silna, przewyższa wszystko, do czego człowiek był dotąd zdolny. Dzięki niej, nękanym głodem utrzymujesz się przy życiu. Natura jednak odmawia ci już posłuszeństwa w tej krainie śmierci. Niebo jest jak z ołowiu, powietrze ściska żelaznymi kleszczami, a lód wrzyna się w kadłub statku. Słyszysz, jak statek trzeszczy i jęczy? Jeszcze chwila, i lód wchłonie go jak bursztyny żdźbło trawy. Nagle wyłania się postać ludzka — jeszcze żywa; opuszcza statek z jego trupami i wznosi się na sam szczyt lodowej skały, dwa księżycy patrzą z góry na ludzką sylwetkę. Ten człowiek to ty. Ogarnia cię strach, strach zniszczył twą wolę.

Widzę, jak na lodowe urwisko wspinają się dwa szare kształty — niedźwiedzie Północy wyczuły ofiarę. Niezdarnie podchodzą coraz bliżej i bliżej... przewalają się z boku na bok. Każda chwila tego dnia wyda ci się dłuższa niż wieki, które przeżyłeś. Pamiętaj, że po śmierci te chwile składają się na błogosławieństwo lub piekło wieczności.

— Szsza — wyszeptał głos. — Ale ten dzień, jak mówiłeś, jest jeszcze daleki, bardzo daleki, prawda? Wracam do moich drzew migdałowych i róż Damaszku... Śpij!

Pokój zakołysał mi się przed oczyma. Straciłem świadomość. Gdy się ocknąłem, G. trzymał mi rękę i uśmiechał się do mnie.

— Ty, który tyle mówiłeś o swej odporności na hipnozę, uległeś, jak widzę, memu przyjacielowi Richardsowi.

— Gdzie on jest?

- Wszedł, gdy zapadłeś w trans. Na odchodnym szepnął mi tylko: „Twój przyjaciel nie obudzi się przed upływem godziny”.

Jak mogłem najspokojniej spytałem, gdzie mieszka pan Richards.

— W hotelu „Trafalgar” — odparł.

— Chodź ze mną — poprosiłem. — Odwiedzimy go; mam mu coś do powiedzenia.

W hotelu powiedziano mi, że pan Richards wrócił ze dwadzieścia minut temu, zapłacił rachunek i polecił swojemu służącemu, Grekowi, by spakowawszy bagaż udał się na Maltę parowcem opuszczającym nazajutrz Southampton. O sobie powiedział pan Richards tylko tyle, że musi złożyć parę wizyt w okolicach Londynu i że nie jest pewien, czy zdąży na ten parowiec. Gdyby się spóźnił, pojedzie następnym.

Portier spytał mnie o nazwisko, po czym wręczył mi kartkę zostawioną przez pana Richardsa na wypadek, gdybym przyszedł.

List brzmiał, jak następuje:

Chciałem, by odkrył pan przede mną swoje myśli. Usłuchał mnie pan. Roztoczyłem więc nad panem swoją władzę. Przez trzy miesiące, począwszy od dziś, nie wolno panu wspomnieć o tym, co zaszło między nami. Nie wolno też pokazać tego listu pańskiemu przyjacielowi. Przez trzy miesiące musi pan zachowywać bezwzględne milczenie we wszystkim, co mnie dotyczy. Gdyby pan wątpił w moc zakazu, proszę spróbować go złamać. Przy końcu trzeciego miesiąca czar zostanie zdjęty. Poza tym oszczędzę pana. Odwiedzę pański grób dokładnie w rok i dzień po pogrzebie.

Tak kończy się dziwna historia, o której autentyczności nie będę nikogo przekonywał. Spisałem ją wiernie w trzy miesiące po otrzymaniu powyższego listu. Nie mogłem tego zrobić wcześniej, podobnie jak mimo jego usilnych nalegań nie mogłem pokazać G. kartki, którą czytałem pod jego bokiem przy świetle gazowej lampy.

Przełożyła Zofia Uhrynowska

FRIEDRICH GERSTÄCKER (1816 — 1872)
GERMELSHAUSEN

Pisarz niemiecki, autor powieści podróżniczych i przygodowych, w których wykorzystywał własne doświadczenia życiowe. Spośród licznych jego utworów najgłośniejsze to „Poskramiacze z Arkanzasu”

i „Piraci na Missisipi”.

Jesienią roku 184... szerokim traktem prowadzącym z Marisfels w górę do Wichtelhausen wędrował młody, wesoły chłopak z plecakiem przerzuconym przez ramię, z kijem w rękę; szedł powoli, ciesząc się wędrownką.

Nie był czeladnikiem, który w poszukiwaniu pracy przemierza kraj — widać to było na pierwszy rzut oka, nawet gdyby nie zdradzała tego mała, ślicznie wykonana skórzana teka, przytroczona do plecaka. Wszystko świadczyło o tym, że jest artystą Zuchwale nasadzony na bakier czarny kapelusz z szerokim rondem, długie, jasne, kędzierzawe włosy, miękki, jeszcze bardzo młody zarost, nawet trochę wytarta czarna aksamitna kurtka, w której tego pogodnego ranka było mu chyba za ciepło. Rozpiął ją — biała koszula pod spodem, nie nosił bowiem kamizelki, była przy szyi luźno ściągnięta czerwoną, jedwabną chustką.

Dzieliło go już niespełna piętnaście minut drogi od Marisfels, gdy rozległ się dzwon kościelny. Młodzieniec przystanął, podparł się kijem i nasłuchiwał uważnie dobiegających go cudownych głębokich tonów.

Dzwon już przebrzmiał, a on wciąż jeszcze stał w miejscu i marzycielsko spoglądał na zbocza. Duchem przebywał ze swymi najbliższymi w małej, pogodnej wiosce w górach Taunus, z matką, z siostrami — i jak gdyby łzy zalśniły mu w oczach. Lecz jego wesołe usposobienie nie dopuściło do smutnych, melancholijnych myśli. Zdjął tylko kapelusz i posłał serdeczny uśmiech w stronę, gdzie, jak mniemał, znajdowała się ojczysta wieś, potem mocniej ujął gruby kij i rześko ruszył dalej, zmierzając w obranym kierunku.

Tymczasem słońce lało żar na szeroki, monotony trakt, pokryty grubą skorupą kurzu, i nasz wędrowiec już od jakiegoś czasu rozglądał się na prawo i lewo w poszukiwaniu wygodniejszej ścieżki. Na prawo droga się co prawda rozgałęziała, ale nie zdawała się być lepsza, zresztą za daleko odbiegała od kierunku, w którym zmierzał. Jeszcze więc czas jakiś trzymał się starej drogi, aż wreszcie dotarł do przejrzystego źródelka górskiego, przy którym można było rozpoznać ruiny starego, kamiennego mostu. Przebiegała tamtędy ścieżka, porośła trawą, a ponieważ nasz artysta nie miał wytkniętego celu, zmierzał bowiem tylko do pięknej doliny Werrathal, aby wzbogacić

swą tekę z rysunkami, więc suchą nogą przedostał się przez rzekę, przesadzając wielkie głazy, wkroczył na skoszoną łąkę i ruszył rażno po uginającej się pod jego stopami trawie w cieniu gęstych zarośli olszyny, bardzo zadowolony z obranej drogi.

— Teraz jestem w lepszej sytuacji, bo przynajmniej nie wiem, dokąd dojdę — śmiał się głośno. — Nie mam nudnego drogowskazu, który człowiekowi już na kilka godzin z góry wyjaśnia, jak nazywa się najbliższa miejscowość, a w ogóle za każdym razem podaje nieprawdziwą odległość. Chciałbym tylko wiedzieć, jak tutejsi ludzie odmierzają swój czas. Dziwnie tu w tej dolinie... no, w niedzielę chłopie nie pracują w polu, a skoro przez cały tydzień muszą chodzić za pługiem lub biec koło wozu, nie kwapią się w niedzielę do spacerów; najpierw porządnie wysypiają się w kościele, a potem, po obiedzie, wyprostowują nogi pod stołem w gospodzie... hm, na taki skwar kufel piwa byłby nie do pogardzenia, ale zanim go dostanę, czysta woda ze źródelka też ugasi mi pragnienie.

Z tymi słowy zrzucił plecak i kapelusz, zszedł nad wodę i pił ile dusza zapragnie. Orzeźwiony miłym chłodem, spostrzegł starą, dziwnie wykoślawioną wierzbę; wprawną ręką szybko ją naszkicował i teraz, już całkowicie rześki i wypoczęty, podniósł z ziemi lekki plecak i ruszył dalej, nie troszcząc się o to, dokąd go droga zaprowadzi.

Szedł tak chyba z godzinę, uzupełniając swoją tekę szkicami to głazu skalnego, to osobliwych zarośli olszyny czy też sękatego konara dębu; słońce wznosiło się coraz wyżej, i młodzieniec postanowił przyspieszyć kroku, aby w najbliższej wsi dostać przynajmniej obiad.

Nagle w dolinie tuż przy strumyku i starym głazie, służącym dawniej zapewne za ołtarzyk, ujrzał młodą wieśniaczkę; siedziała, spoglądając na ścieżkę, którą szedł. Osłonięty olchami, ujrzał ją wcześniej niż ona jego; idąc brzegiem strumyka, prawie nie wychylał się z zarośli, które dotąd ukrywały go przed jej wzrokiem. Nagle zerwała się i z okrzykiem radości pobiegła mu na spotkanie.

Arnold, bo tak się młodzieniec nazywał, przystanął zdumiony i wkrótce mógł się przekonać, że była to śliczna, zaledwie siedemnastoletnia dziewczyna, odziana w osobliwy, lecz ogromnie malowniczy wiejski strój; wyciągnęła do niego ramiona i jak na skrzydłach pobiegła mu na spotkanie. Arnold zdawał sobie sprawę, że ona bierze go za kogoś innego i że to radosne powitanie nie dla niego

jest przeznaczone. Dziewczyna zrozumiała swoją omyłkę, zatrzymała się zalękniona, zbladła, potem oblała się rumieńcem, wreszcie odezwała się nieśmiało:

— Proszę mi wybaczyć, łaskawy obcy panie... ja... myślałam...

— Że to twój ukochany, prawda, moje dziecko? — roześmiał się młodzieniec. — A teraz jesteś rozczarowana, że zastąpił ci drogę jakiś obcy, obojętny człek. Nie gniewaj się, że nie jestem twoim chłopcem.

— Ach, łaskawy panie — szepnęła trwożnie — czyż mogłabym się gniewać... ale gdybyście, panie, wiedzieli, jak bardzo się cieszyłam...

— Wobec tego nie zasługuje na to, byś dłużej na niego czekała — rzekł Arnold, który dopiero teraz uświadomił sobie niezwykle doprawdy urok tego skromnego wiejskiego dziewczęcia. — Gdybym był na jego miejscu, nie czekałabyś na mnie ani jednej jedynej chwili nadaremnie.

— Tak pięknie przemawiacie, panie — rzekła zawstydzona. — Gdyby on mógł przyjść, już by tu był. Może jest chory albo... albo nawet nie żyje — dodała powoli, wzdychając głęboko, ze szczerym smutkiem.

— Czy dawno nie dawał znaku życia?

— Dawno, bardzo dawno.

— Może mieszka daleko stąd?

— Daleko?... no tak, dość daleko, w Bischofsrodzie.

— W Bischofsrodzie? Byłem przez cztery tygodnie w tej miejscowości i znam tam każde dziecko. Jak on się nazywa?

— Heinrich, Heinrich Vollgut, syn sołtysa.

— Hm — zastanowił się Arnold — u sołtysa bywałem bardzo często, ale jeśli się nie mylę, nazywa się on Bauerling, a nazwiska Vollgut nie słyszałem w tej wsi w ogóle.

— Widocznie nie wszystkich pan tam poznał — odparła dziewczyna; przez smutek malujący się na jej twarzyczce przedarł się jednak delikatny, figlarny uśmiech, z którym było jej tak ładnie, o wiele ładniej niż z poprzednią melancholią.

— Ale z Bischofsrody można tu przejść górą w ciągu najwyżej trzech godzin.

— Mimo to nie przychodzi — westchnęła ciężko — a przecież solennie mi przyrzekł.

— No to na pewno przyjdzie — pocieszył ją Arnold pocziwie —

bo jeśli się tobie coś przyrzekło, trzeba by mieć serce z kamienia, aby słowa nie dotrzymać. A twój Henryk chyba nie taki.

— Nie, ale teraz nie mogę na niego dłużej czekać; muszę iść do domu na obiad, inaczej ojciec będzie się gniewał.

— Skąd jesteś?

— Tam z doliny. Nie słyszeliście, panie, dzwonu? Właśnie skończyło się nabożeństwo.

Arnold jął nasłuchiwać — całkiem niedaleko rozbrzmiewało bicie dzwonu, nie były to jednak dźwięki czyste, głębokie, lecz ostre, niemiłe; kiedy młodzieniec zerknął w tamtym kierunku, wydało mu się, że dolinę zasnuwa gęsta mgła.

— Wasz dzwon jest chyba pęknięty — zaśmiał się — brzmi niezbyt pięknie, złowieszczo.

— Tak, wiem — odparła dziewczyna obojętnie — nie brzmi ładnie, powinniśmy byli już od dawna go stopić i odlać dzwon na nowo, ale zawsze brak nam pieniędzy i czasu, bo tu w okolicy nie ma ludwisarza. Ale cóż to szkodzi, wszyscy znamy ten dzwon, i kiedy zaczyna bić, wiemy, co oznacza, tak więc i pęknięty dzwon spełnia swoją powinność.

— Jak się twoja wieś nazywa?

— Germelshausen.

— A czy dojdę stamtąd do Wichtelhausen?

— Bez trudu. Ścieżką idzie się zaledwie pół godziny, może nawet krócej, jeśli przy-spieszy się kroku.

— Wobec tego idę z tobą, ślicznotko, i jeśli w twojej wsi jest jakaś dobra gospoda, zjem tam obiad.

— Gospoda jest aż za dobra — odparła dziewczyna z westchnieniem, spoglądając za siebie, jakby jednak spodziewała się nadejścia swego Heinricha.

— Czy gospoda może być za dobra?

— Dla wieśniaków tak — rzekła poważnie, idąc obok niego powoli w stronę doliny — mają bowiem wieczorem po pracy niejedno w domu do zrobienia, a jeśli przesiadują w szynku do późna w noc, zaniedbują gospodarstwo.

— Ale ja dziś niczego nie zaniedbam.

— No tak, jeśli idzie o panów z miasta, to inna sprawa, przecież nie pracują, więc i niczego nie zaniedbują, to wieśniacy muszą na nich pracować.

— Co to, to nie — zaśmiał się Arnold. — Wprawdzie kmiecie uprawiają rolę, owszem, ale my sami musimy na siebie pracować, czasem nawet w pocie czoła, bo wieśniak każe sobie za swoją pracę słono płacić.

— Ale wy, panie, chyba nie pracujecie?

— Czemu tak myślisz?

— Na waszych rękach nie widać śladów pracy.

— Wobec tego zaraz ci dowiodę, co i jak potrafię robić. Usiądź na tym płaskim kamieniu pod starym krzewem bzu...

— Po co?

— Usiądź, a zobaczysz. — Młody malarz szybko zrzucił plecak i wyciągnął tekę i ołówek.

— Kiedy muszę już wracać.

— W ciągu pięciu minut będę gotów i chętnie zabiorę ze sobą w świat pamiątkę po tobie. Nawet twój Heinrich nie miałby nic przeciwko temu.

— Pamiątkę po mnie? Żartowniś z was, panie.

— Chcę zabrać ze sobą twój portrecik.

— Jesteście malarzem?

— Tak.

— Dobrze by było, gdybyście mogli w Germelshausen odmalować obrazy w kościele, są bowiem już bardzo zniszczone, wyblakłe.

— Jak się nazywasz? — Arnold otworzył tekę i szybko szkicował śliczne rysy dziewczyny.

— Gertruda.

— Kim jest twój ojciec?

— Sołtysem... Jeśli jesteście malarzem, nie powinniście iść do szynku; zabiorę was od razu do domu, a po obiedzie możecie omówić z ojcem całą sprawę.

— Sprawę obrazów kościelnych?

— Tak — odparła poważnie — i powinniście u nas zostać długo, bardzo długo... aż znowu nadejdzie nasz dzień, i obrazy będą gotowe.

— No, o tym porozmawiamy później, Gertrudo — rzekł młody malarz, zręcznie manewrując ołówkiem — ale czy twój Heinrich nie byłby zły, gdybym prowadził z tobą długie, zbyt długie rozmowy?

— Heinrich już nie przyjdzie.

— Dziś nie, ale może jutro.

— Nie — odparła Gertruda z niezmaconym spokojem — ponieważ nie przyszedł do jedenastej, już się nie zjawi, aż znowu nastanie nasz dzień.

— Wasz dzień? Co masz na myśli?

Dziewczyna spojrzała na niego poważnie swymi wielkimi oczyma, lecz nie odpowiedziała; wzrok jej z dziwnym wyrazem bólu i smutku śledził przeciągające wysoko nad nimi obłoki. W tej chwili była doprawdy anielsko piękna, i Arnold w swym pragnieniu, aby oddać całą jej doskonałą urodę, zapomniał o wszystkim. Nie pozostało mu zresztą dużo czasu. Młoda dziewczyna nagle wstała i zarzucając chusteczkę na głowę, aby uchronić się przed promieniami słońca, powiedziała:

— Muszę iść, dzień jest taki krótki, a w domu na mnie czekają.

Arnold ukończył swój szkic i zaznaczając kilkoma śmiałymi kreskami układ fałd stroju, pokazał Gertrudzie arkusz.

— Trafnie cię narysowałem?

— To ja?! — zawołała dziewczyna niemal z przestrawem.

— A któż by inny? — zaśmiał się Arnold.

— I chcecie ten rysunek zachować i zabrać ze sobą?

— Pewnie, że chcę. Kiedy odejdę daleko, daleko stąd, będę często i serdecznie o tobie myślał.

— Nie wiem, czy ojciec zezwoli.

— Że będę o tobie myślał? Chyba nie może mi tego zakazać

— Nie... ale... że zabierzecie ze sobą rysunek w daleki świat.

— Nie może mi tego zabronić, moja miła — rzekł Arnold. — Ale czy tobie samej było-by przykro, że twój portrecik znajduje się w moim posiadaniu?

— Mnie? Nie... — odparła po krótkim wahaniu — gdyby tylko... muszę jednak ojca o to zapytać.

— Masz źle w głowie, dziecko — roześmiał się młody malarz. — Nawet księżniczka nie miałaby nic przeciwko temu, by jakiś artysta zachował dla siebie jej podobiznę. Nie stanie ci się z tego powodu żadna krzywda... Ale nie spiesz się tak, szalona dziewczyno. Pójdę z tobą, czy też chcesz pozostawić mnie bez obiadu? Zapomniałaś o obrazach kościelnych?

— Ach, tak, obrazy. — Zatrzymała się, czekając na niego. Arnold szybko zawiązał tekę i po chwili był przy niej. Przyspieszyli kroku, zdążając do wsi.

Wioska znajdowała się o wiele bliżej, niż Arnold sądził, słysząc dźwięk pękniętego dzwonu: to bowiem, co brał z daleka za gąszcz olszyny, okazało się szpalerem drzew owocowych, za którym, ukryta w zieleni, lecz od północy i od południowego wschodu otoczona rozległymi polami, ciągnęła się stara wieś ze swą niską wieżą kościelną i szerniałymi od dymu zabudowaniami.

Szli najpierw dobrze ubitą drogą, obsadzoną po obu stronach drzewami owocowymi. Nad wsią jednak unosiła się posępna górską mgła, którą Arnold spostrzegł już z daleka: jasne światło słoneczne załamywało się w niej i jako żółtawa niesamowita poświata padało na szare, zwietrzałe ze starości dachy. Arnold jednak prawie nie zważał na to, gdy bowiem zbliżyli się do pierwszych domów, Gertruda ujęła powoli jego dłoń i trzymając ją w swojej, skręciła w najbliższą uliczkę.

Cudowne uczucie ogarnęło młodzieńca pod dotknięciem tej ciepłej ręki, i prawie mimo woli oczy jego szukały oczu dziewczyny. Lecz Gertruda nie patrzyła na niego: ze skromnie spuszczonego ku ziemi wzrokiem prowadziła gościa do rodzicielskiego domu. Wreszcie Arnold zwrócił uwagę na dziwne zachowanie się spotykanych po drodze mieszkańców wsi — wszyscy mijali go w milczeniu, bez pozdrowienia.

To przede wszystkim rzuciło mu się w oczy, gdyż wszędzie w sąsiednich wioskach uważano by za wręcz karygodne, gdyby ktoś nie pozdrowił obcego przybysza przynajmniej skromnym „dzień dobry” lub „pochwalony”. Tutaj natomiast, jak w wielkim mieście, ludzie mijali go w milczeniu i obojętnie, czasem przystawali i oglądali się, ale nikt go nie zagadnął. Nikt też nie pozdrowił dziewczyny.

A jak osobliwie wyglądały stare domostwa o spiczastych, zdobnych w rzeźby szczytach i zwietrzałych, krytych słomą dachach! Choć to była niedziela, nigdzie okna nie były wymyte, a w okrągłych, ujętych w ołów szybkach, szarych i jakby zaparowanych, mieniło się tęczowe lśnienie.

Kiedy oboje mijali domy, tu i tam z uchylonych okien wyglądały miłe twarzyczki dziewcząt lub oblicza szacownych matron. Arnold zwrócił też uwagę na dziwaczne ubiory ludzi, różniące się zasadniczo od odzieży noszonej w sąsiednich wsiach. Panowało przy tym całkowite milczenie. Arnold, przygnębiony, rzekł do swojej towarzyszki:

— Czy tak ściśle przestrzegacie niedzieli, że ludzie nawet się ze

sobą nie witają? Gdyby nie ujadanie psa czy pianie koguta, można by mniemać, że to martwa wieś.

— Jest teraz południe — odparła Gertruda spokojnie — o tej porze ludzie nieskorzy są do pogawędek. Dziś wieczorem przekonacie się, że są aż nadto hałaśliwi.

— Bogu dzięki! — zawołał Arnold — widzę przynajmniej dzieci bawiące się na ulicy, bo już poczułem się nieswojo; w Bischofsrodzie całkiem inaczej święci się niedzielę.

— Oto dom mojego ojca — powiedziała Gertruda po cichu.

— Nie mogę tak nagle i niespodziewanie zwalić mu się do domu prosto na obiad — zaśmiał się Arnold. — Byłby może niezadowolony, ja zaś lubię podczas posiłków widzieć dokoła siebie pogodne twarze. Raczej pokaż mi drogę do gospody, lube dziecię, albo sam ją znajdę; Germelshausen nie różni się zapewne od innych wsi: obok kościoła znajduje się zazwyczaj karczma, i jeśli się idzie w kierunku wieży kościelnej, nigdy człek nie zbłądzi.

— Macie słuszość, panie, i u nas tak jest. Ale w domu już na nas czekają, i nie macie powodu obawiać się, że przyjmą was niechętnie.

— Czekają na nas? Ach, masz na myśli ciebie i twojego Heinricha. No cóż, Gertrudo, gdybyś zechciała przyjąć mnie na jego miejsce, zostałbym z tobą... tak długo, aż byś sama kazała mi odejść.

Ostatnie słowa wyrzekł mimo woli bardzo serdecznie i uścisnął jej dłoń, która wciąż jeszcze trzymała jego rękę. Gertruda nagle się zatrzymała, spojrzała mu prosto w oczy i rzekła:

— Chcielibyście naprawdę?

— Z największą radością — zawołał młody malarz, zniewolony cudowną urodą dziewczyny.

Gertruda nic na to nie odrzekła, szła dalej, jak gdyby zastanawiając się nad słowami swego towarzysza. Wreszcie zatrzymała się przed okazałym domem, ogrodzonym żelaznymi sztachetami, do którego wiodły szerokie, kamienne schody.

— Tu mieszkam, łaskawy panie — rzekła nieśmiało jak poprzednio — i jeśli to wam dogadza, bardzo proszę, wstąpcie do naszego domu, ojciec będzie rad gościć was u siebie.

Zanim Arnold zdążył coś odpowiedzieć, sołtys ukazał się w drzwiach prowadzących na schody. Jedno z okien otwarło się i ukazała się w nim twarz starej kobiety, która życzliwie skinęła mu głową. Sołtys zaś zawołał:

— Gertrudo, tyle czasu zmitrężyłaś, ale proszę, proszę, jakiego przystojnego chłopaka sobie przyprowadziła!

— Panie sołtysie...

— Żadnych ceregieli, wejdźcie do domu, kluski już czekają, gotowe ostygnąć i stwardnieć...

— Ależ to nie Heinrich! — zawołała stara kobieta w oknie. — Czy nie mówiłam, że on nie wróci?

— Już dobrze, dobrze, matko — rzekł sołtys. — Niech będzie i ten. — Ściskając rękę przybyszowi ciągnął dalej: — Witajcie serdecznie w Germelshausen, młody panie, gdziekolwiek dziewczyna was znalazła. A teraz proszę na obiad, jedzcie, ile dusza zapragnie, o reszcie pogadamy potem. — Nie pozostawił młodemu malarzowi ani chwili na usprawiedliwienie się i trzymając jego dłoń, którą Gertruda wypuściła ze swojej, gdy tylko weszli na schody, ujął go poufale za ramię i zaprowadził do obszernej izby.

W domu czuć było stęchlizną i wilgotną ziemią. Arnold znał zwyczaj niemieckiego wieśniaka, który najchętniej nie wpuszcza do izby ani strużki świeżego powietrza i nawet latem często-gęsto pali w piecu, aby wytworzyć miłą mu ciepłą temperaturę — a jednak zwróciło to jego uwagę.

Wąski korytarz także nie wyglądał zachęcająco: tynk odpadł ze ścian i jak gdyby został tylko powierzchownie zmieciony na bok. Jedyne ślepe okno w głębi przepuszczało zaledwie nikłe światło, a schody prowadzące na górne piętro były stare i spróchniałe. Lecz Arnold nie-wiele miał czasu na obserwacje, w następnej bowiem chwili jego gościnnie gospodarz rozwarł szeroko drzwi, i Arnold znalazł się w izbie dobrze wywietrzonej, posypanej białym piaskiem, ze stojącym pośrodku dużym stołem, nakrytym śnieżnobiałym płótnem. Izba ta w korzystny sposób różniła się od reszty zaniedbanego wnętrza domu.

Poza starą kobietą, która teraz zamknęła okno i przysunęła swoje krzesło do stołu, w kącie siedziało kilkoro rumianych dzieci; krzepka gospodyni, ubrana również inaczej niż kobiety z sąsiednich wsi, otworzyła właśnie drzwi dziewczynie, która weszła z dużą parującą misą klusek. Wszyscy stłoczyli się dokoła stołu, czekając na upragniony posiłek. Nikt jednak nie usiadł; jak Arnoldowi się zdawało, zerkali niemal bojaźliwie ku ojcu. Sołtys podszedł do swego krzesła, oparł się o poręcz i w milczeniu spoglądał posepnie przed

siebie. Czyżby się modlił? Miał mocno zaciśnięte usta, prawa ręka zwarta w pięść zwisała mu bezwładnie — w rysach jego twarzy nie ujrzałbyś modlitwy, jeno zacięty, choć nie pozbawiony trwogi upór.

Gertruda podeszła do ojca po cichu i położyła mu dłoń na ramieniu, stara kobieta stała naprzeciw niego w milczeniu i spoglądała bojaźliwym, błagalnym wzrokiem.

— Zabierajmy się do jedzenia — rzekł szorstko sołtys — i tak nam to nic nie pomoże. — Odsunął krzesło i skinawszy na gościa, usiadł, ujął dużą warzachew i zaczął wszystkim nakładać na talerze. Zachowanie się tego człowieka wydało się Arnoldowi niesamowite, nie mógł też czuć się dobrze, widząc przygnębienie całej rodziny. Sołtys jednak nie był człowiekiem, który lubi spożywać obiad w smutnym nastroju. Gdy zastukał w stół, weszła służąca i przyniosła butelki i szklanki. Sołtys nalał wszystkim, i znakomite stare wino wprowadziło ich w weselszy nastrój. Cudowny trunek rozgorzał w żyłach Arnolda jak płynny ogień — nigdy w życiu nie kosztował jeszcze czegoś tak wyborczego. Gertruda również trochę wypila, a także stara matka, która po obiedzie zasiadła w kącie do kołowrotka, cicho nucąc piosenkę o wesołym życiu w Germelshausen.

Sam sołtys był jak gdyby odmieniony. Przedtem poważny i milczący, stał się wesoły i pogodny; także i na Arnolda podziałał cudowny trunek. Nie spostrzegł, kiedy sołtys wziął do rąk skrzypce i zaczął wygrywać wesołe melodie do tańca. Arnold z Gertrudą w ramionach jał wirować po izbie, przewrócił kołowrotek, stojące im w drodze krzesła i potracił dziewczynę, która wynosiła naczynia; dokazywał tak, że obecni pokładali się ze śmiechu.

Nagle wszystko w izbie ucichło, a kiedy Arnold, zdumiony, spojrzął na sołtysa, ten smyczkiem wskazał mu okno i odłożył instrument do drewnianego pudła, skąd przedtem go wyjął. Arnold zobaczył, że ulicą ciągnie orszak pogrzebowy. Sześciu mężczyzn w białych koszulach niosło na ramionach trumnę, za którą postępował stary człowiek, trzymając za rękę małą, jasnowłosą dziewczynkę. Szedł zgarbiony pod brzemieniem nieszczęścia, dziewczynka natomiast, która miała zaledwie cztery latka i nie zdawała sobie sprawy, kto leży w ciemnej trumnie, pozdrawiała grzecznie każdą znajomą twarz i śmiała się do rozpuku, gdy kilka psów, goniąc się, przebiegło koło szkoły, a jeden się przewrócił i wywinął koziołka.

Cisza trwała tylko tak długo, póki trumna nie znikła za rogiem.

Gertruda podeszła do młodego malarza.

— Teraz odpocznijcie, panie, dość tej zabawy, to ciężkie wino, uderza do głowy. Weźcie kapelusz, i udamy się na małą przechadzkę. Kiedy wrócimy, będzie właśnie czas iść do gospody, dziś wieczór odbędą się tam tańce.

— Tańce, to świetnie — wykrzyknął Arnold zadowolony — przyszedłem w samą porę! A ty, Gertrudo, zatańczysz ze mną pierwszy taniec?

— Zapewne, jeżeli sobie życzyacie, panie.

Arnold wziął kapelusz i teczkę.

— Po co wam ta książka? — zapytał sołtys.

— On rysuje, ojczy — rzekła Gertruda — mnie też narysował. Obejrzyjcie sobie ten portrecik.

Arnold otworzył tekę i podał rysunek sołtysowi, który przez chwilę przyglądał się portrecikowi w milczeniu.

— I chcecie to zabrać ze sobą do domu, a może nawet oprawić w ramkę i powiesić w pokoju?

— Czemuż by nie?

— Czy pozwolisz mi, ojczy?

— Jeśli z nami nie zostanie — zaśmiał się sołtys. — to nic mam nic przeciwko temu, ale tam w głębi czegoś brak.

— Czego?

— Pogrzebu, który przed chwilą widzieliśmy. Dorysujcie go na arkuszu, a wtedy możecie zabrać ze sobą rysunek.

— Pogrzeb na portrecie Gertrudy?

— Na arkuszu jest jeszcze dość miejsca — upierał się sołtys — powinien się tam znaleźć; nie zgodzę się, abyście, panie, zabrali portret mojej córki zupełnie samej. W tak poważnym zaś towarzystwie nikt nie posądzi jej o nic złego.

Arnold pokręcił głową: co za dziwaczny pomysł, aby ładnej młodej dziewczynie dorysować pogrzeb jako eskortę honorową. Stary jednak tak się zacietrzewił, że Arnold musiał się na to zgodzić. Później będzie mógł ten smutny dodatek bez trudu wymazać. Wprawna ręką szkicował na papierze dopiero co widziane postaci. Cała rodzina zgromadziła się dokoła niego i ze zdumieniem przyglądała się jego pracy.

— Dobrze utrafiłem? — zapytał Arnold wreszcie, zrywając się z krzesła i wyciągając arkusz na odległość ramienia.

— Wspaniale — rzekł sołtys z uznaniem — nigdy bym nie przypuszczał, że tak szybko sobie z tym poradzicie. Tak to może być, a teraz wyjdźcie z dziewczyną, panie, i obejrzyjcie sobie naszą wieś, tak prędko jej znowu nie ujrzyście. Na piątą wracajcie, obchodzimy dziś święto, i musicie wziąć w nim udział razem z nami.

Arnolda ogarnęło przygnębienie — może dlatego, że w izbie było tak duszno lub wskutek wina, które uderzyło mu do głowy. Pragnął znaleźć się na świeżym powietrzu, i w kilka minut później szedł już z Gertrudą ulicą ciągnącą się przez wieś.

Teraz nie było tu tak cicho jak przedtem, hałasowały dzieci, gdzieś tam staruszkowie siedzieli przed drzwiami domów, przyglądając się przechodzącym, i cała miejscowość ze swymi starymi, dziwnymi budynkami miałaby zapewne przyjemniejszy wygląd, gdyby słońce mogło przedrzeć się przez ten gęsty brunatny dym, który niby chmura ciążył nad dachami.

— Czy tu w pobliżu pali się las albo torfowisko? — zapytał dziewczynę. — Nad żadną z innych wsi dym się nie unosi; przecież to nie z kominów.

— To dym ziemny — odparła Gertruda spokojnie. — Czy nigdy nie słyszeliście o Germelshausen?

— Nie.

— Dziwne, wieś jest przecież taka stara...

— W każdym razie domy na to wyglądają, zresztą i ludzie zachowują się tak dziwnie, a język wasz brzmi zupełnie inaczej niż w pobliskich miejscowościach. Chyba rzadko opuszczacie swoją wieś.

— Rzadko.

— I nie ma tu ani jednej jaskółki, chyba stąd nie odleciały?

— Już od dawna żadna nie buduje gniazda w Germelshausen — odparła dziewczyna. — Widocznie nie mogą znieść dymu ziemnego.

— Chyba nie unosi się on u was stale?

— Owszem.

— Więc dlatego w waszych sadach drzewa pozbawione są owoców; przecież w Mansfeld musieli podpierać gałęzie, taki jest urodzajny rok.

Gertruda nic na to nie odpowiedziała, w milczeniu kroczyła u jego boku, aż osiągnęli kraniec wsi. W drodze niekiedy tylko życzliwie kiwała głową dzieciom lub zamieniała kilka słów z którąś z młodych dziewcząt — może rozmawiała o dzisiejszej zabawie.

Dziewczęta spoglądały przy tym na młodego malarza ze współczuciem, i choć Arnold nie wiedział czemu, ogarnął go smutek; nie ważył się jednak zapytać Gertrudy, o czym rozmawiała.

Teraz wreszcie dotarli do ostatnich domów; podczas gdy we wsi panował ruch i ożywienie, tutaj było cicho i bezludnie, jakby wszystko powymierało. W sadach, rzekłbyś, od lat nie powstała noga ludzka, ścieżki porosły trawą, a szczególnie dziwne wydawało się młodemu przybyszowi to, że na żadnym z drzew nie było owoców. Spotkali ludzi idących w stronę wsi. Arnold natychmiast ich poznał, byli to ci sami, którzy nieśli trumnę. Minęli ich w milczeniu, a oboje młodych prawie mimo woli skierowało swe kroki ku cmentarzowi.

Arnold starał się teraz rozweselić swą towarzyszkę, wydawała mu się zbyt poważna; opowiadał jej o rozmaitych miejscowościach, które zwiedził, o tym, jak to jest na szerokim świecie. Gertruda nigdy jeszcze nie widziała kolei żelaznej, nawet nigdy o niej nie słyszała, teraz, zdumiona, z uwagą przysłuchiwała się jego wyjaśnieniom. Nie miała nawet pojęcia o istnieniu telegrafu, jak również o innych nowszych wynalazkach, a młody malarz nie mógł pojąć, jak to możliwe, żeby ludzie w Niemczech żyli w takim odosobnieniu, tak całkowicie odcięci od reszty świata, nie utrzymując z nim żadnego kontaktu. Tak rozmawiając doszli do cmentarza, i tutaj Arnold zauważył, że nagrobki i kamienie, choć na ogół proste, były bardzo stare.

— To bardzo, bardzo stary nagrobek — rzekł, pochylając się i z trudem odczytując ozdobne pismo. — Anna Maria Berthold z domu Sieglitz, ur. 1 grudnia 1188, zmarła 2 grudnia 1224...

— To moja matka — rzekła Gertruda; łzy napłynęły jej do oczu i stoczyły się na stanik.

— Twoja matka? Dziecko drogie, to jest może twoja prapraprababka.

— Nie — odparła ze smutkiem — to moja prawdziwa matka; ojciec pojął drugą żonę, i ta kobieta w domu to moja macocha.

— Ale tutaj podane, że zmarła w tysiąc dwieście dwudziestym czwartym roku.

— Cóż mnie obchodzi rok; to takie bolesne utracić matkę. A jednak — dodała cicho — może dobrze się stało, bardzo dobrze, że Pan Bóg powołał ją do swojej chwały...

Arnold pokręcił głową, schylił się nad nagrobkiem, aby dokładnie

przyjrzeć się napisowi: może pierwsza dwójka w dacie jest ósemką, w staroświeckich esach-floresach nietrudno o omyłkę. Jednak druga dwójka podobna była do pierwszej jak dwie krople wody, a przecież do roku 1884 było jeszcze daleko, Może kamieniarz się pomylił, a dziewczyna taka była zatopiona w smutku po zmarłej, że Arnold nie chciał naprzykrzać się natrętnymi pytaniami. Uklękała przy grobie cicho się modląc, Arnold zaś poszedł zbadać inne nagrobki — wszystkie bez wyjątku nosiły daty sprzed kilkuset lat, nie znalazł ani jednego nowszego, a przecież zmarłych jeszcze teraz chowano, jak o tym świadczyła ostatnia, zupełnie świeża mogiła. Z niskiego muru kościelnego roztaczał się wspaniały widok na tę całą starą wieś; Arnold skorzystał ze sposobności, aby to naszkicować. Ale i nad tym miejscem unosił się osobliwy gorzki dym, natomiast dalej, w stronę lasu, widać było jasne słońce, opromieniające zbocza górskie.

We wsi rozbrzmiewał znów stary, pęknięty dzwon. Gertruda wstała z klęczek, otarła łzy i skinęła młodemu człowiekowi.

Arnold od razu się do niej przyłączył.

— Teraz już nie wolno się nam smucić — rzekła z uśmiechem. — Kończy się właśnie nabożeństwo, nadchodzi pora na tańce. Myśleliście zapewne, panie, że ludzie z Germelshausen są ponurzy; dziś wieczorem przekonacie się, że tak nie jest.

— Przecież nie widzę, aby z wrót kościoła ktokolwiek wychodził.

— To zrozumiałe — roześmiała się Gertruda — bo nikt tam nie wchodzi, nawet ksiądz. Tylko stary zakrystian nie używa sobie ani chwili spoczynku i dzwoni na początek i koniec nabożeństwa.

— I nikt z was nie uczęszcza do kościoła?

— Nie, ani na mszę, ani do spowiedzi. Wadzimy się z papieżem, który zamieszkał we Włoszech i nie chce wracać, dopóki mu znowu nie przyrzekniemy posłuszeństwa.

— Nic o tym nie słyszałem.

— No tak, bo to dawne sprawy. Popatrzcie, panie, oto zakrystian wychodzi z kościoła sam jeden i zamyka wrota; nie przychodzi do gospody, zawsze przesiaduje samotnie.

— A ksiądz przychodzi?

— No pewnie, a jaki jest wesoły! Niczym się nie przejmuje.

— A jak do tego doszło? — Arnolda dziwiły nie tyle fakty, ile swoboda, z jaką mówiła o nich Gertruda.

— To długa historia, ksiądz spisał ją w grubej, dużej księdze.

Jeśli macie ochotę, panie, i rozumiecie po łacinie, możecie to sobie przeczytać. Ale — dodała ostrzegawczo — nie wspominajcie o tym w obecności ojca, bo on tego nie lubi... Popatrzcie, chłopcy i dziewczęta już spieszą do gospody. Wracajmy do domu, muszę się przebrać, nie lubię przychodzić ostatnia.

— A pierwszy taniec, Gertrudo?

— Zatańczę z wami, przyrzekam.

Szybkim krokiem wracali do wsi, gdzie wyglądało zupełnie inaczej niż z rana. Wszędzie stały gromadki roześmianych młodych ludzi, dziewczęta były wystrojone, chłopcy także mieli na sobie odświętne ubrania. W gospodzie od okna do okna wisały girlandy z liści, tworząc nad drzwiami duży łuk tryumfalny.

Arnold, widząc, że wszyscy się tak wystroili, nie chciał pokazać się na zabawie w swym ubraniu podróżnym; w domu sołtysa wypakował plecak, wyjął odświętne ubranie i był właśnie gotów, kiedy Gertruda zapukała do drzwi. Piękna była w swoim skromnym, a jednak bogatym stroju; poprosiła go, aby jej towarzyszył, ponieważ ojciec z macochą przyjdą później.

Tęsknota za Heinrichem niezbyt jej doskwiera, pomyślał Arnold, ujął ją pod rękę i poprowadził w zapadającym mroku na salę tańca, myśli swej jednak nie wyznał na głos — zbudziło się w nim dziwne, nie znane dotąd uczucie, a serce biło mu jak szalone, gdy przyciskając ramię dziewczyny, wyczuwał pulsowanie jej serca.

— Jutro muszę powędrować dalej — westchnął. Wbrew jego woli słowa te dotarły do dziewczyny.

— Nie troszczcie się o to, panie — rzekła z uśmiechem — zostaniemy ze sobą długo, może dłużej, niżby to wam było miłe.

— Chciałabyś, Gertrudo, abym z wami został? — Arnold poczuł, jak krew, gwałtownie uderza mu do skroni.

— Oczywiście — odparła swobodnie. — Jesteście, panie, dobry i miły, ojciec też was lubi, wiem o tym... a Heinrich jednak nie przyszedł — dodała po cichu, jakby zagniewana.

— A gdyby nadszedł jutro?

— Jutro? — Gertruda spojrzała nań poważnie swymi wielkimi ciemnymi oczyma. — Dziś od jutra dzieli długa, długa noc. Jutro! Jutro zrozumiecie, co to słowo oznacza. Ale nie mówmy już o tym — rzekła krótko i łagodnie — dziś obchodzimy święto na które od tak dawna, od tak bardzo dawna się cieszyliśmy, i nie należy mącić go

smutnymi myślami. A oto jesteśmy. Chłopcy zrobią wielkie oczy, że przyprowadziłam sobie tancerza.

Arnold chciał jej coś odpowiedzieć, ale hałaśliwa muzyka, wydobywająca się z karczmy, zagłuszyła jego słowa. Dziwne melodie grali muzykanci, nie znał żadnej, początkowo oślepiło go też światło wielu świec.

Gertruda poprowadziła go do środka, gdzie gromada młodych dziewcząt stała gawędząc, i wtedy dopiero puściła jego ramię, aby — nim rozpoczną się tańce — rozejrzał się i poznał resztę chłopców.

W pierwszej chwili Arnold poczuł się nieswojo wśród tych obcych ludzi, raziły go też ich dziwne stroje oraz niezwykle twarda mowa; choć w ustach Gertrudy brzmiała przyjemnie, u innych nabierała szorstkich tonów. Lecz wszyscy chłopcy byli dla niego uprzejmi, jeden podszedł doń nawet, ujął go za rękę i powiedział:

— To rozsądne, panie, że chcecie u nas zostać, prowadzimy wesołe życie, a międzyczas szybko mija.

— Jaki międzyczas? — Arnolda zaskoczyło nie tyle to określenie, ile przekonanie chłopca, iż on, Arnold, zdecydował się pozostać w tej wsi na zawsze. — Macie na myśli, że tu wrócę?

— Chcecie stąd odejść? — zapytał chłopak spiesźnie.

— Tak, jutro albo pojutrze, ale tu powrócę.

— Jutro? Tak? — roześmiał się chłopak. — No dobrze, jutro o tym pogadamy. A teraz chodźcie, pokażę wam naszą gospodę, bo jeśli jutro chcecie nas opuścić, nawet tego nie zobaczycie.

Inni śmiali się skrycie, lecz młody wieśniak oprowadzał Arnolda po całym budynku, w którym tłoczno było od wesoło bawiących się gości. Minęli pokój do gry w karty — każdy z graczy miał przed sobą spory stos pieniędzy — potem weszli do kręgielni, wyłożonej jasną, lśniąca mozaiką. W trzeciej izbie grano w rozmaite gry towarzyskie. Dziewczęta, śmiejąc się i śpiewając, krążyły tam i z powrotem i przekomarzały się z chłopcami. Naraz muzykanci, którzy dotąd wygrywali skoczne melodie, wykonali tusz — znak, że rozpoczynają się tańce. Gertruda znalazła się u boku Arnolda i wzięła go pod ramię.

— Chodźcie, panie, nie powinniśmy być ostatni, jako córka sołtysa muszę otworzyć tańce.

— Ale cóż to za dziwaczna melodia? — zapytał. — Nie mogę złapać taktu.

— Damy sobie radę — uśmiechnęła się — w ciągu pięciu minut

wprawicie się wedle moich wskazówek.

Wszyscy poza karciarzami runęli do sali tańca z głośnymi okrzykami radości, Arnold zaś, uszczęśliwiony, że trzyma tę cudną dziewczynę w ramionach, zapomniał wkrótce o wszystkim. Wciąż od nowa tańczył z Gertrudą — nikt się nie kwapił odebrać mu partnerki; dziewczęta w mijaniu przekomarzały się z nimi. Jedno tylko raziło Arnolda: tuż obok gospody znajdował się stary kościół, i na sali słyhać było wyraźnie ostre, przykre tony pękniętego dzwonu. Za każdym razem, gdy rozlegało się pierwsze uderzenie, tancerze zamierali jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Muzyka urywała się w pół taktu. Roztańczona gromada zatrzymywała się jak zaklęta, stała cicho, bez ruchu, i wszyscy w milczeniu liczyli powolne uderzenia. Kiedy jednak rozlegało się ostatnie uderzenie, życie i radość powracały na nowo. Tak było o ósmej, o dziewiątej i o dziesiątej; Arnold zapytał o powód tak dziwnego zachowania. Gertruda przyłożyła palec do ust i przybrała wyraz tak poważny, że Arnold już za nic nie chciał jej smucić.

O dziesiątej nastąpiła przerwa w tańcach; chór, który miał chyba płuca z żelaza, poprowadził gości do jadalni. Tam zabawa była w pełni. Wino lało się strumieniami, i Arnold, który nie chciał pozostać w tyle, obliczał w duchu, jaką wyrwę spowoduje w jego skromnej kasie ten rozrzutny wieczór. Lecz obok niego siedziała Gertruda, piła z nim z jednej szklanki, więc jakżeby miał troszczyć się o tak przyziemne sprawy? A jeżeli Heinrich jutro nadejdzie?

Rozległo się pierwsze uderzenie jedenastej godziny, i znowu ucichła głośna radość ucztujących, znowu owo zapierające dech nasłuchiwanie powolnego bicia. Arnold poczuł dziwną grozę; sam nie wiedział dlaczego, lecz nagle przyszła mu na myśl matka, która nań w domu czekała. Powoli uniósł szklankę i wypił jej zdrowie — tak dalekiej, a tak umiłowanej.

Wraz z uderzeniem jedenastej godziny goście zerwali się od stołów — znowu rozpoczęły się tańce, wszyscy pobiegli na salę.

— Za czyje zdrowie wychyliliście ostatnią szklankę? — zapytała Gertruda, gdy znowu położyła rękę na ramieniu Arnolda.

Arnold zwlekał z odpowiedzią. Może Gertruda go wykpi, jeśli się przyzna? Nie, jednak nie. Przecież tak żarliwie modliła się na grobie swej matki.

— Za zdrowie mojej matki — rzekł po cichu.

Gertruda nie odezwała się ani słowem, w milczeniu weszła z nim na schody, ale już się nie śmiała, a zanim rozpoczęli taniec, zapytała:

— Bardzo kochacie, panie, matkę?

— Ponad życie.

— A ona was?

— Czyż matka nie kocha swego dziecka?

— A gdybyście już do niej nie wrócili?

— Biedna matka, to by złamało jej serce.

— Rozpoczyna się taniec — szybko wtrąciła Gertruda — chodźmy, nie wolno nam tracić ani chwili.

Tancerze szaleli. Chłopcy, rozgrzani mocnym winem, harcowali, wydawali dzikie okrzyki, powstał taki zgiełk, że niemal zagłuszał muzykę.

Arnoldowi to szaleństwo nie sprawiało już przyjemności. Gertruda ucichła, spoważniała.

Lecz inni nie ustawali, szaleństwo jak gdyby się wzmagало. W przerwie między tańcami podszedł do nich sołtys i rzekł z uśmiechem:

— Słusznie, panie malarzu, trzeba tańcować do upadłego. Będziemy mieli dość czasu na wypoczynek. Trudo, czemu masz tak poważną minę, wcale nie licuje ona z tańcem. No, bawcie się, muzyka znowu gra, muszę poszukać mojej starej, aby zatańczyć z nią ostatni raz. Ruszajcie w tany, muzykanci już nadęli policzki. — I z radosnym okrzykiem zaczął się przeciskać przez tłum.

Arnold objął Gertrudę, aby rozpocząć taniec, gdy dziewczyna nagle mu się wywinęła, chwyciła go za rękę i szepnęła:

— Chodźcie, panie!

Arnold nie zdążył zapytać, dokąd go chce zaprowadzić, ona zaś prześliznęła się już ku drzwiom sali.

— Dokąd idziesz Trudo? — zawołało kilka koleżanek.

— Zaraz wracam — odparła krótko, i w kilka sekund później znaleźli się z Arnoldem na świeżym wieczornym powietrzu przed karczmą.

— Dokąd chcesz iść, Gertrudo?

— Chodźcie, panie! — Znowu ujęła go za ramię i poprowadziła przez wieś; mijając rodzicielski dom; na chwilę weszła tam i wróciła z tobołkiem.

— Gdzie masz zamiar iść? — zapytał Arnold przerażony.

— Chodźcie, panie! — to jedynie odpowiadała, mijając domy, aż

pozostawili za sobą mur otaczający Germelshausen. Dotąd szli szeroką bitą drogą, teraz Gertruda skręciła w lewo i wspinała się na płaski pagórek, skąd widać było jasno oświetlone okna i drzwi karczmy. Tu się zatrzymała, uściśnęła Arnoldowi rękę i rzekła serdecznie: — Pozdrówcie ode mnie waszą matkę, panie, i bywajcie zdrowi.

— Gertrudo — zawołał Arnold zaskoczony — teraz, o północy, chcesz się mnie w ten sposób pozbyć?! Czy naraziłem ci się czymś?

— Nie, Arnoldzie — rzekła, po raz pierwszy zwracając się do niego po imieniu — właśnie... właśnie dlatego, że was polubiłam, musicie stąd odejść.

— Ależ nie możesz sama wracać do wsi w tej ciemności — prosił Arnold. — Nie wiesz, dziewczyno, jak cię kocham, jak w ciągu tych niewielu godzin wrosłaś mi w serce. Nie wiesz...

— Nie mówcie dalej — przerwała mu — nie żegnajmy się. Gdy dzwon wybije dwunastą, a nastąpi to za niespełna dziesięć minut, przyjdźcie znowu pod drzwi karczmy, tam będę na was czekała.

— A tymczasem?

— Pozostańcie tutaj. Przyrzeknijcie mi, że nie ruszycie się ani o krok, nim dzwon nie wybije dwunastej.

— Przyrzekam, Gertrudo, ale potem...

— Potem przyjdziecie. — Podała mu rękę na pożegnanie i chciała odejść.

— Gertrudo! — zawołał błagalnie.

Dziewczyna zatrzymała się z wahaniem, potem nagle objęła go za szyję, i młodzieniec poczuł jej lodowato zimne wargi na swoich ustach. Lecz trwało to tylko chwilę, bo zaraz uwolniła się i pobiegła w kierunku wsi. Arnold, zaskoczony jej dziwnym zachowaniem, lecz pomny swego przyrzeczenia, pozostał w miejscu, gdzie Gertruda go opuściła. Teraz dopiero spostrzegł, jak w ciągu tych niewielu godzin zmieniła się pogoda. Wiatr wył wśród zarośli, niebo zasnuło się pędzącymi chmurami, pojedyncze krople deszczu zapowiadały nadciągającą burzę. Skroś ciemną noc jaśniały światła karczmy, a kiedy wiatr dał z tamtej strony, Arnold mógł dosłyszeć oderwane hałaśliwe dźwięki instrumentów. Nie trwało to jednak długo, upłynęło zaledwie kilka minut, gdy zaczął bić stary dzwon i w tej samej chwili muzyka się urwała, czy też została zagłuszona przez wyjąca wichurę, która rozszalała się nad zboczem.

Arnold musiał przyłgnąć do ziemi, aby nie stracić równowagi. Przed sobą wyczuł tobolek, który Gertruda wyniosła z domu — był to jego własny plecak z teką rysunkową. Przerażony, podniósł się z ziemi... Zegar wybił pełną godzinę, wichura ustała, ale nigdzie we wsi nie ujrzałbyś ani światełka. Ucichły psy, które przedtem wyły i ujadły, z doliny unosiła się gęsta, wilgotna mgła.

— Czas minął — szepnął Arnold, zarzucając plecak na ramię — muszę ujrzeć Gertrudę jeszcze raz, w ten sposób nie mogę się z nią rozstać. Tańce się skończyły, tancerze udali się do domu, jeśli sołtys nie zechce mnie przenocować, zostanę w karczmie, zresztą w ciemności nie znalazłbym drogi przez las.

Ostrożnie zeszedł zboczem w dół, chciał trafić na tę szeroką bitą drogę, która prowadziła do wsi. Lecz daremnie błąkał się wśród zarośli. Ziemia tu była miękka i grząska, w swych cienkich trzewikach Arnold zapadał się po kostki, a gęsta olszyna wystrzelała w górę wszędzie tam, gdzie mniemał znaleźć drogę. Na pewno nie przeciął tej drogi, nawet w ciemności poczułby twardy grunt pod nogami, poza tym ciągnął się tam mur otaczający wieś — tego nie mógł przeoczyć. Im dalej jednak brnął, tym głębiej się zapadał w grząskim mule, tym gęstsze były zarośla pełne kolców, które rozdzierały mu odzież i raniły ręce do krwi. Czy zboczył w prawo, czy w lewo od wsi? Obawiał się, że jeszcze bardziej zmyli drogę, więc pozostał na dość suchym miejscu oczekując, aż dzwon wybije godzinę pierwszą. Ale nie usłyszał żadnego bicia, nie dotarł do niego żaden ludzki dźwięk. Z trudem, przemoczony do nitki, drżąc z zimna, Arnold wspiął się na wyżej położone zbocze górskie, gdzie zostawiła go Gertruda. Kilkakrotnie usiłował przedrzeć się przez gąszcz, aby odnaleźć wieś — na próżno. Śmiertelnie wyczerpany, ogarnięty dziwną grozą, ominął wreszcie tę głęboką, niesamowitą dolinę, szukając schronienia pod drzewem, aby tam spędzić noc. Jakże powoli mijały godziny. Drżał z zimna, nie zmrużył oka ani na chwilę podczas tej długiej nocy. Wciąż nasłuchiwał w ciemności, wciąż wydawało mu się, że słyszy chrapliwy dźwięk dzwonu, i wciąż od nowa stwierdzał, że słuch go myli.

Wreszcie na wschodzie zaczęło nieśmiało świtać: chmury popłynęły dalej, niebo znów było czyste, wygwieżdzone, ptaki, budząc się, ćwierkały wśród mroku drzew. Złote pasmo nieba stawało się coraz szersze, coraz jaśniejsze, Arnold mógł już rozpoznać

wierzchołki drzew... daremnie jednak wzrok jego szukał starej wieży kościelnej i zwietrzałych dachów wsi. Rozciągała się przed nim jedynie gęstwa olszyny, a wśród niej pojedyncze wykoślawione wierzby. Żadnej drogi prowadzącej na prawo czy na lewo, ani śladu ludzkiego domostwa w pobliżu.

Nastawał dzień, robiło się coraz jaśniej, pierwsze promienie słońca padały na rozległą, rozpościerającą się przed nim zieloną dolinę.

Arnold w żaden sposób nie mógł wytłumaczyć sobie tej zagadki. Nie ulegało wątpliwości, że szukając wsi po nocy zboczył z drogi — teraz zaś postanowił odnaleźć ją za wszelką cenę.

Wreszcie dotarł do głazu, na którym pozowała mu Gertruda, to miejsce rozpoznałby wśród tysięcy — po starym krzaku bzu o grubych gałęziach. Teraz wiedział dokładnie, skąd wczoraj przyszedł i gdzie położona jest wieś Germelshausen. Cofając się w stronę doliny, trzymał się dokładnie kierunku, skąd przyprowadziła go Gertruda. Rozpoznał owo zbocze, nad którym zawisała ponura mgła. Od domostw wsi dzieliły go jedynie zarośla olszyny. Przedarł się przez gąszcz i znowu był na tym samym mokradle, po którym błędził poprzedniej nocy.

Bezradny, nie ufający własnym zmysłom, chciał siłą utorować sobie drogę, lecz bagniste podłoże zmusiło go wreszcie do szukania suchego gruntu, daremnie się błakał — wieś znikła, jakby zapadła się pod ziemię.

Wiele godzin zmitrężył Arnold na próżnych poszukiwaniach, wreszcie zmęczone ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Nie mógł iść dalej, musiał przede wszystkim odpocząć; na cóż zresztą zdałoby się owo daremne szukanie; dojdzie do najbliższej wsi i tam bez trudu znajdzie przewodnika, który poprowadzi go do Germelshausen.

Śmiertelnie znużony, rzucił się na ziemię w cieniu drzewa. Jego odświętne ubranie — w jakim stanie! Ale o to się teraz wcale nie troszczył. Otworzył tekę i wyciągnął portret Gertrudy; pełen goryczy i bólu spoglądał na ukochane oblicze i stwierdził ku swemu przerażeniu, że uczucie do dziewczyny zapuściło już głęboko korzenie w jego sercu.

Nagle usłyszał szelest liści i ujadanie psa; zerwał się i w pobliżu ujrzał starego leśniczego, który z ciekawością przyglądał się dziwnemu osobnikowi w porządnym, acz mocno zniszczonym

ubraniu.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał Arnold, rad z całego serca, że widzi żywego człowieka. Wsunął rysunek do teki. — Przychodźcie jak na zawołanie, panie leśniczy, bo chyba zmyliłem drogę.

— Hm — rzekł leśniczy — jeżeli spędziliście całą noc w tych zaroślach, mając niespełna pół godziny drogi do przyzwoitej gospody w Dillstedt, to istotnie tak jest. Do licha, wyglądacie, panie, jak gdybyście zażyli kąpieli w mokradle, a potem wytarzali się w kolcach.

— Znacie dobrze ten las? — zapytał Arnold, chcąc się przede wszystkim dowiedzieć, gdzie właściwie się znajduje.

— No chyba — zaśmiał się stary, krzesając ogień i zapalając fajkę.

— Jak nazywa się najbliższa wieś?

— Dillstedt, to tam. Kiedy wejdziecie na tamten wzgórek, zobaczycie tę wieś tuż pod stopami.

— A jak daleko jest do Germelshausen?

— Dokąd? — leśniczy ze zdumieniem wyjął fajkę z ust.

— Do Germelshausen.

— Niech mnie Pan Bóg ma w swej opiece — rzekł stary, rozglądając się trwożnie — znam las dobrze, ale Panu Bogu wiadomo, jak głęboko zapadła się ta przeklęta wieś, zresztą... nic nam do tego.

— Przeklęta wieś? — zawołał Arnold zdumiony.

— Germelshausen... tak — odparł leśniczy — istniała podobno przed setkami lat... tutaj na trzęsawisku, gdzie rosną teraz wierzby i olszyny, potem pochłonęło ją mokradło. Nikt nie wie dlaczego, ale, jak głosi podanie, raz na sto lat, pewnego określonego dnia, wieś wyłania się na światło dzienne; nie życzyłbym żadnej duszy chrześcijańskiej, by przypadkowo na ten dzień trafiła... Ale, do licha, nocleg w zaroślach nie bardzo wam służył, panie, bladzi jesteście jak śmierć. Proszę sobie łyknąć, to dobrze zrobi.

— Dziękuję.

— Ach, co tam, upiliście ledwo co, a należy się potrójna porcja... Teraz idźcie do gospody i połóżcie się do ciepłego łóżka.

— Do Dillstedt?

— A gdzie by indziej? Żadnej bliższej wsi tutaj nie mamy.

— A Germelshausen?

— Nie wymawiajcie, jeśli łaska, tej nazwy właśnie w tym

miejscu, gdzie stoimy. Niech zmarli spoczywają w spokoju, zwłaszcza ci, którzy nie mogą zaznać spokoju i wciąż od nowa nagle się wśród nas zjawiają.

— Ale przecież ta wieś wczoraj tu była! — zawołał Arnold; wydało mu się, że postradał zmysły. — Byłem tam, jadłem, piłem i tańczyłem.

Leśniczy zmierzył młodzieńca od stóp do głów, po czym powiedział z uśmiechem: — Ale nazywała się inaczej, prawda? Zapewne przychodząc z Dillstedt, wczoraj odbywała się tam zabawa. Gospodarz tamtejszy warzy mocne piwo, a nie każdy dobrze je znosi.

Arnold miał odpowiedzi otworzył tekę i wyjął rysunek, który naszkicował na cmentarzu.

— Znacie tę wieś?

— Nie, tak niskiej wieży nie mamy tu w całej okolicy.

— To właśnie jest Germelshausen! — zawołał Arnold. — A czy młodzież wiejska ubiera się tak jak ta dziewczyna?

— Hm... nie. Cóż to za dziwny pogrzeb dorysowaliście?

Arnold nie odpowiedział, wsunął arkusz do teki z uczuciem głębokiego smutku.

— Drogę do Dillstedt znajdziecie na pewno, panie — rzekł leśniczy dobrodusznie, gdy nagle zrodziło się w nim podejrzenie, że z tym obcym młodzieńcem coś nie jest w porządku. — Jeśli jednak sobie życzycie, odprowadzę was kawałek. Nie nałożę drogi.

— Dziękuję, ale tam już drogi nie zmylę... Więc powiadacie, że raz na sto lat wieś może wydobyć się na powierzchnię...

— Tak powiadają ludzie, ale kto wie, czy to prawda.

Arnold podniósł swój plecak.

— Zostańcie z Bogiem — rzekł, ściskając leśniczemu rękę.

— Idźcie z Bogiem. Dokąd was teraz droga prowadzi?

— Do Dillstedt.

— I słusznie. Przez tamto zbocze wyjdziecie na szeroką drogę.

Arnold odwrócił się i ruszył przed siebie. Dopiero na wzgórzu, z którego mógł objąć wzrokiem całą dolinę, zatrzymał się.

— Żegnaj, Gertrudo — szepnął, a w oczach stanęły mu dwie duże jasne łzy.

Przełożyła *Maria Gero-Rożniewicz*

MIKOŁAJ LESKOW (1831 — 1895)

ZJAWA W ZAMKU INŻYNIERYJNYM
(ZE WSPOMNIENIŃ KADECKICH)

Znany pisarz rosyjski, mistrz słowa, autor głośnych utworów „Powiatowa lady Macbeth” i „Wdzięk administracyjny”, chłostający bezlitośnie carską administrację i politykę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Domy tak samo jak ludzie mają własną reputację. Są domy, w których, według ogólnej opinii, straszy, to jest domy, w których dają się spostrzec różne przejawy „nieczystej”, a w każdym razie niepojętej siły. Spirytyści dołożyli niemało starań, aby wyjaśnić tego rodzaju zjawiska, ponieważ jednak teoria ich nie cieszy się zbyt dużym zaufaniem, to sprawa domów, w których straszy, nie posunęła się naprzód.

W Petersburgu, wedle opinii wielu mieszkańców, taką złą sławą cieszyła się długo charakterystyczna budowla, dawny pałac Pawła, zwany obecnie Zamkiem Inżynieryjnym. Tajemnicze znaki, przypisywane duchom i zjawom, objawiały się tam od chwili wzniesienia zamku. Jeszcze za życia cesarza Pawła zdarzało się tam słyszeć głos Piotra Wielkiego, a w końcu nawet sam Paweł I zobaczył zjawę swego pradziada. To ostatnie zdarzenie, bez żadnych sprostowań, notują zagraniczne kroniki (w których znajdujemy również opis nagłej śmierci Pawła Pietrowicza), a także najnowsza rosyjska książka p. Kobioko. Pradziad miał pono opuszczać mogiłę, żeby uprzedzić swego prawnuka o tym, że dni jego są policzone, że śmierć się zbliża. Przepowiednia spełniła się.

Zresztą zjawę Piotra oglądał w murach zamku nie tylko cesarz Paweł, ale także ludzie z najbliższego otoczenia cesarza. Słowem był to dom straszny, gdyż przebywały w nim, czy też tylko pojawiały się zjawy i upiory, mówiące rzeczy przedziwnie straszne, które na domiar złego spełniały się. Niespodziewany, gwałtowny zgon cesarza Pawła, z powodu którego natychmiast przypomniano sobie i zaczęto pogadywać o zjawach zwiastujących nieszczęście, które nawiedzały

zmarłego cesarza w zamku, jeszcze bardziej utwierdziły tajemniczą reputację ponurego budynku. Od tego czasu, jak powiadano, zamek stracił znaczenie jako pałac mieszkalny i wedle ludowego wyrażenia „przeszedł na kadetów”.

Teraz w tym opuszczonym pałacu zamieszkują junkrzy wydziału inżynieryjnego, lecz pierwszymi jego lokatorami byli dawni kadeci z inżynierii. Był to „naród” nader jeszcze młody, nie całkiem wyzwolony z dziecięcych przesądów, a przy tym żwawy i swawolny, ciekawski i odważny. Wszyscy oni, rzecz jasna, w jakimś stopniu znali straszne opowieści, szeptane o ich strasznym zamku. Chłopcy interesowali się bardzo wszystkimi szczegółami strasznych opowieści i sycili się tymi strachami, a ci, którzy zdążyli się już z nimi oswoić, bardzo lubili straszyć kolegów. Było to tak rozpowszechnione wśród kadetów z inżynierii, że dowództwo w żaden sposób nie mogło wykorzenić tego niemądrego zwyczaju, póki nie zdarzyło się coś, co od razu zabiło we wszystkich chętkę do straszenia i figlów.

I właśnie to zdarzenie będzie treścią niniejszego opowiadania.

ROZDZIAŁ DRUGI

Szczególnie modne było straszenie nowicjuszy, czyli tak zwanych „malców”, którzy po przybyciu do zamku, nagle dowiadywali się o takim mnóstwie strachów zamkowych, że stawali się okropnie przesądni i tchórzliwi. Najbardziej przerażało ich to, że na samym końcu korytarza była sala, dawna sypialnia zmarłego cesarza Pawła, w której ułożył się on do snu całkiem zdrów, a nazajutrz wyniesiono go martwego. „Staruszkowie” zapewniali, że duch cesarza mieszka w tej Sali i każdej nocy wychodzi na oględziny swego ulubionego zamku, a malcy w to wszystko wierzyli. Sala ta była zawsze dokładnie zamknięta, i to nie na jeden, lecz na kilka zamków, ale dla ducha, jak wiadomo, niczym są wszelkie zamki i zasuwki. A poza tym, powiadano, jakoby można było do tej sali jakoś się dostać. Zdaje się, że tak było istotnie. W każdym razie istniała, i do dziś istnieje, gadka, jakoby udawało się tego dokonać kilku „starym kadetom”, pogadywano tak dopóty, dopóki jeden ze „starych” nie porwał się na szalony wybryk, za który musiał okrutnie odpokutować. Wykrył on jakieś nieznanne przejście do sypialni zmarłego cesarza, przemycił

prześcieradło i tam je przechowywał, a wieczorami zakradał się do sypialni, owijał się prześcieradłem od stóp do głów i stawał w ciemnym oknie, wychodzącym na ulicę Sadową, a widocznym dla każdego, kto przechodził czy przejeżdżał tamtędy. I tak występując w roli zjawy, kadet rzeczywiście nastraszył wielu ludzi przesądnych, mieszkających na zamku, a także przechodni, którzy dostrzegli przypadkiem białą postać, przez wszystkich przyjmowaną za widmo zmarłego cesarza.

Swawola ta trwała kilka miesięcy i spowodowała uporczywe słuchy, jakoby Paweł Pietrowicz chodził po nocach wokół swej sypialni i spoglądał przez okna na Petersburg. Wielu było takich, którzy wyjątkowo plastycznie i wyraźnie widzieli, jak stojący w oknie biały cień niejednokrotnie kiwał im głową i kłaniał się; kadet istotnie wyczyniał takie figle. Wszystko to wywoływało na zamku nie kończące się rozmowy z proroczymi przepowiedniami, a zakończyło się tym, że kadet wyprawiający te brewerie został przyłapany na miejscu przestępstwa i po otrzymaniu „przykładnej kary cielesnej” znikł na zawsze z zakładu. Chodziły słuchy, jakoby nieszczęsny kadet swym ukazaniem się w oknie miał nieszczęście przerazić jakąś wysoko postawioną osobistość, przypadkiem przejeżdżającą koło zamku, i za to został ukarany nie po dziecinnemu. Mówiąc prosto z mostu kadeci opowiadali, jakoby nieszczęsny swawolnik „zmarł pod kijami”, a ponieważ w one czasy podobne rzeczy wydawały się prawdopodobnymi, uwierzono w te gadki i od tego czasu kadet ten sam stał się nową zjawą. Zaczął się ukazywać kolegom „cały zsieczony”, w śmiertelnym wianuszku na czole, a na tym wianuszku ponoć można było wyczytać słowa: „Pożywając mało pożyłem słodczy, a oto już dokonuję żywota”.

Jeśli przypomnieć sobie opowieść biblijną, w której przytoczone są te słowa, to stają się one bardzo wzruszające.

Wkrótce po śmierci kadeta sypialnia, główna siedziba wszelkich strachów Inżynierskiego Zamku, została otwarta i zużytkowana na taki cel, który zmienił jej okropny charakter, ale gadki i zjawy żyły jeszcze długo, pomimo że tajemnica została wykryta. Kadeci nadal wierzyli, że na ich zamku żyje i czasami nocą ukazuje się widmo. Było to ogólne przekonanie, które dzielili zarówno młodszy, jak starsi kadeci z tą jednak różnicą, że młodszy ślepo wierzyli w zjawy, a starsi czasami przyczyniali się do ich pojawienia. Pierwsze jednak nie

wykluczało drugiego, a nawet ci, którzy występowali w roli zjawy, także mieli lekkiego stracha. Tak samo się dzieje z niektórymi fałszywymi głosicielami cudów, którzy sami je inscenizują i sami przed nimi się korzą, a nawet wierzą w ich istnienie.

Młodzi kadeci nie znali dobrze całej tej „historii” — rozmowy na ten temat, po wypadku z kadetem, okrutnie ukaranym cielesnie, były surowo zakazane — wierzyli jednak, że starsi, wśród których są jeszcze koledzy kadeta wysieczonego czy też zasieczonego, znają całą prawdę o zjawie. To dodawało starszym wiele prestiżu, z którego korzystali do 1859 czy też 1860 roku, kiedy to czterej z nich sami przeżyli okropny strach; opowiem o tym na podstawie słów jednego z uczestników niefortunnego żartu przy trumnie.

ROZDZIAŁ TRZECI

W tym właśnie 1859 czy też 1860 roku zmarł w Inżynieryjnym Zamku opiekun tego zakładu, generał Lamnowski. Należał on do zwierzchników najmniej lubianych przez kadetów i bodajże nielepszej zażywał sławy u swoich władz. Wiele złożyło się na to przyczyn: powiadano, jakoby generał był w stosunku do chłopców nazbyt surowy i obojętny, że mało wnikał w ich potrzeby, nie troszczył się o nich, a najważniejsze, że był dokuczliwy, przyczepski, drobiazgowo surowy. W korpusie też mawiano, że sam generał byłby jeszcze gorszy, gdyby niepohamowanego okrucieństwa nie poskramiała łagodna jak anioł generałowa, której żaden z kadetów nigdy nie oglądał, jako że była stale chora: uważano ją jednak za dobrego ducha, chroniącego wszystkich przed nieposkromionym okrucieństwem generała.

Poza tą sławą nieświecą cechowały generała Lamnowskiego nader niemiłe maniery. Były to nieraz śmieszności, które chłopcy podchwytywali i kiedy chcieli przedstawić nielubianego zwierzchnika, to zazwyczaj małpowali z karykaturalną przesadą jakieś jego śmieszne na pozór przyzwyczajenie.

Najśmieszniejszym nawykiem generała było to, że przed każdym przemówieniem czy też admonicją zawsze głaskał nos wszystkimi pięciu palcami prawej ręki. Wedle określeń kadeckich wyglądało to tak, jakby generał „doił słowa z nosa”.

Nieboszczyk generał nie odznaczał się krasomówstwem, toteż często — jak to się mówi — brakowało mu słów na wyrażenie wychowawczych upomnień, dlatego też przy każdym takim potknięciu wzmagало się „dojenie” nosa, a kadeci natychmiast tracili powagę i zaczynały się prześmiewki. Generał, widząc takie pogwałcenie subordynacji, wpadał w jeszcze większy gniew i sypały się kary. Tak więc stosunki między generałem a jego wychowankami stawały się coraz gorsze, a głównym winowajcą, zdaniem kadetów, był „nos”.

Nie lubiąc Lamnowskiego kadeci nie przeoczyli żadnej okazji, żeby mu dokuczyć, zemścić się i na wszelki sposób psuć mu reputację u swych nowych kolegów. W tym celu szerzyli w korpusie słuchy, jakoby Lamnowski miał kontakty z nieczystą siłą i zmuszał demony do dźwigania marmurów, które dostarczał na budowę jakiegoś budynku, zdaje się, że Isakijewskiego Soboru. Ponieważ jednak praca ta demonom obrzydła, powiadano, że wyczekiwały one z niecierpliwością na śmierć generała, jako na zdarzenie, które przywróci im wolność, żeby to się wydało jeszcze bardziej prawdopodobne, pewnego razu wieczorem, w dniu imienin generała, kadeci sprawili mu wielką przykrość przez urządzenie pogrzebu. Zrobiono to w ten sposób, że kiedy w mieszkaniu Lamnowskiego ucztowali goście, na korytarzu kadeckim zjawiła się żałobna procesja: okryci prześcieradłami kadeci, trzymając w rękach świece, nieśli na marach kukłę w masce o długim nosie, i cicho śpiewali pogrzebowe pieśni. Organizatorów tej ceremonii wykryto i surowo ukarano, lecz na następne imieniny Lamnowskiego niesmaczny żart z pogrzebem powtórzył się znowu. I powtarzał się tak do czy też roku, kiedy to generał Lamnowski zmarł w rzeczy samej i kiedy trzeba było urządzić prawdziwy pogrzeb. Wedle istniejącego wówczas zwyczaju kadeci na zmianę pełnili wartę honorową przy trumnie, i wtedy to zdarzyła się okropna historia, co to napędziła strachu tym właśnie bohaterom, którzy przez dłuższy czas straszili innych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Generał Lamnowski zmarł późną jesienią, w listopadzie, kiedy cały Petersburg wyglądał po prostu odrażająco: chłód, wilgoć, błoto, a

zwłaszcza przyćmione, mgliste oświetlenie fatalnie działają na nerwy, a przez nie na umysł i fantazję. Wszystko to wywołuje chorobliwy niepokój ducha, zdenerwowanie. O tej porze roku Moleschott mógłby zebrać u nas jak najciekawsze dane do swej pracy o wpływie światła na życie.

Dni, kiedy umarł generał Lamnowski, były szczególnie nieprzyjemne. Nieboszczyka nie wystawiono w cerkwi zamkowej, gdyż był luteraninem: zwłoki zmarłego stały w wielkiej żałobnej sali w mieszkaniu generała i tu na zmianę pełnili wartę honorową kadeci, a w cerkwi odprawiano panichidy wedle obrządku prawosławnego. Jedną panichidę odprawiano w dzień, a drugą wieczorem. Wszyscy mieszkańcy zamkowi, zarówno kadeci, jak też urzędnicy, musieli być obecni na każdej panichidzie i było to ściśle przestrzegane. Na skutek tego, kiedy w cerkwi odprawiano panichidy, wszyscy mieszkańcy zamku zbierali się tam, a obszerne komnaty i korytarze pustoszały całkowicie. W mieszkaniu zmarłego nie pozostawał nikt poza wartą, składającą się z czterech kadetów, którzy z karabinami i hełmami na przedramieniu stali przy trumnie.

Wtedy właśnie zaczął się rodzić jakiś straszliwy niepokój, wyczuli go jakoś wszyscy, wszyscy zaczęli się czegoś bać, a potem ni stąd, ni zowąd zaczęto pogadywać, że znowu gdzieś ktoś tam „wstaje”, znowu ktoś „chodzi”. Było tak nieprzyjemnie, że wszyscy zaczęli hamować się nawzajem mówiąc: „Dosyć już wreszcie, przestańcie, do diabła z takimi opowiadaniem! Działacie tylko na nerwy sobie i innym”. A potem wszyscy powtarzali to, za co ganili innych, i ze zbliżeniem się nocy wszystkich ogarnął strach. Wzmogło się to jeszcze, kiedy kadetów „prześwięcił ojczulek”, to jest ówczesny zamkowy pop. Ojciec zaczął ich wstydzić za objawy radości wywołane śmiercią generała — w krótkich słowach, ale skutecznie umiał wzruszyć, pobudzić w nich uczucia.

— „Chodzi” — przemówił do nich ich słowami. — Całkiem zrozumiałe, że chodzi coś takiego, czego nie widzicie i dojrzeć nie możecie, w czym tkwi siła, której nie podołacie. To szary człowiek; nie o północy on wstaje, tylko o zmroku, kiedy zbliża się szara godzina i kiedy każdy chciałby opowiedzieć o tym, co ma w sercu niedobrego. Ten szary człowiek — to sumienie. Nie radzę wam trwożyć go podłą radością z powodu czyjejkolwiek śmierci. Każdego człowieka ktoś kocha, ktoś żałuje; uważajcie, żeby szary człowiek nie

zjawił się, żeby nie dał wam bolesnej nauczki!

Kadeci wzięli to sobie głęboko do serca i za ledwie tego dnia zaczęło się zmierzchać, co raz to oglądali się: czy nie zjawia się szary człowiek, i w jakiej postaci?

Wiadomo, że o zmierzchu rodzi się w duszy ludzkiej jakiś osobliwy sposób odczuwania przytłumiający ten, którym się posługujemy przy świetle dnia: przedmioty dobrze znane, o najzwyklejszych kształtach, stają się nie wiadomo dlaczego jakieś cudaczne, niezrozumiałe, a wreszcie nawet straszne. O tej godzinie każde uczucie zdaje się szukać jakiegoś nieokreślonego, lecz wzmocnionego wyrazu, nastrój myśli i uczuć kolebie się i w tej błyskawicznej i głębokiej dysharmonii całego wewnętrznego świata zaczyna pracować fantazja: rzeczywistość staje się snem, a sen — rzeczywistością... Jest to ponętne a zarazem straszne, i im bardziej straszne, tym bardziej ponętne, urzekające.

Taki właśnie nastrój panował wśród większości kadetów zwłaszcza przed nocną wartą u trumny. Ostatniego dnia przed pogrzebem na panichidę miało się zjawić wiele bardzo ważnych osobistości, dlatego też poza mieszkańcami zamku przybyło mnóstwo ludzi z miasta. Nawet z mieszkania samego generała wyszli wszyscy do cerkwi, żeby obejrzeć zgromadzenie wysoko postawionych osób: nieboszczyk został tylko z uczniowską wartą. Tym razem na warcie stało czterech kadetów: G-ton, B-now, Z-ski i K-din. Wszyscy po dziś dzień cieszący się dobrym zdrowiem i zajmujący poważne stanowiska w urzędach i w społeczeństwie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeden spośród czterech zuchów stojących na warcie, a mianowicie K-din, należał do tych najzuchwalszych psotników, którzy najwięcej dokuczali nieboszczykowi Lamnowskiemu, i wskutek tego częściej niż inni zbierał surowe kary. Nieboszczyk generał nie lubił K-dina szczególnie za to, że ten swawolnik umiał go wspaniale naśladować w „zakresie dojenia nosa”, że brał najbardziej czynny udział w uroczystościach pogrzebowych, organizowanych w dniu jego imienin.

Kiedy został zorganizowany taki kondukt w dniu ostatnich imienin generała, właśnie K-din występował w roli nieboszczyka i

nawet wygłosił przemówienie z trumny z takimi mina-mi i takim głosem, że rozśmieszył wszystkich bez wyjątku, bo nawet oficera usiłującego rozpędzić kondukt.

Było wiadomo, że ten wypadek straszliwie rozżłościł nieboszczyka Lamnowskiego i wśród kadetów przebąkiwano, jakoby rozwścieczony generał poprzysiągł sobie, że ukarze K-dina na całe życie. Kadeci wierzyli w to i biorąc pod uwagę znane cechy charakteru generała, ani przez chwilę nie wątpili, że generał dotrzyma przysięgi. W ciągu całego ostatniego roku stale uważano, że K-din „wisi na włosku”, a ponieważ ze względu na żywość charakteru bardzo mu było trudno powstrzymać się od śmiałych i ryzykownych wybryków, sytuacja jego okazała się bardzo zagrożona i w korpusie ciągle oczekiwano, że K-din lada dzień wpadnie, a wtedy Lamnowski nie będzie się ceremoniować, lecz wszystkie jego sprawy sprowadzi do wspólnego mianownika, tak że kadet popamięta go na całe życie.

K-din tak drżał przed tą groźbą zwierzchnika, że czynił rozpaczliwe wysiłki, i jak nałogowy pijak wódki, tak on unikał wszelakich psot, zanim nie sprawdziło się na nim przymówisko, że „chłop rok nie pije, lecz jak go czart podkusi, wszystko przepić musi”.

Czart podkusił K-dina właśnie przy trumnie generała, który zmarł nie dopełniwszy swej pogroźki. Teraz kadet nie bał się już generała i długo wstrzymywana pomysłowość chłopięca znalazła okazję odprężenia się niczym długo ściskana sprężyna. Chłopak po prostu oszalał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ostatnią panichidę, która zgromadziła w prawosławnej cerkwi wszystkich mieszkańców Zamku, wyznaczono na godzinę ósmą, ponieważ jednak spodziewano się, że wezmą w niej udział osoby wysoko postawione, w obecności których wchodzenie do cerkwi byłoby niedelikatne, wszyscy więc wyszli na nabożeństwo o wiele wcześniej. W sali nieboszczyka została tylko warta kadetów: G-ton, B-now, Z-ski i K-din. W żadnej z sąsiednich olbrzymich sal nie było żywego ducha.

O pół do ósmej drzwi otwarły się na mgnienie oka i ukazał się w nich placadiutant, z którym zdarzył się właśnie wtedy dziwny

wypadek, potęgujący nastrój strachu: oficer podchodząc do drzwi czy przestraszył się własnych kroków, czy też wydało mu się, że go ktoś goni, z początku bowiem przystanął, żeby usunąć się z drogi, a potem nagle wykrzyknął:

— Kto to? Kto? — i szybko wsuwając głowę w drzwi, drugą ich połową uderzył samego siebie i znowu krzyknął, jakby go ktoś chwycił z tyłu.

Rzecz oczywista, że natychmiast się opanował i szybko obrzuciwszy żałobną salę niespokojnym spojrzeniem, stwierdził, że nie ma nikogo, i domyślił się, że wszyscy poszli do cerkwi; wtedy znowu uchylił drzwi i głośno pobrzękując szablą, przyśpieszonym krokiem ruszył korytarzem wiodącym do zamkowej kaplicy.

Stojący przy trumnie kadeci spostrzegli wyraźnie, że i dorośli czegoś się boją, że strach jakoś na wszystkich działa zaraźliwie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stojący na warcie kadeci śledzili słuchem kroki odchodzącego oficera i stwierdzili, że z każdym oddalającym się krokiem sytuacja ich staje się coraz bardziej żałośliwa, całkiem jakoby ich tu przywiedziono i zamurowano z nieboszczykiem za jakąś zniewagę, której im nieboszczyk nie zapomni i nie przebaczy, przeciwnie, wstanie i niewątpliwie zemści się. I to zwyczajem nieboszczyków — okrutnie... Potrzebna tylko odpowiednia pora — przychylna godzina północy,

*... kiedy pieje kur
i szarpie, miota się w ciemnościach...*

Oni jednakże nie będą tu stać do północy — nadejdzie zmiana, a przy tym nie straszna jest im zjawa, tylko szary człowiek, którego czas przychodzi o zmierzchu. Teraz właśnie panował najgłębszy zmierzch: nieboszczyk w trumnie i wokół najbardziej przerażające milczenie... Na dworze wył wiatr z niesamowitą wściekłością zalewając olbrzymie okna całym potokiem mętnej jesiennej ulewy, dudnił hałaśliwie po blaszanym dachu; w kominie huczało porywiście, coś jakby wzdychało, coś jakby się weń wdzierało, przystając na chwilę,

to znowu gwałtowniej napierając. Wszystko to nie sprzyjało trzeźwości uczuć, spokojnemu rozumowaniu. Przytłaczający nastrój wzmagał się wśród chłopców, którzy musieli stać zachowując najgłębsze milczenie; krew uderzała do głowy, uciskało w skroniach, słyszeli coś na kształt monotonnego, młyńskiego stukotu. Kto doznał podobnych wrażeń, ten zna ten dziwny i całkiem osobliwy stukot krwi — całkiem jakby młyn mełł, lecz nie ziarno, ale właśnie człowieka. To szybko doprowadzić może do dręczącego stanu rozdrażnienia, przypominającego wrażenie ludzi, którzy po raz pierwszy śpieszą w głąb ciemnej kopalni, gdzie zwykle światło dzienne nagle zastępuje dymiący kaganek... Niemożliwe jest wtedy zachowanie milczenia — człowiek chce słyszeć choćby własny głos, poruszyć się, uczynić coś jak najbardziej nierozsądnego.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jeden z czterech kadetów stojących na warcie u trumny generała, mianowicie K-din, doznawał właśnie wszystkich tych wrażeń, zapomniał o dyscyplinie i stojąc na baczność z karabinem wyszeptał:

— Duchy lażą do nas po tatowy nos.

Lamnowskiego czasami nazywano żartobliwie „tata”, lecz w tym wypadku żart nie rozśmieszył kolegów, przeciwnie, spotęgował tylko przerażenie i dwóch wartowników spostrzegłszy to odpowiedziało K-dinowi:

— Milcz... i tak straszno — i wszyscy trwożnie wpatrzyli się w otuloną muślinem twarz zmarłego.

— Dlatego właśnie mówię, że się boicie — odrzekł K-din — a mnie, przeciwnie, wcale strach nie oblatuje, ponieważ teraz on nie może mi już nic zrobić. Tak, trzeba się wznieść ponad przesady i głupstw się nie bać, a każdy nieboszczyk to przecież najwierutniejsze głupstwo. Zaraz wam to udowodnię.

— Tylko bez żadnych dowodów.

— Właśnie, że udowodnię. Udowodnię wam, że „tata” nic nie może mi teraz zrobić, nawet gdy złapię go za nos.

Z tymi słowy całkiem niespodziewanie dla wszystkich K-din błyskawicznie zarzucił karabin na ramię, szybko wbiegł po stopniach katafalku i pociągnął zmarłego za nos, głośno i wesoło

wykrzyknął:

— Aha, tata, tyś umarł, a ja żyję i ciągnę cię za nos, a ty nie możesz mi nic zrobić!

Koledzy zmartwieli na ten wybryk i nie zdążyli wymówić nawet słowa, kiedy nagle wszyscy najzupełniej wyraźnie usłyszeli głębokie żałosne westchnienie; dźwięk taki wydaje nadmuchana gumowa poduszka z nie dokręconym kurkiem, gdy się na niej siada... Westchnienie to — tak się wszystkim zdawało — wydobywało się najwyraźniej z trumny. K-din szybko wyprostował rękę i potknąwszy się, z hukiem runął wraz z karabinem ze wszystkich stopni katafalku, trzech zaś pozostałych kolegów, nie zdając sobie sprawy z tego, co robią, ze strachu chwyciło karabiny na „gotuj broń”, żeby się obronić przed wstającym nieboszczykiem.

Ale to jeszcze nie wszystko: nieboszczyk nie tylko westchnął, lecz rzeczywiście gonił za znieważającym go swawolnikiem czy też przytrzymał go za rękę: za K-dinem pełzły całe zwoje muślinu; w rzeczy samej, było to zjawisko całkiem niezrozumiałe i rzecz jasna, straszne, tym bardziej że zmarły, osłonięty dotąd muślinem, leżał teraz całkiem odkryty z rękami złożonymi na zapadłej piersi.

Swawolnik leżał bez karabinu, z twarzą zakrytą ze strachu rękami, i straszliwie jęczał. Widocznie był przytomny i czekał, że nieboszczyk zaraz zabierze się do niego po swojemu.

Tymczasem westchnienie powtórzyło się, a na dobitkę rozległ się cichy szelest. Był to dźwięk, który zdawał się powstawać od pocierania jednego sukiennego rękawa o drugi. Widocznie nieboszczyk zaczął ruszać rękami — i nagle cichy szelest; po chwili strumień powietrza o innej temperaturze przepłynął po świecach i w tymże okamgnieniu z poruszających się portier, które zasłaniały drzwi od wewnętrznych pokojów, wyłoniła się zjawa. Szary człowiek! Przed przerażonymi oczami chłopców stała zjawa o całkiem wyraźnych ludzkich kształtach... Może była to dusza nieboszczyka w nowej powłoce, przywdzianej w innym świecie, z którego wróciła na mgnienie oka, żeby ukarać za beczelny znieważający wybryk, a może był to jakiś straszniejszy gość — sam duch zamku, co przez podłogę wyszedł z pod-ziemia sąsiedniej komnaty?!...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Zjawa nie była tworem wyobraźni — nie znikła wcale, a z postaci przypominała opisaną przez Heinego zjawę „tajemniczej kobiety”: i jedna, i druga była „trupem, który więzi duszę”. Przed przerażonymi chłopcami stała przeraźliwie wyniszczona postać cała w bieli, w cieniu jednak wydająca się szarą. Miała straszliwie wychudzoną, sinoblada, całkiem zgaszoną twarz; na głowie skołtunione, rozczochrane gęste, długie włosy. Mocno przyprószone siwizną włosy również zdawały się szare; rozsypane bezładnie okrywały one pierś i ramiona zjawy!... Oczy zdawały się błyszczące, rozpalone, płonące chorobliwym blaskiem... Błyski ich w ciemnych głęboko zapadłych orbitach przypominały błyski płonących węgli. Zjawa miała cienkie chude ręce, przypominające ręce szkieletu, i obu rękami trzymała się za kraj przydrzwiowych draperii.

I właśnie te ręce zjawy, kurczowo zaciskające materię słabymi palcami, wydawały ów suchy sukienny szelest, który słyszeli kadeci.

Usta zjawa miała całkiem czarne i otwarte i z nich to w krótkich odstępach czasu ze świstem i chrypieniem wyrывał się ten wyteżony ni to jęk, ni to westchnienie, które po raz pierwszy dało się słyszeć, gdy K-din pociągnął zmarłego za nos.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Spostrzegłszy tę groźną zjawę, trzech pozostali wartownicy skamienieli, zamarli w swych obronnych pozycjach, silniejsi od K-dina, który leżał jak długi, zaplątany w śmiertelny całun.

Zjawa nie zwracała najmniejszej uwagi na całą tę grupę: oczy jej były wpatrzone w trumnę, w której leżał teraz całkiem odkryty nieboszczyk! Chwiała się z lekka, chcąc się widocznie poruszyć. Wreszcie udało się jej. Przytrzymując się rękami ściany ruszyła powolutku i chwiejnym krokiem zaczęła posuwać ku trumnie. Był to okropny widok. Wstrząsana drzeniem przy każdym kroku, z męką chwytając powietrze otwartymi ustami wydawała ze swej pustej piersi te straszliwe westchnienia, które kadeci przyjęli za westchnienia wydobywające się z trumny. I oto jeszcze krok, jeszcze jeden i wreszcie jest już blisko, podeszła do trumny, ale zanim weszła po stopniach katafalku, przystanęła, wzięła K-dina za rękę, w której w

rytm rozdygotanego gorączkowo ciała drżał rąbek sfałdowanego muślinu, i cienkimi, wychudłymi palcami odczepiła muślin od guzika munduru łobuza; popatrzyła na niego z niewypowiedzianym smutkiem, pogroziła mu i... zrobiła znak krzyża; potem ledwie trzymając się na trzęsących się nogach po stopniach katafalku wspięła się do trumny, chwyciła się za jej brzeg i objąwszy nieboszczyka swymi szkieleciami rękami, zaszłochała...

Zdawało się, że w trumnie całują się dwie śmierci, lecz wkrótce to się skończyło. Z drugiego końca zamku dobiegły odgłosy życia: panichida skończyła się i z cerkwi do mieszkanie zmarłego pośpieszyli niektórzy, aby tu być na wypadek wizyty dostojnych osób.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Do uszu kadetów dotarł z korytarza łoskot zbliżających się głośnych kroków i dolatujących z cerkwi pogłosów żałobnej pieśni. Ożywiająca zmiana wrażeń dodała kadetom ducha, a nawyk codziennej dyscypliny postawił ich we właściwej pozycji na właściwe miejsca.

Adiutant, który ostatni zajrzał tu przed panichidą i teraz wbiegł pośpiesznie do żałobnej sali, wykrzyknął:

— O Boże, jakżeż ona tu przyszła!

Trup w bieli, z rozpuszczonymi włosami, leżał obejmując nieboszczyka i zdawało się, że sam już nie oddycha. I wszystko się wyjaśniło.

Zjawia, która nastraszyła kadetów, była to wdowa po zmarłym generale; sama już bliska śmierci miała nieszczęście przeżyć swego męża. Z powodu wielkiego wyczerpania od dawna nie opuszczała już łóżka, lecz kiedy wszyscy odeszli na uroczyste nabożeństwo żałobne do cerkwi, zwłokła się ze swego śmiertelnego łoża i czepiając się rękami ściany zjawiała się u trumny. Suchy szelest, który kadetom zdawał się szelestem rękawów zmarłego generała, był odgłosem dotknięć jej rąk do ściany. Teraz pogrążona była w głębokim omdleniu i w tym stanie, na rozkaz adiutanta, kadeci wynieśli ją z sali w fotelu.

To był ostatni strach w Inżynierskim Zamku, który, wedle słów opowiadającego, wywarł na kadetach głębokie wrażenie na całe życie.

— Od tego wypadku — opowiadał nam — wszyscy zawsze

oburzaliśmy się, jeśli ktoś cieszył się z czyjejkolwiek śmierci. I nigdyśmy nie mogli zapomnieć o naszym karygodnym wybryku i o błogosławiącej ręce ostatniej zjawy w Inżynieryjnym Zamku; tylko ona miała moc przebaczenia w imię świętego prawa miłości. Od tego czasu przestały w korpusie straszyć zjawy. Ta, którąśmy oglądali, była ostatnią.

Przełożyła *Irena Bajkowska*

OSCAR WILDE (1854 — 1900)

UPIÓR Z CANTERVILLE

Wybitny angielski poeta, prozaik i dramaturg pochodzenia irlandzkiego, mistrz paradoksu, dyktator gustu literackiego Anglii u schyłku XIX wieku, głośny ze swojej ekstrawagancji. Najważniejszą jego utwory to powieść „Portret Doriana Graya” oraz komedie „Wachlarz Lady Windermare” i „Bądźmy poważni na serio”. Pisał również znane bajki aforystyczne („Szczęśliwy książę”, „Słowik i róża”) oraz opowiadania.

I

Kiedy pan Hiram B. Otis, amerykański minister, nabywał Canterville Chase, wszyscy go ostrzegali, że popełnia czyn lekkomyślny, gdyż nie ulegało wątpliwości, że posiadłość ta była nawiedzana przez duchy.

W rzeczy samej, nawet lord Canterville, który poczucie honoru posuwał do granic drobiazgowości, uważał za swój obowiązek zapoznać z tym faktem pana Otisa przy ustalaniu warunków kupna i sprzedaży.

— My sami nie chcieliśmy tam mieszkać — mówił lord Canterville — odkąd moja cioteczna babka, wdowa po księciu Bolton, dostała wstrząsu nerwowego, a to na skutek przestrawu, jakiego doznała, gdy dwie ręce szkieletu spoczęły na jej ramionach w chwili, kiedy przebierała się, by zejść na obiad. Czuję się w obowiązku powiedzieć panu, panie Otis, że kilku żyjących członków mojej

rodziny widziało ducha, widział go także proboszcz parafii, wielebny Augustus Dampier, który jest członkiem King's College w Cambridge. Po nieszczęśliwym wydarzeniu z księżną nikt spośród młodszej służby nie chciał u nas pozostać, a lady Canterville prawie nie mogła sypiać po nocach z powodu tajemniczych szmerów, dochodzących z korytarza i z biblioteki.

— Milordzie — odpowiedział minister — nabywam meble z dobrodziejstwem inwentarza, a więc z duchem. Pochodzę z nowoczesnego kraju, w którym mamy wszystko, co się da kupić za pieniądze; a przy rzutkości naszych młodych obywateli, którzy malują Stary Świat na czerwono i wywożą wasze najlepsze aktorki i prymadonny, twierdzą, że gdyby jakiś duch istniał w Europie, mielibyśmy go w krótkim czasie u siebie, bądź w którymś z państwowych muzeów, bądź w objazdowym cyrku.

— A jednak obawiam się, że duch istnieje — rzekł uśmiechając się lord Canterville. — Może potrafił oprzeć się propozycjom waszych przedsiębiorczych impresariów. Jest on zjawiskiem znanym od trzech wieków, a ściśle biorąc, od roku 1584. Ukazuje się zawsze przed śmiercią któregoś z członków naszej rodziny.

— No, podobnie postępuje lekarz domowy. Duchy nie istnieją, lordzie Canterville, i śmiem twierdzić, że prawa natury nie ulegają zawieszeniu na użytek arystokracji angielskiej.

— Wy w Ameryce odnosicie się do wszystkiego bardzo naturalnie — odparł lord Canterville, który niezupełnie uchwycił znaczenie ostatniej uwagi pana Otisa. — Skoro panu duch krążący po domu nie przeszkadza, to wszystko w porządku. Ale proszę pamiętać, że uprzedziłem pana.

W parę tygodni później kupno zostało dokonane i pan minister z rodziną udał się pod koniec sezonu do Canterville Chase. Pani Otis, poprzednio panna Lukrecja R. Tappan z West 53rd Street, słynęła w swoim czasie jako nowojorska piękność i teraz jeszcze, będąc osobą w średnim wieku, zachowała niezwykłą urodę: bardzo ładne oczy i wspaniały profil. Wiele Amerykanek, opuszczając kraj rodzinny, przybiera pozę kobiet chronicznie niedomagających, gdyż wyobrażają sobie, że to nadaje im pozory europejskiego wyrafinowania. Pani Otis nigdy nie popełniła tego błędu. Świetnie zbudowana, posiadała wprost zdumiewającą tężyznę i prymitywną radość życia. Pod wielu względami przypominała angielskie panie, potwierdzając przez to

fakt, że mamy dziś rzeczywiście wszystkie wspólne cechy z Amerykanami, oczywiście z wyjątkiem języka. Starszy jej syn, ochrzczony imieniem Washingtona w chwili przy-pływu uczuć patriotycznych rodziców, czego chłopiec nie mógł odżałować, był jasnowłosym, dość przystojnym młodzieńcem, który przygotowywał się do roli amerykańskiego dyplomaty, oprowadzając przez trzy sezony Niemców po Newport Casino, później zaś, w samym Londynie zdobył sobie sławę doskonałego tancerza. Jediną jego słabością były gardenie i cichy kult dla tytułu para. Poza tym cechował go ogromny rozsądek.

Miss Wirginia H. Otis była piętnastoletnią dziewczką, śliczną i zgrabną jak młody jeleń, z pełnym wdzięku otwartym spojrzeniem wielkich, błękitnych oczu. Była również świetną amazonką. Pewnego razu ścigała się na swym kucu ze starym lordem Biltonem i okrażywszy dwukrotnie park wyprzedziła go o półtora stajania przed samym posągiem Achillesa, ku niezmiernemu zachwytowi młodego księcia Cheshire, który natychmiast się oświadczył i został tego samego wieczoru odesłany przez swoich opiekunów do Eton, co nie obyło się bez strumieni łez.

Po Wirginii następowały bliźnięta, tak zwane w rodzinie „gwiazdy i pasy”, gdyż często bywały dzielane pasem — rozkoszne chłopaki i jedyni, z wyjątkiem osoby samego ministra, prawdziwi republikanie w rodzinie.

Ponieważ Canterville Chase znajduje się w odległości siedmiu mil od najbliższej stacji kolejowej Ascot, pan Otis telegrafował o konie i przejażdżka rozpoczęła się w nastroju jak najweselszym. Cudowny lipcowy wieczór przesycony był delikatną wonią sosen. Od czasu do czasu Otisowie słyszeli gruchanie dzikiego gołębia, jakby urzeczonego słodyczą własnego głosu, lub dostrzegali wśród szeleszczących paproci lśniącą pierś bażanta. Z przydrożnych brzóz małe wiewiórki spoglądały na jadących, a króliki zmykały na ich widok przez zarośla i mszyste wzgórza, zadzierając białe ogonki. Jednakże, kiedy powóz skręcił w aleję Canterville Chase, niebo pokryło się chmurami i w atmosferze zawisła dziwna cisza. Nad głowami podróżnych przeleciało bezszelestnie wielkie stado gawronów, a zanim dojechali do domu, spadły na ziemię wielkie krople dżdżu.

Na schodach przy wjeździe czekała na nich stara kobieta,

schludnie ubrana w czarną jedwabną suknię, w biały czepek i fartuszek. Była to gospodyni, pani Umney, którą pani Otis na usilne naleganie lady Canterville zgodziła się zatrzymać na tym samym stanowisku. Wy-siadającym z powozu złożyła niski ukłon i staroświeckim zwyczajem wypowiedziała uprzejme słowa: „Witam państwa w Canterville Chase”. Prowadzeni przez nią przeszli przez piękną sień, pamiętającą czasy Tudorów, do długiej, nisko sklepionej biblioteki, wykładanej drzewem z czarnego dębu, z dużym witrażem w głębi. Tu czekała ich zastawa z herbatą. Zrzuciwszy okrycia rozsiedli się i poczęli rozglądać, podczas gdy pani Umney krzątała się, usługując im.

W pewnej chwili pani Otis dostrzegła na podłodze, koło kominka, wyblakłą, czerwoną plamę i nie zdając sobie sprawy z jej pochodzenia, zwróciła się do pani Umney:

— Coś się tu chyba rozlało.

— Tak, pani — odrzekła cichym głosem stara gospodyni — krew była rozlana w tym właśnie miejscu.

— Okropność! — zawołała pani Otis. — Nie życzę sobie śladów krwi w pokoju bawialnym. Trzeba to natychmiast usunąć.

Staruszka uśmiechnęła się i odrzekła tym samym przyciszonym, tajemniczym głosem:

— To krew lady Eleonory de Canterville, która w tym miejscu została zamordowana przez swego męża, sir Simona de Canterville, w 1575 roku. Sir Simon przeżył ją o dziewięć lat i nagle znikł w bardzo tajemniczych okolicznościach. Nigdy nie odnaleziono ciała, ale jego występny duch straszy do dziś dnia w tym domu. Wielu turystów i innych osób podziwiała tę plamę, której niczym nie można usunąć.

— Cóż za nedorzecznosc! — zawołał Washington Otis — płyn Pinkertona do wywabiania rdzy, a także pasta Paragona usuną to w jednej chwili — i zanim przerażona gospodyni zdążyła temu zapobiec, rzucił się na kolana i począł trzeć posadzkę małą pałeczką, wyglądającą na jakiś czarny kosmetyk. Po chwili nie było już śladu krwawej plamy.

— Wiedziałem, że Pinkerton zrobi swoje! — wykrzyknął triumfalnie, wodząc oczyma po członkach rodziny przyglądającej się mu z zachwytem; ledwo jednak wymówił te słowa, okropna błyskawica rozświeciła mroczną komnatę i przeraźliwy huk piorunu poderwał wszystkich na nogi. Pani Umney zemdląła.

— Cóż za potworny klimat! — zauważył spokojnie amerykański minister. — Widocznie stary kraj jest tak przeludniony, że nie może zapewnić wszystkim przyzwoitej pogody. Zawsze byłem zdania, że dla Anglii jedynym wyjściem jest emigracja.

— Drogi Hiramie! — zawołała pani Otis. — Cóż my pocniemy z kobietą, która mdleje?

— Odlicz jej to z pensji jako zawinioną szkodę, a przestanie mdleć — odparł minister.

I rzeczywiście pani Umney po chwili przysła do siebie, nie było jednak wątpliwości, że została głęboko wstrząśnięta. Z surową powagą przestrzegła pana Otisa, żeby się wystrzegął, bo domowi grozi jakieś nieszczęście.

— Widziałam tu na własne oczy — mówiła — takie sprawy, od których człowiekowi włosy powstają na głowie, a przez wiele, wiele nocy nie zmrużyłam oka z powodu strasznych rzeczy, jakie się tu działy.

Jednakże, gdy pan Otis i jego żona gorąco zapewnili zancą niewiastę, że nie boją się duchów, stara gospodyni, poleciwszy Opatrzności boskiej swego nowego pana i panią, a także napomknąwszy o podwyższeniu pensji, poczłapała do swego pokoju.

II

Burza szalała przez całą noc, ale poza tym nie wydarzyło się nic szczególnego. Jednak-że nazajutrz rano nowi właściciele zszedłszy na śniadanie ujrzeli w tym samym miejscu na podłodze tę samą okropną plamę krwi.

— Nie przypuszczam, aby to była wina mego wywabiacza plam — oświadczył Washington — gdyż stosowałem go w różnych wypadkach. To musi być sprawka ducha.

To mówiąc powtórnie wytarł plamę z posadzki, niemniej plama nazajutrz znowu się pokazała. Zjawiała się po raz trzeci następnego poranka, jakkolwiek pan Otis własnoręcznie zamknął bibliotekę na klucz i klucz zabrał do siebie na górę. Cała rodzina była teraz mocno zaintrygowana: pan Otis począł podejrzewać, że zbyt dogmatycznie przeczył istnieniu duchów, pani Otis wyraziła chęć wstąpienia do Towarzystwa Metapsychicznego, a Washington wystosował długi list

do panów Mayers and Podmore na temat nieustępliwości śladów krwi pochodzących z dokonanej zbrodni. Następną noc rozwiała raz na zawsze wątpliwości dotyczące obiektywnego istnienia zjawisk nadprzyrodzonych.

Gdy po ciepłym i słonecznym dniu nastał chłodny wieczór, cała rodzina wybrała się na przejażdżkę. Powróciwszy do domu dopiero o dziewiątej wszyscy zasiedli do lekkiej wieszery. Rozmowa nie obracała się bynajmniej około duchów, nie wytworzyły się więc warunki sprzyjające zaostrzeniu się wrażliwości i stanu wyczekiwania, jaki często poprzedza pojawienie się nadprzyrodzonych zjawisk. Poruszano tylko takie tematy, jak mi to później opowiadał pan Otis, które występują zwykle w rozmowach kulturalnych Amerykanów z wyższych klas społecznych. Mówiono więc o niezmiernej wyższości talentu aktorskiego miss Fanny Davenport nad Sarą Bernhardt, o trudności zakupu kukurydzy tudzież ciastek z gryczanej lub kukurydzianej mąki nawet w najlepszych sklepach angielskich; o poważnej roli, jaką odgrywa Boston w duchowym rozwoju świata; o pożyteczności systemu kwitów bagażowych dla podróżujących koleją, wreszcie o wdzięcznym brzmieniu nowojorskiego akcentu w porównaniu z bełkotem londyńskim. Nie było wzmianki o rzeczach nadprzyrodzonych, nie wspomniano też ani słowem o osobie sir Simona de Canterville. O jedenastej wszyscy się rozeszli, a o wpół do dwunastej wszystkie światła zagasły. Po pewnym czasie pan Otis ocknął się, zbudzony dziwnymi odgłosami dochodzącymi z korytarza przylegającego do jego pokoju. Brzmiało to jak szczeł metalu i z każdą chwilą zdawało się przybliżać. Zerwał się od razu, zapalił zapałkę i spojrzął na zegarek. Ten wskazywał dokładnie godzinę pierwszą. Pan Otis był zupełnie spokojny i zbadawszy swoje tętno stwierdził, iż nie było wcale przyspieszone. Dziwny odgłos nie ustawał, a jednocześnie słyhać było wyraźnie stapanie. Minister nasunął pantofle, wyjął z neseseru podłużny flakonik i otworzył drzwi. W bladym świetle księżycy ujrzał wprost naprzeciw siebie starca o przerażającym wyglądem. Oczy jego były czerwone jak żarzące się węgle, długie, siwe włosy spływały mu na ramiona na kształt poskręcanych lin; odzież staromodnego kroju była zbrukana i podarta jak łachman, a z przegubów rąk zwisały ciężkie kajdany i zardzewiałe okowy.

— Drogi panie — odezwał się pan Otis — muszę stanowczo

prosić pana o naoliwienie tych łańcuchów. Przynoszę w tym celu flaszeczkę smaru, który zwie się Tammany Rising Sun Lubricator. Ma być niezawodnie skuteczny już po pierwszym użyciu i są na to świadectwa, wypisane na etykiecie, a wystawione przez kilku naszych znakomitych wróżów krajowych. Postawię tę flaszeczkę na pański użytek tu, obok świec, i zawsze chętnie dostarczę panu większej ilości w razie potrzeby.

Na chwilę duch Canterville'u zastygł w bezruchu pod wpływem zrozumiałego oburzenia, po czym, cisnąwszy gwałtownie flakonik na wyfroterowaną posadzkę, począł uciekać wzdłuż korytarza, rozsiewając dokoła swej osoby okropne zielonawe światło i wydając głuche jęki. W chwili jednakże, gdy dobiegał do szczytu szerokich, dębowych schodów, drzwi z naprzeciwka stanęły otworem, wyskoczyły z nich dwie biało odziane figurki i ogromna poduszka przeleciała ze świstem nad głową ducha. Nie było oczywiście czasu do stracenia, toteż, wybrawszy czwarty wymiar przestrzeni jako środek ucieczki, duch Canterville'u zniknął za futryną i w domu zapanował całkowity spokój.

Gdy wreszcie znalazł się w małej, ukrytej komnacie, znajdującej się w lewym skrzydle, duch chcąc nabrać tchu wsparł się o smugę księżycowego światła i usiłował zdać sobie sprawę ze swego położenia. Nigdy w swej świetnej karierze, nie przerwanej od trzystu lat, nie został znieważony w tak grubiański sposób. Przypominał sobie kolejno księżnę-wdowę, którą był tak przeraził, gdy w swych koronkach i diamentach przeglądała się w zwierciadle, że upadła nieprzytomna, cztery pokojówki, które dostały ataków hysterii ujrzawszy go w jednym z pustych pokoi sypialnych uśmiechającego się do nich szyderczo zza kotary, także proboszcza miejscowej parafii, któremu zgasił świecę, gdy ten późnym wieczorem powracał z biblioteki i który od tej pory musiał zawsze pozostawać pod opieką sir Williama Gulla, istny męczennik trapiiony nerwowymi zaburzeniami. Przypomniała mu się również madame de Tremouillac, która pewnego rana, zbudziwszy się wcześniej, zobaczyła kościotrupa siedzącego przed kominkiem w fotelu i czytającego jej diariusz. Przeleżała potem sześć tygodni chora na zapalenie mózgu, a po wyzdrowieniu pojednała się z Kościołem, zrywając wszelkie stosunki z tym osławionym sceptykiem, monsieur de Voltaire. Przypominał sobie okropną noc, kiedy to znaleziono złego lorda Canterville w jego

ubieralni, dławiącego się niżnikiem dzwonkowym *, który ugrzął mu w pół gardła. Przed samą śmiercią nieszczęsny lord wyznał, że przy pomocy tej samej karty oszukał Karola Jamesa Foxa na pięćdziesiąt tysięcy funtów w Crockford i przysięgał, że to duch kazał mu ją połknąć. Wszystkie wielkie dokonane dzieła ożywały teraz w pamięci sir Simona, począwszy od śmierci kredencera, który zastrzelił się w kredensie po zobaczeniu w oknie zielonej ręki stukającej w szybę, a skończywszy na pięknej lady Studfield, która musiała zawsze nosić czarną aksamitną przepaskę na szyi dla ukrycia wypalonych na jej białej skórze znaków pięciu palców, co doprowadziło ją w końcu do utopienia się w sadzawce przeznaczonej do hodowli karp. Z tym egotyzmem, pełnym entuzjazmu, który cechuje prawdziwego artystę, sir Simon wyliczał w pamięci swe najsłynniejsze występy i uśmiechał się gorzko przypominając sobie swe ostatnie pojawienie się w postaci „Czerwone-go Rubens, czyli Strzygi”, swój debiut jako „Gaunt Gibeon, czyli Wampir z Bexley Moor”, tudzież furorę, jaką wywołał w pewien samotny wieczór czerwcowy, grając w kręgle własnymi kośćmi na tenisowym placu. A po tym wszystkim wtargnęli tu jacyś zakazani, nowocześni Amerykanie, którzy podsuwają mu Rising Sun Lubricator i ciskają mu poduszki na głowę! To było nie do zniesienia. Nigdy, od zarania dziejów, żaden duch nie był traktowany w taki sposób. Postanowił pomścić zniewagę i w głębokim zamyśleniu przesiedział tak aż do świtu.

III

Zeszedłszy nazajutrz rano na śniadanie rodzina Otisów roztrząsała przez czas dłuższy zagadnienie ducha. Pan minister Stanów Zjednoczonych był oczywiście trochę nierad, że jego prezent nie został przyjęty.

— Nie mam zamiaru — mówił — wyrządzać duchowi jakiegokolwiek osobistej krzywdy, a zważywszy, jak bardzo dawno w tym domu przebywa, nie uważam, aby obrzucanie go poduszkami było rzeczą właściwą. — Tu muszę z żalem stwierdzić, że ta słuszna uwaga wywo-

* walet karo.

łała wybuch śmiechu u bliźniaków. — Jednakże — dodał — jeśli on naprawdę odrzuci mój Rising Sun Lubricator, będziemy musieli odebrać mu te łańcuchy. Inaczej niepodobna będzie zasnąć przy takim hałasie pod samymi drzwiami sypialni.

Reszta tygodnia upłynęła jednak spokojnie i jedyną rzeczą, która zwracała uwagę, było nieustanne odnawianie się krwawej plamy na posadzce w bibliotece. Wydawało się to tym dziwniejsze, że pan Otis co wieczór zamykał drzwi na klucz, a okna były szczelnie okratowane. Wiele komentarzy wywoływała także ustawiczna zmiana koloru tej plamy. Niczym kameleon, jednego rana przybierała przyćmioną szkarłatną, barwę (niemal indygo), nazajutrz jaskrawo czerwoną, to znów przepysznie purpurową, a pewnego razu, gdy cała rodzina zeszła do biblioteki na pacierz (odmawiany według prostego rytuału, jaki nakazuje Wolny Amerykański. Reformowany Kościół Episkopalny), ujrzała na podłodze plamę jaskrawozieloną jak szmaragd. Te kalejdoskopiczne zmiany bawiły oczywiście całą kompanię i zakładano się co wieczór na ten temat. Jedyną osobą, która nie brała udziału w zabawie, była mała Wirginia. Z niewytłumaczonych: przyczyn widok krwawej plamy przygnębiał ją niezmiernie, a w dniu, w którym ta plama przybrała barwę szmaragdową, dziewczynka o mało nie zaczęła płakać.

Ponowne ukazanie się ducha wydarzyło się w niedzielę wieczorem. Ledwo wszyscy położyli się spać, zbudził ich zniecacka straszliwy łoskot w sieni. Zbiegłszy na dół ujrzeli, że ogromna stara zbroja oderwała się od swojej podstawy i runęła na kamienną podłogę, w krześle zaś o wysokim oparciu siedział duch Canterville'u i rozcierał sobie kolana z wyrazem okrutnej męki na twarzy. Bliźniacy, uzbrojeni w dziecinne wiatrówki, strzelili doń bez namysłu dwiema kulkami z dokładnością, jakiej nabywa się jedynie po, długiej i mozolnej praktyce w mierzeniu do mistrza kaligrafii, podczas gdy minister Stanów Zjednoczonych, celując doń z rewolweru, zażądał zgodnie z kalifornijską etykietą, by duch podniósł ręce do góry! Ten ze-rwał się z wściekłym okrzykiem i przesunął się przez nich na kształt mgły, gasząc w przelocie świecę trzymaną przez Washingtona, co pozostawiło wszystkich zebranych w zupełnej ciemności. Znalazłszy się na górze nad schodami oprzytomniał i postanowił użyć swej sławnej sztuczki: wybuchu piekielnego śmiechu. W wielu okolicznościach okazała się ona bardzo skuteczna. Sprawiała, sądząc z

opowiadań, że lord Raker osiwił w ciągu jednej nocy, zaś trzy nauczycielki Francuzki porzuciły pracę u lady Canterville nie czekając upływu miesiąca. Sir Simon zarechotał więc teraz najokropniejszym swym śmiechem, który raz po raz rozlegał się pod starym sklepieniem, ale zaledwie przebrzmiało to przerażające echo, jakieś drzwi się otworzyły i wysunęła się z nich pani Otis w bladoniebieskim szlafroku.

— Obawiam się — rzekła — że pan czuje się niezdrów, przyniosłam więc panu flaszeczkę mikstury doktora Dobella. Jeśli to niestrawność, lekarstwo okaże się znakomite.

Duch obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i już gotował się do nowej przemiany, miano-wicie do przeobrażenia się w ogromnego czarnego psa. Tej to sztuce, której słuszną zawdzięczał sławę, domowy lekarz przypisywał nieuleczalne zidiocenie dostojnego Tomasza Hortona, wuja lorda Canterville'a. Jednakże słysząc odgłos zbliżających się kroków sir Simon zachwiał się w swym okrutnym postanowieniu, poprzestał na przybraniu postaci lekko fosforyzującej i z głębokim, grobowym jękiem rozwiął się w chwili, gdy bliźniaki miały go dopaść.

Znalazszy się w swej komnatce załamał się i poddał gwałtownemu wzburzeniu. Prostactwo bliźniaków, gruby materializm pani Otis były niewątpliwie rzeczą niezmiernie dokuczliwą, lecz najboleśniej ugodziło go to, że okazał się niezdolny do noszenia kolczugi. Żywił nadzieję, że nawet nowocześni Amerykanie doznają wstrząsu na widok upiora w zbroi, jeśli nie z innych powodów, to przez szacunek dla swego narodowego poety, Longfellowa, nad którego wdzięcznymi i pociągającymi utworami on sam spędzał nieraz długie godziny, korzystając z nieobecności Canterville'ów, gdy wyjeżdżali do miasta. Po wtóre, była to jego własna zbroja. Nosił ją z powodzeniem na turniejach w Kenilworth i otrzymał za nią wysoką pochwałę z ust nie byle jakich, bo z ust samej królowejdziewicy. A teraz oto, gdy naciągał tę zbroję, został całkowicie obezwładniony ciężarem wielkiego napierśnika i stalowego hełmu, wskutek czego osunął się ciężko na kamienną podłogę, obcierając boleśnie kolana i kalecząc sobie kostki w przegubie prawej ręki.

Przez parę dni po tym wypadku ciężko chorował i jeśli wydał się ze swego pokoju, to jedynie po to, by utrzymać krwawą plamę w należytych stanie. Dzięki rozsądnemu dbaniu o siebie powrócił jednak

do zdrowia i postanowił pokusić się po raz trzeci o nastraszenie ministra Stanów Zjednoczonych oraz jego rodziny. Wybrał na ten cel piątek siedemnastego sierpnia i większą część tego dnia spędził na przeglądaniu swojej garderoby. W końcu wybór jego padł na wielki kapelusz, ozdobiony czerwonym piórem i nasuwany na oczy, na całun namarszczony dokoła przegubów i szyi tudzież na zardzewiały sztylet. Pod wieczór zerwała się gwałtowna burza z deszczem, a wiatr był tak porywisty, że wszystkie drzwi i okna starego domu trzęsły się i klekotały. Taką właśnie pogodę najbardziej lubił. Jego plan działania był następujący. Miał cichutko wejść do pokoju Washingtona Otisa i stanawszy w nogach jego łóżka wymamrotać jakieś niezrozumiałe słowa, po czym trzykrotnie pchnąć się sztyletem w gardło przy dźwiękach ściszonej muzyki. Do młodego człowieka czuł szczególną niechęć, wiedząc dobrze, że to on uporczywie wywabia krwawą plamę za pomocą płynu Pinkertona i pasty Paragona. Postanowił więc wzbudzić w tym bezmyślnym śmiałku uczucie nikczemnego strachu, a potem, zakradłszy się do pokoju ministra Stanów Zjednoczonych i jego żony, położyć oślizłą rękę na jej czole, a w ucho jej męża, drżącego z przerażenia, szeptać syczącym głosem ohydne sekrety, jakie kryje kostnica. Co do małej Wirginii duch nie powziął jeszcze wyraźnej decyzji. Nie uczyniła mu nigdy żadnej zniewagi, a była ładna i miła. Parę głuchych jęków, wydanych zza szafy, powinno aż nadto wystarczyć, a gdyby jej to nie zbudziło, można będzie drgającymi palcami przejechać po nakryciu jej łóżka. Bliźniakom natomiast postanowił dać dobrą nauczkę. Pierwszą czynnością, jaką zamierzał wykonać, miało być przygniecenie im piersi; własnym ciężarem, by wywołać w śpiących uczucie duszącej zmory. Ponieważ ich łóżka stały tuż obok siebie, postanowił następnie stanąć pomiędzy nimi w postaci zzieleniałego, lodowatego trupa, a gdy znieruchomieją z przestraszenia, zrzucić z siebie całun i jako zbieleły kościotrup, z jedną gałką oczną, obracającą się złowieszczo, czołgać się dokoła pokoju w charakterze „Posępnego Daniela, czyli Szkieletu Samobójcy”. Była to rola, którą niejednokrotnie z powodzeniem odegrywał i która, jego zdaniem, dorównywała zupełnie roli „Marcina-Wariata, czyli Zamaskowanej Tajemnicy”.

O wpół do jedenastej usłyszał, że cała rodzina udaje się na spoczynek. Przez jakiś czas jeszcze przeszkadzały mu w rozpoczęciu działań dzikie wybuchy śmiechu bliźniąt, które z beztróską wesołością

uczniaków baraszkowały widocznie przed położeniem się do łóżka. Dopiero kwadrans po jedenastej wszystko ucichło a gdy północ wybiła, duch rozpoczął swą wędrówkę. Jakaś sowa tłukła się o szyby, ze starego cisu dochodziło krakanie kruka i wiatr hulał, jęcząc niczym dusza potępiona dokoła domu, a rodzina Otisów spała, nieświadoma te-go, co ją czekało. Sir Simon słyszał górujące nad odgłosem deszczu i burzy miarowe chrapanie pana ministra Stanów Zjednoczonych. Wysunął się ukradkiem zza boazerii, ze złym uśmiechem na okrutnych, pomarszczonych wargach, a księżyc ukrył swe oblicze za chmura-mi, gdy duch przemykał się pod: wielkim witrażem w wykuszu, na którym widniał wykonany w złocie i lazurze jego własny herb, obok herbu zamordowanej żony. Sunął dalej i dalej, jak złowrogi cień, a nawet otaczająca go ciemność zdawała się wzdragać, gdy przechodził. W pewnej chwili przystanął sądząc, że słyszy wołanie, lecz przekonawszy się, że to pies szczeka na Czerwonej Fermie, posuwał się dalej, mamrocząc dziwne przekleństwa z XVI wieku i wywijając od czasu do czasu w powietrzu zardzewiałym sztyletem. Wreszcie dotarł do zakrętu korytarza, który wiódł do pokoju nieszczęsnego Washingtona. Zatrzymał się tam na chwilę. Wiatr rozwiewał jego długie, siwe włosy, skręcając w przedziwne, fantastyczne fałdy niesamowity w swej okropności całun oblekający nieboszczyków. Gdy zegar wybił kwadrans na pierwszą, duch poczuł, że nadszedł czas działania. Zachichotał sam do siebie i minął zakręt korytarza, lecz ledwo to uczynił, cofnął się w tył z żalonym skowytem trwogi i ukrył zbielełą twarz w długich kościstych rękach. Wprost naprzeciw niego stał przerażający upiór, nieruchomy jak posąg i potworny jak senna mara, zrodzona w mózgu wariata! Głowę miał łysą i gładką, twarz okrągłą, tłustą i białą; zdawało się, że jakiś ohydny śmiech wykrzywił jego rysy i zastygł na nich na wieki. Z oczu jego sączyło się czerwone światło, z wielkiej czeluści ust buchał ogień, odzież zaś, równie wstrętna jak u ducha Canterville'u, spowijała śnieżną bielą tytaniczne kształty potwora. Na jego piersiach widniała tablica zapisana dziwnym, starodawnym pismem — jakiś zapewne dokument hańby, rejestr najdzikszych przestępstw, lista po-pełnionych zbrodni. W prawej ręce trzymał szablę z błyszczącej stali, wzniesioną do góry.

Sir Simon przeraził się okropnie, gdyż nigdy ducha nie widział, rzuciwszy więc jeszcze jedno przelotne spojrzenie na okropne

widziadło począł umykać do swego pokoju zaplątując się w pośpiesznej ucieczce przez korytarz w swoje długie giezło i gubiąc w końcu zardzewiały sztylet, który wpadł do cholewy buta pana ministra, skąd nazajutrz rano wyciągnął go służący. Znalazłszy się nareszcie w zaciszu własnego apartamentu sir Simon rzucił się na mały tapczan i ukrył twarz w pościeli. Jednakże po jakimś czasie ocknął się w nim mężny duch starego rodu Canterville'ów i postanowił rozmówić się z tamtym upiorem, skoro tylko zacznie świtać. Jakoż, zaledwie świt posrebrzył okoliczne wzgórza, sir Simon powrócił na miejsce, gdzie był ujrzał okropne widziadło, mówiąc sobie, że mimo wszystko dwa duchy mogą działać więcej niż jeden i że z pomocą nowego przyjaciela można będzie bezpiecznie potykać się z bliźniakami. Gdy jednak znalazł się na miejscu, oczom jego przedstawił się straszny widok. Coś się widocznie musiało wydarzyć Upiorowi, gdyż światło w jego pustych oczodołach zgasło, błyszcząca szabla wypadła mu z ręki, a on sam stał oparty o ścianę w niewygodnej i zeszywniałej pozycji. Sir Simon skoczył ku niemu i pochwycił go w ramiona, ale ku swemu przerażeniu ujrzał, że głowa potwora oderwała się i potoczyła po podłodze, korpus osunął się na wznak, a w rękach sir Simona pozostała biała bawełniana firanka od łóżka, szczotka do zamiatania i tasak kuchenny, podczas gdy u jego stóp wałała się wydrażona brukiew! Nie mogąc zrozumieć tego przeistoczenia, z gorączkowym pośpiechem chwycił za tabliczkę i wyczytał w bladym świetle poranka te straszne słowa:

**DUCH RODU OTISÓW,
JEDYNA PRAWDZIWA I ORYGINALNA ZJAWA,
STRZEŻCIE SIĘ NAŚLADOWNICTWA,
WSZELKIE INNE ZJAWY SĄ PODROBIONE!**

Uderzyło to w sir Simona jak grom. Podeszli go, oszukali, pohańbili! Oczy jego rozbłysły spojrzeniem dawnych Canterville'ów; zacisnął bezzębne szczęki i podnosząc pomarszczone ręce wysoko nad głową poprzysiągł, zgodnie z obowiązującą, malowniczą frazeologią starodawnej szkoły, że gdy kur dwukrotnie zadmie w swój dźwięczny róg, dokonane będą krwawe czyny i mord cichymi stopami wyjdzie na arenę.

Ledwo wymówił to straszliwe zaklęcie, kogut zapał na dachu

jednego z oddalonych domków krytych czerwoną dachówką. Duch zaśmiał się długim, przyciszonym, gorzkim śmiechem i czekał. Czekał godzinę i drugą, a kogut z niewiadomych przyczyn nie zapiał po raz wtóry. Aż wreszcie, o wpół do ósmej, wejście pokojówek zmusiło go do zaniechania złowrogich czat i dumnym krokiem wrócił do swego pokoju, rozmyślając o swych butnych, a chybionych zamierzeniach i nadziejach. Po czym zagłębił się w czytaniu rycerskich ksiąg, które niezmiernie lubił, i dowiedział się z nich, że ilekroć tego rodzaju zaklęcie było wymówione, kur zawsze piał po raz drugi.

— Przeklęte niech będzie złośliwe ptaszysko — wymamrotał. — Ongiś byłbym przebił mu gardziel mocną włócznią, musiałyby mi wtedy zapiać, zanimby szczeł.

Rzekłszy to ułożył się na spoczynek w wygodnej, ołowianej trumnie i pozostał tam do wieczora.

IV

Nazajutrz duch czuł się bardzo słaby i zmęczony. Straszne podniecenie, w jakim żył od czterech tygodni, poczyniło się na nim odbijać. Jego nerwy były całkowicie stargane, zrywał się za lada odgłosem. Przez pięć dni nie opuszczał pokoju, postanowiwszy wreszcie zaniechać sztuczek z krwawą plamą na posadzce biblioteki. Skoro rodzina Otisów nie chciała krwawej plamy, to niezawodnie na to nie zasługiwała. Byli to widocznie ludzie stojący na niskim materialistycznym poziomie egzystencji, zupełnie niezdolni do zrozumienia symbolicznego znaczenia zjawisk przemawiających do zmysłów. Kwestia ukazywania się widm i rozwój astralnych ciał stanowiły oczywiście inną materię i nie podlegały jego kontroli. Miał obowiązek, uroczyście sobie nakazany, ukazywać się na korytarzu raz na tydzień, a także w pierwszą i trzecią środę miesiąca przemawiać z okna wykuszu niezrozumiałym językiem — nie widział sposobu uchylenia się od tych zobowiązań bez uchybienia honorowi. Jakkolwiek bowiem życie jego było bardzo złe, okazywał się zawsze ogromnie sumienny, gdy chodziło o sprawy nadprzyrodzone. Jakoż, przez następne trzy soboty przechadzał się jak zwykle po korytarzu pomiędzy północą a trzecią nad ranem, zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności, by nie być słyszany ani dostrzeżony.

Zdejmował buty, stapał jak najciszej po deskach stoczonych przez korniki, przyoblekał się w wielką, czarną aksamitną opończę i pamiętał o naoliwieniu łańcuchów amerykańskim smarem. Muszę powiedzieć, że z wielkim trudem zdobył się na użycie, tego ostatniego środka. A jednak pewnego wieczora, kiedy cała rodzina siedziała przy obiedzie, wśliznął się do sypialni pani Otis i porwał butelkę z tym smarem. W pierwszej chwili czuł się trochę upokorzony, lecz później znalazł w sobie dość rozsądku, by stwierdzić, że ten wynalazek ma swoje zalety i że do pewnego stopnia służy jego celom. Mimo tych ostrożności nie przestawano go dręczyć. Na korytarzu zastawał ciągle rozciągnięte sznurki, o które potykał się w ciemności, a pewnego razu, gdy występował w roli i stroju „Czarnego Izaaka, czyli Myśliwego z Hogley Woods”, ciężko upadł stanawszy na pochyłą śliską deszczułkę, którą bliźniacy ustawili pomiędzy wyjściem z komnaty zawieszanej tkaninami a górną częścią dębowych schodów. Ta ostatnia zniewaga taką napęliła go wściekłością, że chcąc zaznaczyć swoją godność i stanowisko społeczne, postanowił zrobić ostatni wysiłek, nawiedzając następnej nocy bezczelnych wychowanków z Eton w charakterze „Lekkomyślnego. Ruperta, czyli Grafa bez Głowy”. Nie występował już w tym przebraniu od przeszło siedemdziesięciu lat, to jest od czasu, kiedy tak przestraszył swym ukazaniem się śliczną lady Barbarę Modish, że zerwała nagle swe zaręczyny z dziadkiem obecnego lorda Canterville'a i uciekła do Green z pięknym Jackiem Castletonem, oświadczając że żadna na świecie siła nie zmusi jej wejść do rodziny, która pozwala takiemu szkaradnemu widmu przechadzać się tam i z powrotem po tarasie o zmroku. Biedny Jack został później zastrzelony w pojedynku przez lorda Canterville'a w Wandsworth Common, lady Barbara zaś, ze złamanym sercem, zmarła przed upływem roku w Tunsbridge Wells. Cała impreza powiodła się więc doskonale. Ucharakteryzowanie się jednak na „Grafa bez Głowy” było rzeczą niezmiernie trudną, jeśli tak teatralnego wyrażenia jak „charakteryzacja” można użyć w odniesieniu do jednej z największych tajemnic nadprzyrodzonego świata czy mówiąc językiem bardziej naukowym, świata niepoznawalnego. Same przygotowania do tego występu zajęły duchowi pełne trzy godziny. Gdy wreszcie ukończył pracę, był bardzo zadowolony ze swej powierzchowności. Wysokie skórzane buty do konnej jazdy, przystosowane do całego stroju, były wprawdzie trochę

zbyt obszerne, poza tym nie mógł odnaleźć jednego z dwóch pistoletów przytracanych do siodła, ale całość wypadła zadowolająco i o godzinie kwadrans po pierwszej upiór wynurzywszy się z za boazerii posuwał się wzdłuż korytarza. Gdy dotarł do pokoju zajmowanego przez bliźnięta, który nazywano z powodu barwy firanek i obicia błękitną sypialnią, zastał drzwi uchylone. Chcąc, aby jego wejście wywołało pożądany efekt, pchnął je gwałtownie, gdy wtem ciężki dzbanek z wodą spadł wprost na niego, przemoczył go na wskroś i przeleciał o parę cali obok jego lewego ramienia. W tej samej chwili posłyszał przytłumione wybuchy śmiechu, pochodzące z łóżka zdobnego w kolumny i baldachim. Wstrząs, jakiego doznał, odbił się tak silnie na jego systemie nerwowym, że umknął co sił do swego pokoju i następny dzień przeleżał, okrutnie przeziębiony. Jedyłą pociechą w całym tym wydarzeniu był fakt, że nie zabrał z sobą głowy, co gdyby uczynił, mogło być pociągnąć za sobą bardzo poważne konsekwencje. Od tej chwili stracił nadzieję, aby udało mu się kiedykolwiek nastraszyć tę nieokrzesaną amerykańską rodzinę i zadowolalał się przeważnie prze-suwaniem się po korytarzach w miękkich sandałach, z szyją okręconą grubym czerwonym szalikiem dla zabezpieczenia się od przeciągów tudzież z małą rusznicą mającą mu służyć w razie napaści ze strony bliźniaków. Ostatni cios. spotkał go dziewiętnastego września. Zeszedł na dół do sieni wejściowej, przekonany, że tam nikt nie będzie na niego nastawał i zabawiał się robieniem sarkastycznych uwag na temat ogromnych fotografii pana ministra Stanów Zjednoczonych i jego żony, które zastąpiły portrety rodu Canterville'ów. Był skromnie, lecz schludnie odziany w długi całun ze śladami pleśni cmentarnej, obwiązał sobie szczękę paskiem z żółtego płótna, a w ręku niósł małą latarkę oraz rydel grabarza. Strój ten odpowiadał roli „Jonasza Bez Grobu, czyli Ograbiacza Trupów z Chertsey Barn” — jednej z najznakomitszych ról, jakie uosabiał sir Simon, a którą rodzina Canterville'ów miała wszelki powód zapamiętać, gdyż to właśnie stało się pierwotną przyczyną jej zatargu z sąsiadem, lordem Ruffordem. Była godzina kwadrans po drugiej nad ranem i, jak się zdawało duchowi, nikt nie powinien był zakłócić jego spokoju. Gdy jednak skierował kroki w stronę biblioteki, by się przekonać, czy pozostał tam jeszcze ślad krwawej plamy, z ciemnego kąta wyskoczyły nań znienacka dwie postacie, które dziko wymachując rękami nad głową, ryknęły mu „buu” w samo ucho.

Gnany strachem, który w tych okolicznościach był zupełnie wytłumaczony, rzucił się w stronę schodów, ale tam czekał na niego Washington Otis z wielką sikawką ogrodową. Będąc tedy osaczony przez nieprzyjaciół ze wszystkich stron i niejako zapędzony w ślepy zaułek, znikł w wielkim żelaznym piecu, w którym na jego szczęście nie było ognia i tamtędy wywiął poprzez rury i kominy, by wreszcie dopaść swej komnatki w okropnym stanie brudu, nieładu i rozpacz. Od tej pory nie widywano go już na nocnych przechadzkach. Bliźnięta czatowały na niego wielokrotnie i co wieczór rozrzucały w przejściach skorupki od orzechów, ku wielkiemu niezadowoleniu rodziców i służby, ale czyniły to na próżno. Stało się rzeczą oczywistą, że duch, zraniony w swych uczuciach, nie pokaże się więcej. Pan Otis powrócił obecnie do pracy nad swym wielkim dziełem, Historią Partii Demokratycznej, którym zajmował się od paru lat; pani Otis urządziła wspaniałe clambake *, które wprawilo w zdumienie całe hrabstwo, chłopcy grywali w lacrosse **, pokera i inne narodowe amerykańskie gry towarzyskie, Wirginia zaś cwałowała po wiejskich drożynach na swoim kucyku w towarzystwie młodego księcia Cheshire, który przyjechał na ostatni tydzień wakacji do Canterville Chase. Przypuszczano ogólnie, że duch się wyniósł, i pan Otis napisał list do lorda Canterville donoszący mu o tym wydarzeniu. W odpowiedzi na tę nowinę lord wyraził swe żywe zadowolenie przesyłając jednocześnie wyrazy poważania czcigodnej pani ministrowej.

Rodzina Otisów myliła się jednakże, gdyż duch przebywał nadal w domu i, choć był już inwalidą, nie zamierzał bynajmniej pozostawać bierny, zwłaszcza odkąd się dowiedział, że wśród gości znajduje się młody książę Cheshire. Cioteczny dziad tego książątka, lord Francis Stilton, założył się bowiem kiedyś z pułkownikiem Carbury o sto gwinei, że zagra w kości z duchem Canterville'u. Znalaziono go nazajutrz leżącego na podłodze w karcianym pokoju, tkniętego tak silnym paraliżem, że jakkolwiek dożył późnego wieku, nie był już w stanie wypowiedzieć innych słów, jak „dwie szóstki”. Historia ta była dobrze znana w swoim czasie,

* Pieczenie ślimaków na rozgrzanych kamieniach.

** Gra kanadyjska, do której używa się twardej piłki oraz rakiety na długim kiju zwanej crosse.

choć oczywiście, przez szacunek dla uczuć obu szlacheckich rodów

starano się przeciwdziałać jej rozgłosowi. Pełny opis wszystkich okoliczności związanych z tą sprawą można znaleźć w trzecim tomie dzieła lorda Tattleya pt. „Wspomnienia o Księżciu Regencie i jego Przyja-ciołach”. Duchowi chodziło więc naturalnie bardzo o pokazanie, że nie stracił przewagi nad rodem Stiltonów, z którymi był trochę spowinowacony, cioteczna jego siostra bowiem wyszła en secondes noccs * za sieura de Bulkeleya, od którego — jak wiadomo — pochodzą w prostej linii książęta Cheshire. Rozpoczął przeto przygotowania, by ukazać się zakochanemu w Wirginii młodzieniaszkowi w swym słynnym wcieleniu: „Mnich-Wampir, czyli bezkrwisty Benedyktyn”, w postaci tak okropnej, że gdy stara lady Startup ją zobaczyła w ową fatalną wigilię Nowego Roku 1764, poczęła wydawać przeraźliwe krzyki, które skończyły się gwałtowną apopleksją, i w trzy dni potem umarła po wydziedziczeniu Canterville'ów, najbliższych swych krewnych, i zapisaniu całego majątku swemu londyńskiemu aptekarzowi. Wszakże w ostatniej chwili strach przed bliźniakami powstrzymał ducha od opuszczenia swe-go pokoju i mały książę spał spokojnie pod ozdobnym baldachimem w królewskiej sypialni, śniąc o Wirginii.

V

W parę dni później Wirginia i jej kędzierzawy towarzysz wybrali się na przejażdżkę przez błonia w Brockley, przy czym panienka przeskakując płot tak podarła swoją amazonkę, że po powrocie do domu postanowiła wejść tylnymi schodami, aby jej nikt nie zobaczył. Gdy przebiegała obok gobelinowej komnaty, której drzwi były uchylone, zdawało się jej, że kogoś tam dostrzega. Sądząc, że to panna służąca jej matki, która czasem przychodziła tam ze swoją robotą, zajrzała do wnętrza pokoju, by prosić ją o zeszycie sukienki. Ku swemu niesłychanemu zdumieniu ujrzała ducha Canterville'u we własnej osobie! Patrzył przez okno na żółknące drzewa, z których odrywały się płaty zaśniedziałego złota wirując w powietrzu, i na czerwone liście miotające się we wściekłym tańcu wzdłuż parkowej alei. Głowę wsparł na ręce, a cała jego postawa wyrażała niesłychane przygnębienie. Wyglądał na tak opuszczonego, na tak niezdolnego do podźwignięcia się, że mała Wirginia, której pierwszą myślą była

ucieczka i zamknięcie się na klucz w swoim pokoju, poczuła litość i postanowiła spróbować go pocieszyć. Jej, kroki były tak ciche, a jego melancholia tak głęboka, że nie zauważył obecności dziewczynki, aż doń przemówiła.

— Tak mi pana żal — rzekła — ale moi bracia wracają jutro do Eton i jeśli się pan będzie zachowywał jak należy, nikt panu przykrości nie sprawi.

— Cóż za absurd pouczać mnie, jak mam się zachowywać — odpowiedział oglądając ze zdziwieniem śliczną panienkę, która miała odwagę doń przemówić. — Zupełny absurd. Ja muszę brzęczeć kajdanami, jęczeć przez dziurki od klucza i przechadzać się po nocy, jeśli to miałaś na myśli. To cała moja racja bytu.

— To nie jest żadna racja bytu i pan sam wie, że był pan niedobrym człowiekiem. Pani Umney mówiła nam w pierwszym dniu naszego pobytu, że pan zabił swoją żonę.

— Tak, zupełnie temu nie przeczę — potwierdził duch zgryźliwie — ale to była czysto rodzinna sprawa i nie dotyczyła nikogo poza nami.

— Wielkim złem jest zabijać — odrzekła Wirginia, która umiała czasem przemawiać ze słodką, purytańską powagą, odziedziczoną po jakimś dalekim przodku Nowej Anglii.

— Och, nienawidzę tych tanich, surowych frazesów abstrakcyjnej etyki! Moja małżonka była bardzo ograniczona, nigdy nie miałem porządnie nakrochmalonej kryzy, a na kuchni nie znała się wcale! Zastrzeliłem kiedyś jelenia w Hogley Woods, wspaniałego dwulatka, i czy uwierzysz, jak był przyrządzony, gdy podano go do stołu? Ale mniejsza z tym, wszystko

* po raz wtóry.

to przeminęło i nie uważam, aby to było piękne ze strony jej braci zagłodzić mnie na śmierć, jakkolwiek zabiłem ją naprawdę.

— Zagłodził pana na śmierć? Och, panie duchu, a raczej sir Simonie, to pan jest głodny? Mam tartynekę w torebce, czy pan by ją zjadł?

— Nie, dziękuję, nie jadam teraz wcale. Ale to swoją drogą ładnie z twojej strony, widzę, że jesteś o wiele milsza od swej okropnej, brutalnej, ordynarnej, niecnej rodziny.

— Dość! — wykrzyknęła Wirginia tupiąc nóżką. — To pan jest

brutalny, okropny i ordynarny; a jeśli chodzi o nieuczciwość, to pan dobrze wie, że kradł mi farby z pudła malarskiego, żeby odnawiać nimi tę dziwną krwawą plamę w bibliotece. Z początku zabrał mi pan wszystkie czerwone farby łącznie ze szkarłatną, i nie mogłam robić zachodów słońca, potem ściągnął pan zieleń szmaragdową i żółte farby, aż pozostało mi tylko indygo i biel, którymi można malować wyłącznie krajobrazy w świetle księżycowym, a te są raczej przygnębiające dla widza i wcale niełatwe do odtworzenia. Nigdy się na pana nie poskarżyłam, ale byłam bardzo nierada, a cała rzecz zakrawała na śmieszność, bo kto kiedy słyszał o szmaragdowej krwi?

— Rzeczywiście — potwierdził duch głosem trochę mniejszym — ale co miałem robić? O prawdziwą krew w dzisiejszych czasach bardzo trudno. Odkąd twój brat rozpoczął swoje sztuczki za pomocą tego wywabiacza, nie widziałem powodu, dla którego nie miałbym przywłaszczać sobie twoich farb. Co do kolorów, to kwestia upodobania. Ród Canterville'ów na przykład ma krew błękitną, najbłękitniejszą w Anglii, ale wiem, że wy, Amerykanie, nie dbacie o te sprawy.

— Pan nie może nic o tym wiedzieć i najlepszą rzeczą dla pana byłoby przeniesienie się do Ameryki dla wyrobienia sobie sądu. Mój ojciec będzie szczęśliwy zapewniając panu bezpłatny przejazd, a chociaż jest wysokie cło na wszystkie spirytualia *, nie powinno być przeszkód ze strony urzędu celnego, bo tam wszyscy wyżsi urzędnicy są demokratami. Znalazłszy się w Nowym Yorku pan może być pewien powodzenia. Znam mnóstwo osób, które dałyby setki tysięcy dolarów za pradziadka, a więcej jeszcze za posiadanie ducha w rodzinie.

— Nie zdaje mi się, abym lubił Amerykę.

— Zapewne dlatego, że nie mamy ruin ani osobliwości — rzekła Wirginia sarkastycznie.

— Ruin i osobliwości! — odparł duch. — Macie za to flotę i wasze słynne maniery.

— Dobranoc. Poproszę tatusia, żeby uzyskał dla bliźniaków dodatkowy tydzień wakacji.

— Proszę, niech pani nie odchodzi, miss Wirginio — zawołał duch. — Jestem taki samotny i nieszczęśliwy i doprawdy nie wiem, co robić! Chciałbym zasnąć i nie mogę.

— Ależ to bzdury! Wystarczy położyć się do łóżka i zgasić

świecę. Czasem jest bardzo trudno walczyć z sennością, szczególnie w kościele, ale nie ma nigdy trudności z zaśnięciem. Przecież i maleńkie dzieci to umieją, choć są głupiutkie.

— Ja nie śpię od trzystu lat — rzekł smutnym głosem duch, a piękne, błękitne oczy Wirginii rozszerzyły się ze zdziwienia. — Od trzystu lat nie zasnąłem i jestem okropnie strudzony.

Wirginia spoważniała zupełnie i jej drobne wargi zadrżały jak listki róży. Podeszła do niego i, klękając u jego kolan, wpatrzyła się w starą, wyniszczoną twarz.

— Biedny, biedny duchu — wyszeptała — czy nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbyś zasnąć?

— Daleko, daleko, za sosnowym borem — odpowiedział przyciszonym, rozmarzonym głosem — leży niewielki ogród. Rośnie tam głęboka, bujna trawa, kwiecie cykuty błyszczący jak wielka, biała gwiazda. Słowik śpiewa przez całą noc. Przez całą noc śpiewa, a księżyc, jak zimna tarcza z kryształu, spogląda w dół, i stary cis rozpościera nad śpiącymi swe olbrzymie

* Gra słów nie do przetłumaczenia.
ramiona.

Oczy Wirginii zaszły łzami i ukryła twarz w dłoniach.

— Pan myśli o Ogrodzie Śmierci — szepnęła.

— Tak, Śmierci. Śmierć musi być cudowna. Leżeć w miękkiej, brunatnej ziemi wiedząc, że trawy kołyszą się nad głową, i wsłuchiwać się w ciszę. Nie dbać o wczoraj, nie mieć jutra. Zapomnieć o istnieniu czasu, przebaczyć życiu, spoczywać w pokoju. Ty możesz mi pomóc. Ty możesz otworzyć mi bramę Przybytku Śmierci, gdyż z Tobą jest Miłość, a Miłość mocniejsza jest niżli Śmierć.

Wirginia zadrżała, zimny dreszcz wstrząsnął nią — i przez dłuższą chwilę panowała cisza. Zdawało się jej, że przeżywa jakiś straszny sen.

Wreszcie duch znowu przemówił, a głos jego brzmiał jak westchnienie wiatru.

— Czytałaś kiedy starą przepowiednię na oknie biblioteki?

— O, często nawet — zawołała dziewczynka, podnosząc oczy, — Znam ją dobrze. Wypisana jest dziwnymi czarnymi literami, które trudno odczytać. Ma tylko sześć wierszy:

*Gdy złotowłosej modły dziewczyny
Odkupią straszne grzesznika winy,
Gdy migdałowe drzewko zmartwiało
Kwiaty czerwone wyda i białe,
Wtedy powrócą spokojne chwile
I pokój zejdzie nad Canterville'em.*

— Ale nie wiem, co to znaczy.

— To znaczy, że musisz za mnie opłakiwać moje grzechy, gdyż ja nie mam łez, i modlić się wraz ze mną za moją duszę, gdyż ja nie mam wiary, a wtedy, o ile byłaś zawsze dobra, słodka i szlachetna, Anioł Śmierci zmiłuje się nade mną. Ujrysz w mroku nocy okropne potwory i słyszeć będziesz złe głosy szepczące ci do ucha, ale one nie uczynią ci krzywdy, gdyż władze piekielne bezsilne są wobec dziecięcej czystości.

Wirginia nie odpowiedziała nic i duch, spoglądając na jej pochyloną złotą główkę, załamał ręce w dzikiej rozpacz. Nagle powstała z klęczek, bardzo blada, z dziwnym światłem w oczach.

— Nie boję się — rzekła stanowczym głosem — i będę prosiła Anioła o miłosierdzie dla pana.

Zerwał się z cichym okrzykiem radości i ujmując jej rękę nachylił się nad nią i ucałował ją ze staroświecką galanterią. Jego palce były zimne jak lód, a usta parzyły jak ogień, ale Wirginia nie okazała wahania, gdy wiódł ją ze sobą przez mroczny pokój. Na wypłowiałych tkaninach ściennych wyhaftowane były figurki myśliwych dmących w rogi ozdobione chwastami — machali oni teraz maleńkimi rękami, usiłując zawrócić ją z drogi: „Wracaj, mała Wirginio, wracaj!” — ale duch mocniej zacisnął jej rękę, ona zaś przymknęła powieki, by nie widzieć ich ruchów. Ohydne zwierzęta o jaszczurczych ogonach i wyłupiastych oczach mrugały na nią z rzeźbionego kominka, pomrukując: „Strzeż się, mała Wirginio, strzeż się! Możemy już nie zobaczyć cię nigdy!” Lecz duch posuwał się coraz szybciej, ona zaś nie słuchała ich głosów. Gdy doszli na drugi koniec komnaty, duch zatrzymał się i wymamrotał jakieś słowa, których nie mogła zrozumieć. Otworzywszy oczy ujrzała, że ściana rozwiewa się powoli jak mgła, przed nią zaś otwiera się wielka, ciemna czeluść. Zimny, przejmujący wiatr owionął ich i Wirginia poczuła, że coś ciągnie ją za

sukienkę.

— Prędeż, prędeż — wołał duch — bo będzie za późno — jakoż w tej chwili ściana zamknęła się za nimi i gobelinowa komnata pozostała pusta.

VI

W jakieś dziesięć minut później odezwał się gong wzywający na herbatę, a że Wirginia nie schodziła, pani Otis posłała po nią na górę jednego ze służących. Ten po jakimś czasie powrócił oznajmiając, że nigdzie nie może znaleźć panny Wirginii. Ponieważ miała zwyczaj wychodzić pod wieczór do ogrodu po kwiaty dla przybrania stołu do obiadu, pani Otis z początku wcale się nie zaniepokoiła, gdy jednak zegar wybił szóstą, a Wirginia się nie zjawiała, matkę ogarnął niepokój i posłała chłopców na poszukiwanie jej na dworze, ona zaś i pan Otis obeszlili wszystkie pokoje w domu. O w pół do siódmej chłopcy wrócili mówiąc, że nigdzie nie mogli natrafić na ślad Wirginii. Wszyscy już byli w najwyższym stopniu podnieceni i nie wiedzieli, co począć, gdy pan Otis przypomniał sobie nagle, że przed paru dniami udzielił bandzie Cyganów pozwolenia na rozłożenie obozu w parku. Udał się więc natychmiast w towarzystwie starszego syna i dwóch fernali do Blackfell Hollow, wiedząc, że Cyganie obecnie tam się znajdują. Mały książę Cheshire, który zupełnie szalał z niepokoju, błagał o zabranie go ze sobą, ale pan Otis nie pozwolił mu jechać obawiając się, że może tam dojść do bijatyki. Przybywszy na miejsce przekonał się jednak, że Cyganie odjechali, a musiał to być wyjazd dość nagły, gdyż ogniska jeszcze się tliły, a na trawie leżały porozrzucone naczynia. Posłał tedy Washingtona i obu służących z poleceniem przetrząśnięcia okolicy, sam zaś powrócił do domu, skąd nadał depeszę do wszystkich inspektorów policji w całym hrabstwie, donosząc im o zaginięciu dziewczynki, która musiała być porwana przez Cyganów lub włóczęgów. Po czym, skłoniwszy usilnym naleganiem żonę i trzech chłopców do spożycia obiadu, kazał podać sobie konia i pokłusował z chłopcem stajennym drogą do Ascot. Ledwo jednak ujechał parę mil, usłyszał galop konia za sobą i, obejrawszy się, dostrzegł małego księcia Cheshire na swym kucyku,

z rozognioną twarzą i bez kapelusza.

— Strasznie mi przykro, panie Otis — wykrztusił zadyszany chłopiec — ale nie mogę zjeść obiadu dopóki się Wirginia nie znajdzie. Proszę, niech pan się na mnie nie gniewa! Gdy-by pan był nam pozwolił zaręczyć się w zeszłym roku, nie stałoby się takie nieszczęście. Pan nie odeśle mnie z powrotem, prawda? Ja nie mogę wracać, ja nie chcę wracać!

Minister nie mógł powstrzymać się od uśmiechu spoglądając na pięknego wyrostka, wzruszyło go przy tym ogromnie przywiązanie chłopca do Wirginii, więc przechylając się z konia poklepał go dobrotliwie po ramieniu i rzekł:

— No, Cecilu, skoro nie chcesz zawrócić, to trzeba, byś jechał ze mną, ale muszę w Ascot kupić ci kapelusz.

— Mniejsza o kapelusz, ja chcę Wirginii! — zawołał śmiejąc się mały książę i pogalopowali dalej, do stacji kolejowej. Tam pan Otis rozpytywał zawiadowcę stacji, czy nie dostrzeżono na peronie osóbkę, której rysopis odpowiadałby Wirginii, ale nie dowiedział się niczego. Zawiadowca telegrafował jednakże do innych stacji i upewnił go, że wzdłuż całej linii kolejowej będzie zwrócona baczna uwaga na podróżnych. Kupiwszy jeszcze małemu księciu kapelusz u kupca sprzedającego bieliznę, który właśnie zamykał sklepowe okiennice, pan Otis odjechał do Bexley, wioski leżącej o cztery mile dalej, a będącej, jak mu powiedziano, znanym punktem zbornym Cyganów, gdyż posiadała w pobliżu wielkie pastwisko. Przybywszy na miejsce zbudzili wiejskiego policjanta, ale ten nie umiał im niczego powiedzieć, objechali więc jeszcze całe pastwisko, po czym skierowali swoje konie w stronę domu i dotarli tam około jedenastej, śmiertelnie znużeni i z niemal złamanym sercem.

Przy bramie wjazdowej oczekiwał na nich Washington i bliźniacy z latarnią, gdyż aleja była bardzo ciemna. Wirginii nie było ani śladu. Cyganów odnaleziono na błoniach w Broxley, ale bez dziewczynki, nagły swój wyjazd tłumaczyli tym, że zapomnieli dokładnej daty jarmarku w Chorton i musieli bardzo się śpieszyć w obawie, aby się nie spóźnić. Wieść o zaginięciu Wirginii prawdziwie ich zasmuciła, zachowali bowiem szczerą wdzięczność dla pana Otisa za to, że pozwolił im obozować w swoim parku. Czterech spośród Cyganów pozostało nawet na miejscu, by dopomóc w poszukiwaniach. Spuszczono sadzawkę z karpiami i przetrząsnęto całe domostwo, ale

bez rezultatu. Stało się rzeczą jasną, że w każdym razie tej nocy nie odnajdą już Wirginii. Toteż w stanie najgłębszego przygnębienia wracał pan Otis z chłopcami do domu, a za nimi kroczył chłopiec stajenny z dwoma końmi i kucem. W sieni zastali grupę przestraszonej służby, w bibliotece zaś leżała na sofie biedna pani Otis, prawie nieprzytomna z trwogi i niepokoju; stara gospodyni ochładzała jej czoło okładami z wody kolońskiej. Pan Otis zaczął nalegać, aby się czymś posiliła i kazał podać wieczerzę dla całej kompanii. Smutna to była wieczerza, gdyż mało kto się odzywał, a nawet bliźniacy wydawali się zastraszeni i potulni, byli bowiem szczerze przywiązani do siostry. Po skończonym posiłku pan Otis, nie zważając na błagalne prośby małego księcia, kazał wszystkim iść spać mówiąc, że tej nocy nie ma już nic do zrobienia, a że nazajutrz rano zatelegrafuje do Scotland Yard z prośbą o natychmiastowe przysłanie detektywów. W chwili gdy wszyscy wychodzili z sali jadalnej, zegar na wieży jął wybijać północ, a gdy przebrzmiało ostatnie jego uderzenie, usłyszano łoskot i nagły, przeraźliwy krzyk; huk piorunu wstrząsnął całym domem, jakaś nie-ziemska melodia przepełnęła przez powietrze, na górze, nad schodami, oderwała się i runęła z trzaskiem drewniana płyta boazerii, a z otworu wyłoniła się Wirginia z twarzą bladą jak płótno i małą szkatułką w ręce. W jednej chwili wszyscy skoczyli ku niej. Pani Otis chwyciła ją gwałtownie w ramiona, książatko o mało jej nie zadusiło gorącymi pocałunkami, a bliźnięta wykonały dziki taniec wojenny dokoła tej grupy.

— Boże święty! Gdzieś ty była, dziecko? — wykrzyknął pan Otis głosem raczej rozdrażnionym, sądząc że to był jakiś szaleńczy figiel wyplatany im przez dziewczynkę. — Cecil i ja objechaliśmy całą okolicę szukając ciebie, a twoja matka o mało nie umarła ze strachu. Nie wolno ci w przyszłości dopuszczać się takich wybryków!

— Chyba dla przestraszenia ducha! Chyba, żeby przegnać ducha! — wykrzyknęli chłopcy, skacząc bez przerwy.

— Dziecino najdroższa, Bogu niech będą dzięki, żeś się odnalazła; odtąd musisz ciągle pozostawać przy mnie — mamrotała pani Otis całując drżącą dziewczynkę i gładząc jej złote splątane włosy.

— Tatusiu — odezwała się Wirginia spokojnie — ja przebywałam z duchem. On umarł i musicie pójść ze mną, by go obejrzeć. On był bardzo niedobry, ale żałował naprawdę za wszystko,

co złego uczynił, i przed śmiercią ofiarował mi tę szkatułkę ze śliczną biżuterią.

Cała rodzina patrzyła na nią w niemym osłupieniu, ale Wirginia wydawała się poważna i uroczyista; odwróciwszy się, prowadziła wszystkich przez otwór w boazerii i wąski ukryty korytarz, za nią szedł Washington z zapaloną świecą, którą zdołał być porwać ze stołu. Wreszcie doszli do wielkich dębowych drzwi nabijanych zardzewiałymi gwoździami. Skoro tylko Wirginia dotknęła tych drzwi, zakołysały się na ciężkich zawiasach i stanęły otworem. Otisowie znaleźli się w niskim, sklepionym pokoiku o jednym malutkim, zakratowanym okienku. W ścianę wbita była olbrzymia, żelazna obręcz, a przykuty do niej łańcuchami leżał na kamiennej podłodze wyschły kościotrup. Zdawało się, że palcami pozbawionymi ciała usiłuje przyciągnąć staroświecki dzbanek i deszczułkę do krajania chleba, leżące poza jego zasięgiem. Dzbanek musiał być kiedyś napełniony wodą, bo jego wnętrze pokrywały rdzawe plamy, na deszczułce zaś nie było nie prócz warstwy kurzu. Wirginia uklękła obok kościotrupa i złożywszy drobne ręce poczęła się cicho modlić, podczas gdy reszta zebranych patrzyła ze zdumieniem na straszną tragedię, której tajemnica teraz dopiero się odsłoniła.

— Hallo! — zawołał nagle jeden z bliźniaków wyglądając przez okienko, by sprawdzić, w którym skrzydle zamku znajduje się pokoik. — Hallo! to stare, zeschnięte drzewko migdałowe zakwitło. Widzę wyraźnie kwiaty przy świetle księżyca.

— Bóg mu przebaczył — rzekła z powagą Wirginia powstając z klęczek. Przedziwne światło zdawało się promieniować z jej twarzy.

— Jesteś aniołem! — wykrzyknął mały książę i otoczywszy ramieniem jej szyję ucałował ją.

VII

W cztery dni po tych ciekawych wydarzeniach, około jedenastej w nocy, wyruszył z zamku Canterville kondukt żałobny. Karawan ciągnęły cztery kare konie, których głowy przybrane były w pióropusze ze strusich piór, a ołowianą trumnę okrywał wspaniały purpurowy całun z wyhaftowanymi złotem herbami Canterville'ów. Po obu stronach karawanu i pojazdów kroczyła służba z zapalonymi

pochodniami i cały kondukt czynił ogromne wrażenie. Przedstawicielem rodziny zmarłego był lord Canterville, który umyślnie przyjechał z Walii na pogrzeb i siedział w pierwszym powozie w towarzystwie małej Wirginii. Za nimi jechał pan minister Stanów Zjednoczonych z małżonką, w następnym powozie Washington z trzema chłopcami, w ostatnim zaś pani Umney. Wszyscy zgodnie uznali, że osoba, którą duch straszył przez przeszło pięćdziesiąt lat, ma prawo wziąć udział w ostatniej oddanej mu posłudze. Głęboki grób wykopano w narożniku cmentarza pod starym cedrem, a przewielebny Augustus Dampier odprawił bardzo uroczyście nabożeństwo żałobne. Po skończonym obrzędzie, zgodnie ze starym obyczajem zachowanym w rodzie Canterville'ów, służba zgasiła pochodnie, a w chwili gdy trumnę spuszczano do ziemi, Wirginia wysunęła się naprzód i złożyła na niej duży krzyż z białoróżowego kwiecica migdału. Ledwo to uczyniła, księżyc wysunął się zza chmury, oświecając swym srebrnym, cichym blaskiem cmentarzyk, a w dalekich zaroślach począł śpiewać słowik. Przypomniały się Wirginii słowa ducha opisującego Ogród Śmierci, oczy jej zamgłiły się łzami i w powrotnej drodze nie odzywała się prawie wcale.

Nazajutrz rano, przed odjazdem lorda Canterville'a do miasta, pan Otis miał z nim rozmowę na temat klejnotów ofiarowanych Wirginii przez ducha. Były wprost przepyszne, zwłaszcza jeden naszyjnik z rubinów w staroweneckiej oprawie przedstawiał wspaniały okaz z XVI wieku, tak wielkiej wartości, że pana Otisa ogarnęły skrupuły, czy powinien córce pozwolić na przyjęcie takiego daru.

— Milordzie — rzekł — wiem, że w tym kraju prawo określające dobra martwej ręki odnosi się równie dobrze do świecidełek, jak do własności ziemskiej, więc jest dla mnie jasne, że te klejnoty są, a raczej powinny być, schedą pańskiej rodziny. Muszę więc prosić pana o zabranie ich ze sobą do Londynu i traktowanie ich jako części swojej, własności, odzyskanej w pewnych dość szczególnych okolicznościach. Co się tyczy mojej córki, to jeszcze dziecko, które jak dotąd — podkreślam z zadowoleniem — nie interesuje się marnymi przedmiotami zbytku. Zostałem także poinformowany przez panią Otis, która, mogę powiedzieć, jest niemałym autorytetem w dziedzinie sztuki, miała bowiem jako młoda panienka szczęście spędzenia paru sezonów zimowych w Bostonie, że te kamienie

przedstawiają dużą wartość pieniężną i wystawione na sprzedaż mogą osiągnąć wysoką cenę. Jestem przekonany, lordzie Canterville, że w tych okolicznościach pan dobrze zrozumie, iż nie mogę pozwolić, aby ta biżuteria prze-szła na własność jakiegokolwiek członka mojej rodziny. Poza tym wszystkie takie błyskotki i cacka, może stosowne i potrzebne do podtrzymywania godności angielskiej arystokracji, byłyby zupełnie nie na miejscu u ludzi wychowanych w surowych i, jak sądzę, nieśmiertelnych zasadach republikańskiej prostoty. Powinienem tu może nadmienić, że Wirginia gorąco by pragnęła uzyskać pańskie zezwolenie na zachowanie samej szkatułki jako pamiątki po pańskim nieszczęsnym przodku, który tak źle się prowadził. Ponieważ szkatułka jest ogromnie stara, i co za tym idzie, niezbyt nadająca się do reperacji, może by pan uznał za stosowne przychylić się do jej prośby. Co do mnie, wyznaję, że bardzo mnie dziwi u mego rodzzonego dziecka taki pociąg do średniowiecza w różnych jego formach. Mogę to sobie wytłumaczyć jedynie tym, że Wirginia urodziła się na jednym z waszych londyńskich przedmieść wkrótce po powrocie pani Otis z podróży do Aten.

Lord Canterville przysłuchiwał się z wielką powagą wywodom zacnego pana ministra, szarpiąc od czasu do czasu swój siwy wąs, aby ukryć mimowolny uśmiech. Gdy pan Otis skończył, uścisnął mu serdecznie rękę i rzekł:

— Drogi panie, pańska czarująca córeczka oddała memu nieszczęśliwemu przodkowi, sir Simonowi, przysługę ogromnej wagi. I ja sam, i moja rodzina poczuwamy się do wielkiego długu wdzięczności wobec niej za jej wspaniałą odwagę i męstwo. Klejnoty bezspornie należą do niej — i zaiste! gdybym był tak małoduszny, aby je odebrać, ten złośliwy stary figlarz nie czekałby dwóch tygodni, by wyleźć z grobu i diabelnie popsuć mi życie. Co do pańskiego twierdzenia, że klejnoty wchodzi w skład schedy, zaznaczam, że nie wchodzi, o ile nie były wymienione w testamencie czy innym dokumencie prawnym. A o ich istnieniu nikt przecie nie wiedział. Upewniam pana, że nie mam do nich większego prawa niż pański służący, a gdy panna Wirginia dorośnie, będzie z pewnością rada, że może coś ładnego włożyć. Poza tym zapomina pan, panie Otis, że pan przejął meble i ducha z dobrodziejstwem inwentarza i wszystko, co należało do ducha, przeszło na pańską własność, gdyż pomimo całej aktywności, jaką sir Simon rozwijał nocą na korytarzu, z punktu

widzenia prawa był naprawdę nieboszczykiem, a pan jego spadkobiercą z tytułu kupna.

Pan Otis był bardzo zasepiony odmową lorda Canterville i prosił go usilnie, by jeszcze raz rozważył swoją decyzję, ale dobroduszny pan okazał się stanowczy i wreszcie wymógł na panu ministrze obietnicę, że pozwoli swej córce zachować dar złożony jej przez ducha. Gdy na wiosnę roku młoda księżna Cheshire z okazji swego ślubu została przedstawiona królowej na pierwszym przyjęciu w sezonie, jej klejnoty stały się przedmiotem powszechnego zachwytu. Wirginia bowiem otrzymała tytuł, jak tyle innych dobrych amerykańskich dziewczątek, i wyszła za swego ukochanego chłopca, skoro tylko doszedł do pełnoletności. Oboje byli tak uroczy i kochali się tak ogromnie, że nie było nikogo, kto by się szczerze nie cieszył z ich małżeństwa, z wyjątkiem starej markizy Dumbleton, która usiłowała złowić księcia dla jednej ze swych pięciu niezamężnych córek, i wydała w tym celu trzy wielkie przyjęcia połączone z kosztownymi obiadami, a także z wyjątkiem — rzecz, zdawałoby się, dziwna — samego pana Otisa. Jakkolwiek pan Otis niezmiernie lubił młodego księcia, zasadniczo nie uznawał tytułów i, mówiąc jego własnymi słowami „miał pewne obawy, aby denerwująca atmosfera, w jakiej żyje rozmiłowana w światowych rozrywkach arystokracja, nie osłabiła zdrowych zasad republikańskiej prostoty”. Te jego zastrzeżenia zostały jednak zupełnie pominięte i gdy w kościele Św. Jerzego przy Hanover Square kroczył wzdłuż nawy obok córki, wspierającej się na jego ramieniu, nie było, o ile wiem, w całej Anglii, jak długa i szeroka, dumniejszego odeń człowieka.

Po skończonym miodowym miesiącu książę i księżna przyjechali do Canterville Chase i w sam dzień przyjazdu po południu powędrowali piechotą na samotny cmentarzyk pod sosnowym lasem. Było zrazu wiele trudności z ustaleniem napisu na płycie grobowej sir Simona, ale w końcu postanowiono wyryć jedynie inicjały imienia i nazwiska starego pana oraz wiersz znajdujący się na witrażu biblioteki. Księżna przyniosła ze sobą cudowne róże, które rozrzuciła na grobie, po czym, postawszy jeszcze chwilę w milczeniu, weszli do zrujnowanego prezbiterium starego opactwa. Księżna usiadła na powalonym filarze, a mąż położył się u jej stóp paląc papierosa i wpatrując się w jej piękne oczy. Nagle odrzucił papierosa, ujął ją za rękę i rzekł:

— Wirginio, żona nie powinna mieć żadnych tajemnic przed mężem.

— Cecilu, kochany, ja nie mam przed tobą tajemnic.

— Owszem, masz — odpowiedział z uśmiechem. — Nie opowiedziałaś mi nigdy, co się z tobą działo, gdy byłaś zamknięta z duchem w podziemiu.

— Tego nie mówiłam nikomu, Cecilu — odparła z powagą Wirginia.

— Wiem. Ale mnie mogłabyś powiedzieć.

— Nie prosź mnie o to, Cecilu, bo nie mogę o tym mówić. Biedny sir Simon! Wiele mu zawdzięczam. Nie śmieję się, Cecilu, tak jest naprawdę. On mi ukazał, czym jest życie, jakie znaczenie ma śmierć i dlaczego miłość mocniejsza jest od obojga.

Książę powstał i tkliwie ucałował żonę.

— Możesz sobie zatrzymać swój sekret, bylebym ja posiadał twoje serce — wyszeptał.

— Ono zawsze było twoje, Cecilu.

— A kiedyś opowiesz to naszym dzieciom, prawda?

Wirginia oblała się rumieńcem.

Przełożyła *Jadwiga Kornilowiczowa*

HERBERT GEORGE WELLS (1866 — 1945)

NIEWYDARZONY DUCH

Głośny powieściopisarz angielski o zapatrywaniach utopijno-socjalistycznych. Jeden z prekursorów fantastyki naukowej. Do najgłośniejszych jego utworów należy „Wehikuł czasu”, „Niewidzialny człowiek”, „Wojna światów” oraz „Ludzie jak bogowie”. Pisał też opowiadania, w których zrećźnie kojarzył elementy grozy i humoru.

Scena, w której Clayton opowiadał swoją ostatnią historię, powraca bardzo żywo w mej pamięci. On sam siedział wtedy przez większość czasu przy ogromnym kominku, na którym huczał ogień,

na rogu obszernej starej ławy, a Sanderson rozparł się koło niego i palił glinianą fajkę z Broseley, z wypisanym na niej swoim nazwiskiem. Był tam Evans i Wish, to cudo wśród aktorów, a przy tym także skromny człowiek. Wszyscy przyjechaliśmy tego dnia, było to w sobotę rano, do klubu „Rusałka”, z wyjątkiem Claytona, który przespał noc w klubie, i to właśnie dało początek jego opowiadaniu. Cały dzień graliśmy w golfa, dokąd tylko dało się widzieć cokolwiek. Potem była wieczerza, a po niej pograżyliśmy się w stan błógiego spokoju, kiedy to ludzie chętnie słuchają gawędy. Gdy Clayton zaczął swoją, oczywiście przypuszczaliśmy, że kłamie. Może rzeczywiście kłamał — Czytelnik wkrótce sam będzie mógł to osądzić tak jak ja. Zaczął, co prawda, swą opowieść w tonie rzeczowej dykteryjki, uważaliśmy jednak, że to była jego nieuleczalna poza.

— Wiecie — zaczął Clayton po długiej kontemplacji snopu isker strzelających w górę z potraconej przez Sandersona kłody — wiecie, że byłem tu sam ostatniej nocy?

— Była przecież służba — wtrącił Wish.

— Która śpi w innym skrzydle — odparł Clayton — dosyć na tym, że — tu pociągnął cygareto, przez chwilę jakby wahając się czy ma nam się z czymś zwierzyć, wreszcie dokończył z całym spokojem — złapałem ducha!

— Złapałeś? Naprawdę — spytał Sanderson. — A gdzie on jest? — Evans zaś, który wrócił właśnie z Ameryki, gdzie był cztery tygodnie, a ogromnie podziwiał Claytona, wykrzyknął:

— Doprawdy. Clayton? Złapałeś ducha? Jakże się z tego cieszę! Zaraz nam tu wszystko o tym opowiedz.

Clayton odrzekł, że opowie za chwilę, i poprosił o zamknięcie drzwi. Spojrzał na mnie, jakby się tłumaczył:

— Nie ma mowy o podsłuchiowaniu, oczywiście, nie chcemy jednak wyrządzić szkody naszej doskonałej obsłudze przez jakiegokolwiek plotki o duchach. Za wiele tu ciemnych zakątków i dębowych boazerii, żeby to lekceważyć. A wiecie, nie był to normalny duch. Nie sądzę, że kiedykolwiek powróci — chyba nigdy.

— To znaczy, że go nie przytrzymałeś? — pytał Sanderson.

— Nie miałem odwagi go zatrzymać — tłumaczył Clayton.

Sanderson wyraził zdziwienie.

Zaśmialiśmy się, a wtedy Clayton spoważniał.

— Rzecz w tym — rzekł z przebłyskiem uśmiechu — że to był

naprawdę duch i jestem tego pewien tak jak tego, że do was teraz mówię. Nie żartuję. Mówię całkiem na serio.

Sanderson zaciągnął się mocno fajką i swoim jedynym nabiegłym krwią okiem zmierzył Claytona. po czym wypuścił cieniutką smuzkę dymu. Ten gest wymowniejszy był od słów.

Clayton zignorował ten komentarz.

— To najdziwniejsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek w życiu spotkała. Wiecie, że nigdy przedtem, jak żyję, nie wierzyłem w żadne duchy ani w nic podobnego, nigdy, a tu, wiecie, nagle się przyłapuje ducha jakiegoś w kącie, i cały ten klops znajduje się w moich rękach.

Na chwilę pogrążył się jeszcze bardziej w myślach, wyciągnął drugie cygaro i zaczął je okrawać dziwnym, małym nożykiem, który lubił.

— Rozmawiałeś z nim? — spytał Wish.

— Jeśli chodzi o czas, to gadaliśmy chyba z godzinę.

— Był rozmowny? — zapytałem dołączając się do partii sceptyków.

— Biedak był w kłopotcie! — odparł z leciutką nutą wyrzutu w głosie Clayton pochylając się nad koniuszkiem cygara.

— Może szlochał? — zapytał ktoś.

Clayton na samo wspomnienie westchnął szczerze.

— Boże! — rzekł — jeszcze jak! — I dodał: — Biedaczysko, w istocie.

— A gdzieś go capnął? — spytał Evans ze swoim najlepszym amerykańskim akcentem.

— Nigdy sobie nie zdawałem z tego sprawy — ciągnął dalej Clayton, nie zwracając uwagi na Evansa — że duch może być w tak opłakanym stanie — tu pozostawił nas znów w zawieszeniu, szukając zapalek w kieszeni, zaświecił zapalką i zapalił cygaro. — Miałem prze-wagę i skorzystałem z tego! — zauważył wreszcie po namyśle. — Mieliśmy dużo czasu, nikt z nas się nie spieszył. Charakter człowieka nie zmienia się — ciągnął Clayton — nawet po utracie ciała, zbyt często o tym się zapomina. Człowiek, który wie, czego chce, staje się duchem o silnej woli. który wie, czego chce. Przeważnie duchy, które straszą, muszą być opętane jedną myślą jak maniacy i uparci jak kozły, żeby tak wciąż powracać. A ten biedak nie był taki. — Clayton podniósł nagle głowę i z raczej dziwnym wyrazem twarzy rozglądnął się wkoło po pokoju. — Mówię to bez

złości — wyjaśnił — ale to rzetelna prawda. Nawet na pierwszy rzut oka uderzyło mnie, że to słabeusz.

Przerwał pociągając cygaro.

— Trafiłem na niego, wiecie, w długim korytarzu. Stał tyłem do mnie i jak go zobaczyłem; od razu wiedziałem, że to duch: był białawy, przeźroczysty, przez jego klatkę piersiową widać było na wylot blask małego okienka na końcu korytarza. Nie tylko jego strona fizyczna, ale postawa uderzyła mnie jako słaba. Wyglądał, rozumiecie, jakby nie wiedział wcale, co ze sobą zrobić. Jedną rękę położył na boazerii, a drugą machał koło ust, o tak!...

— A jakiej był budowy? — spytał Sanderson.

— Chudy. Znacie ten rodzaj karku u młodego człowieka, z dwoma głębokimi rowkami z tyłu po jednej i drugiej stronie. Mała szpetna główka ze sterczącymi włosami i raczej brzydkie uszy. Ramiona do niczego, węższe od bioder; kołnierzyk wykładany, marynarka przykrótka, kupiona w sklepie, workowate spodnie, nogawki trochę wystrzępione u dołu. A oto jak mnie przyjął. Wszedłem bardzo cicho po schodach. Nie miałem świecy. Świece stały, jak wiecie, na podeście na stoliku, tam gdzie jest lampa. Byłem w nocnych pantoflach, zobaczyłem go wchodząc na górę. Znieruchomiałem na ten widok — wpatrując się w niego. Ani trochę nie czułem strachu. Myślę, że przeważnie w takich sprawach nigdy człowiek nie boi się ani nawet nie jest podniecony tak, jak sobie wyobraża przed faktem. Byłem zdziwiony i zaciekawiony. Pomyślałem: „Boże drogi! Nareszcie widzę ducha! W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat ani na moment nie wierzyłem w duchy!”

— Hm — mruknął Wish.

— Przypuszczam, że nie zdążyłem dojść do podestu, kiedy on mnie dostrzegł. Obrócił się gwałtownie ku mnie. Ujrzałem twarz niedojrzałego młodzika, miał nieduży nos, rzadkie wąsiki i cofnięty podbródek. Staliśmy tak przez chwilę — on patrzył na mnie przez ramię, ja na niego — oglądając się nawzajem. Potem, jakby przypomniał sobie swoją wzniosłą rolę, obrócił się wkoło, wyciągnął się, wysunął do przodu twarz, podniósł ramiona i rozłożył ręce zwykłym gestem ducha, i podszedł ku mnie. W trakcie tego opadła mu dolna szczęka i wydał słaby, przeciągły dźwięk: „Au... u.. u...” Nie było to ani trochę przejmujące. Zjadłem kolację z butelką szampana, a także, ponieważ byłem całkiem sam, może po dwóch lub

trzech, a może nawet czterech czy pięciu wódkach — byłem odporny jak skała i takiego straszenia bałem się tyle co ataku żaby. Odpowiedziałem mu: „Uu, uu... nie rób głupstw, nie należysz do klubu. Więc co tutaj robisz?” Widziałem, że się cofnął, ale wyjął: „Uuu...” „Uu... u... u... u — odpowiedziałem — niech cię diabli wezmą. Jesteś członkiem klubu?” I żeby mu okazać, że nic sobie z niego nie robię, przeszedłem przez kawałek niego, aby zapalić świecę.

„Jesteś członkiem?” — powtórzyłem pytanie, patrząc teraz na niego z boku.

Odsunął się tak, żeby stać poza mną, i wyraźnie stracił fantazję.

Poruszyłem się nieco, aby stanąć dokładnie przed nim, i mina mu zrzędła.

„Nie — odpowiedział wreszcie na moje uparte, pytające spojrzenie — nie jestem członkiem, jestem duchem.”

„A więc nie masz prawa spacerować po klubie «Rusałka». Czy chcesz się tu z kimś zobaczyć? Czy coś w tym rodzaju?”

Zapaliłem świecę, czyniąc to w sposób opanowany, żeby przypadkiem nie wziął za strach lub roztargnienie moich gestów niepewnych na skutek wypicia whisky. I trzymając świecę w ręce, obróciłem się do niego.

„Co tu robisz?” — zapytałem.

Opuścił ręce i przestał huczeć. Stał tak niezgrabny, zmieszany, duch słabowitego, głupiego młodzika, bez inicjatywy.

„Ja straszę” — wyjąkał.

„Tu nie ma po co straszyć” — powiedziałem spokojnym głosem.

„Jestem duchem!” — rzekł tonem usprawiedliwienia.

„Możliwe, ale tutaj nie masz co straszyć. Tu jest prywatny, przyzwoity klub. Często zatrzymują się tu ludzie z dziećmi i z niańkami. Włócząc się bezmyślnie tutaj, mógłbyś się łatwo natknąć na jakiegoś berbecia i dziecina mogłaby postradać zmysły ze strachu. Sądzę, że nie pomyślałeś o tym.”

„Rzeczywiście — odparł — nie pomyślałem.”

„A powinieneś o tym pamiętać. Nie masz prawa plątać się tutaj, rozumiesz? Czy popełniono tu jakieś morderstwo? Czy coś w tym rodzaju?”

„Nie, proszę pana, ale ponieważ tu tyle starych dębowych boazerii, sądziłem...”

„To nie jest powód — popatrzyłem na niego stanowczo —

popeliłeś błąd przychodząc tutaj. — Mówiłem po przyjacielsku, ale tonem wyższości. Udałem, że szukam swoich zapalek, potem otwarcie popatrzyłem w górę na niego: — Na twoim miejscu nie czekałbym, aż kogut zapieje, ale zniknąłbym natychmiast.”

Wyglądał na speszonego:

„Rzecz w tym, proszę pana...” — zaczął. „Zniknąłbym!” — powtórzyłem z naciskiem.

„Rzecz w tym, proszę pana, że — jakoś nie mogę.”

„Nie możesz?”

„Ani rusz nie mogę, proszę pana. Coś zapomniałem. Błąkam się tutaj drugą noc, chowając się po kredensach i pustych sypialniach, i tym podobnych miejscach. Denerwuję się. Nigdy dotąd nie przychodziłem straszyć i to, zdaje się, wytrąca mnie z równowagi.”

„Wytrąca cię?”

„Tak, proszę pana. Tyle razy próbowałem zniknąć i nie wychodzi. Zapomniałem jakiejś małej drobnostki i nie mogę wrócić.”

To, wiecie, mnie zastrzeliło. Patrzył na mnie tak żałośnie, że za nic nie mogłem uderzyć w ton łajania jak przedtem.

„To dziwne — powiedziałem i mówiąc wyobraziłem sobie, że słyszę, jak ktoś rusza się na dole; dodałem: — Chodź do mego pokoju, tam opowiesz mi szerzej o tym.” Nic z tego nie rozumiałem. Próbowałem wziąć go za ramię, ale oczywiście równie dobrze można by schwycić kłęb dymu. Zapomniałem, sędzę, numeru swego pokoju, w każdym razie pamiętam, że chodziłem do kilku sypialni, aż zobaczyłem swoje manatki. Miałem szczęście, że byłem jedynym gościem w tamtym skrzydle.

„Jesteśmy na miejscu! — oświadczyłem i siadłem fotelu. — Siadaj i opowiedz mi wszystko o tym. Wydaje mi się, stary, że wpadłeś w sytuację nie do pozazdroszczenia!”

„Dobrze” — odparł i przeprosił, że jeśli mi to nie sprawia różnicy, to nie usiądzie, woli przelatywać tam i sam po pokoju. Tak też zrobił. Po chwili pograżyliśmy się w rozmowie, mówiliśmy długo i poważnie. I nagle cała ta whisky z wodą sodową wyparowała mi z głowy i zacząłem zdawać sobie sprawę, w jaki cholerny interes się wpakowałem, i do tego niesamowity. Oto w mojej schludnej, ładnej starej sypialni z perkalowymi firankami błąkał się półprzeźroczysty, autentyczny zwykły duch i, abstrahując od głosu zjawy, bezgłośnie opowiadał mi o marnym życiu, które właśnie zakończył na ziemi.

Można było widzieć przez niego blask miedzianych świeczników i mosiężną osłonę kominka, narożniki ramek, w które oprawione były grawiury. Twarz ducha nie miała wyrazu szczególnej uczciwości, ale skoro był przeźroczysty, nie mógł przecież uniknąć mówienia prawdy.

— Co takiego? — poderwał się z krzesła Wish.

— Jak to co? — spyta! Clayton.

— Był przeźroczysty i dlatego nie mógł kłamać? Nie rozumiem tego — rzekł Wish.

— Ja też tego nie rozumiem — stwierdził Clayton z trudną do oddania pewnością siebie. — Ale na pewno tak jest, mogę was o tym zapewnić. Nie wierzę, by w tym, co mówił, odstąpił choć na krok od murowanej prawdy! Opowiadał mi, jak zginął: schodził do sutereny ze świecą sprawdzić uchodzący gaz. Przedstawił mi się jako starszy rangą nauczyciel angielskiego w prywatnej szkole w Londynie, kiedy zdarzyło się to uchodzenie gazu.

— Biedaczysko! — westchnąłem.

— To samo sobie pomyślałem — ciągnął dalej Clayton — im dłużej mi mówił, tym bardziej okazywało się, że miałem rację. Nie miał celu w życiu, a teraz również włóczył się bez celu. Opowiadał o matce i ojcu, o dyrektorze szkoły i o wszystkich, którzy coś dla niego znaczyli w życiu. Zawsze był przeczulony, nerwowy, nikt go nigdy nie ocenił właściwie ani nie rozumiał — mówił. Sądzę, że nie miał nigdy ani prawdziwego przyjaciela, ani powodzenia, egzaminy oblewał, od sportów się wymigiwał. „Z pewnymi ludźmi tak bywa — mówił. — Jak tylko wchodziłem na salę egzaminacyjną czy gdzie indziej, miałem pustkę w głowie.” Zaręczył się oczywiście z równie przewrażliwioną osobą jak on sam — tak przypuszczam — i właśnie wtedy wydarzył się wypadek z gazem z powodu jego nieostrożności. To zakończyło jego ziemskie sprawy. „A gdzie jesteś teraz?” — pytałem. Odpowiedź jego nie była jasna. Sprawiało to na mnie wrażenie jakiegoś nieokreślonego przejściowego i specjalnego stanu takich dusz, które nie angażowały się w nic zdecydowanego — ani w grzech, ani w cnotę. Nie wiem zresztą. Był zbyt mało spostrzegawczy, zbyt sobą zajęty, by umiał jasno sformułować czy dać pojęcie o rodzaju miejsca, w którym przebywa po tamtej stronie

Gdziekolwiek przebywał, wpadał, zdaje się, w podobne sobie towarzystwo: duchy słabowitych młodzików z niższych klas społecznych, którzy mówili sobie po imieniu i zapewne między

innymi dużo gadali o „straszeniu” i podobnych rzeczach. Wyprawy „na straszenie”, zdaje się, uważali za nadzwyczajną przygodę, ale większość miała pietra przed tym eksperymentem! I tak go namówili, i przyszedł.

— A to ci heca! — uśmiechnął się Wish patrząc w ogień.

— To moje własne wrażenia — skromnie zaznaczył Clayton. — Oczywiście, mogłem być zbyt mało krytyczny, ale on tak mi przedstawił swoje sprawy. Krążył wciąż po pokoju i bez przerwy cienkim głosem mówił o sobie, o swojej nieszczęsnej osobie. Ani razu nie zdobył się na energicznie, jasno sformułowane zdanie. Od początku do końca. Był chudszy, głupszy niż, jak sędzę, za życia i plótlł coraz bardziej od rzeczy. Co prawda, gdyby żył, nigdy nie znalazłby się w mojej sypialni: jednym kopniakiem zrzuciłbym go ze schodów.

— Oczywiście — rzekł Evans — zdarzają się takie niezguły!

— A jeżeli wszyscy ludzie zamieniają się w duchy, to i niezguły mają swoje: jak i my — dodałem.

— To, co go w pewien sposób wyróżniało, wiecie, to był fakt, że do pewnego stopnia odnalazł siebie. Całe to straszenie załamało go. Powiedziano mu, że to będzie dobry „kawał”; więc przyszedł i oczekiwał wesołej hecy, a tymczasem dodał tylko jeszcze jedną klęskę do poprzednich! Oświadczył, że ma beznadziejnego pecha. Dodał — i mogę mu w zupełności uwierzyć — że niczego nie próbował osiągnąć przez całe swoje życie, że nic dobrego z niego nie zrobił i teraz, przez całą nieskończoną wieczność, nic nie osiągnie. „Może... — tu duch przerwał i patrzył na mnie — może gdybym się spotkał ze zrozumieniem, to...” Przerwał i stojąc patrzył na mnie, a potem oświadczył, że chociaż to dziwne dla mnie, ale nikt nigdy nie okazał mu takiego współczucia, jak ja to wtedy zrobiłem.

Wiedziałem od razu, do czego zmierza, i postanowiłem pozbyć się go natychmiast. Może było to okrutne, wiecie, z mojej strony, ale perspektywa zostania „Jedynym Prawdziwym Przyjacielem”, powiernikiem zwierzeń jednego z tych egocentrycznych fajtłapów (ducha czy żywego), była dla mnie ponad siły. Gwałtownie zerwałem się z miejsca.

„Nie masz co rozwodzić się nad tym długo — powiedziałem. — Musisz wyjść z tego impasu! I to szybko! Zbierz się w garść i spróbuj”.

„Nie mogę” — odpowiedział.

„Spróbuj” — nalegałem. I rzeczywiście spróbowałem.

— Spróbowałem? — pytał Sanderson. — A jak?

— Stosowałem „przejścia”.

— „Przejścia”?

— Całą serię skomplikowanych gestów i „przejść” rękoma. W ten sposób przyszedłem tutaj i w taki sam sposób musiałem wracać. Boże! Co ja z nim miałem za kłopot!

— Ale jak można przez „jakiegokolwiek przejścia”... — zacząłem.

— Mój drogi — rzekł Clayton odwracając się do mnie i akcentując specjalnie pewne słowa: — Ty chcesz, żeby WSZYSTKO było jasne. Ja nie wiem, JAK. Wszystko, co wiem, to to, że coś się ROBI. a w każdym razie przynajmniej ON to robił. No i po jakimś straszliwym czasie przypomniałem sobie właściwe „przejścia” i nagle znikł.

— Czy obserwowałeś te „przejścia”? — spytał powoli Sanderson.

— Tak — rzekł Clayton i zdawał się zastanawiać. — Było to niesamowicie dziwne — ciągnął dalej. — My dwaj: ja i ten chudy, niewydarzony duch w zacisznym pokoju, w pustej, cichej gospodzie, wokół cisza małego miasteczka przed weekendem w piątek w nocy. Kompletna cisza, tylko nasze głosy i ciche sapanie ducha podczas wykonywania kołyszących ruchów. Jedna zapalona świeca na toalecie, druga do oświetlenia sypialni, to wszystko, czasem płomień jednej z nich przez chwilę wydłużał się w cienki, zdziwiony kształt i migotał. A działy się dziwne rzeczy...

„Nie mogę! — skarżył się duch — nigdy tego nie potrafię.” Nagle usiadł na małym stołeczku w nogach łóżka i zaczął szlochać. Boże! Jakimże udręczonym, skomlącym stworzeniem się wydawał.

„Weź się w garść!” — mówiłem i spróbowałem poklepać go po plecach, i... moja zażenowana ręka przeszła przez niego! Nie byłem już, wiecie, tak pewnym siebie, tak jak przedtem na podeście, i czułem, jak przeniknęła mnie niesamowitość, że wyrwałem z niego rękę. Pamiętam, tak jakby dreszczyk mnie przebiegł. Cofnąłem się w kierunku toaletki.

„Weź się w garść! — radziłem mu — spróbuj!”

Chciałem go zachęcić i sam zacząłem próbować.

— Co?! Zacząłeś wykonywać „przejścia”? — spytał Sanderson.

— Tak, „przejścia”.

— Jednak... — zacząłem i urwałem nie kończąc myśli, która mi się wymknęła.

— To interesujące — stwierdził Sanderson przytrzymując fajkę palcem. — To znaczy, że duch twój zdradził ci sposób?

— Czy usunął, jak mógł najlepiej, całą skomplikowaną zaporę?

— Tak — potwierdził Clayton.

— To niemożliwe! — zaprzeczył Wish. — Gdyby to zrobił, i ty także przeszedłbyś na tamtą stronę.

— To właśnie chciałem powiedzieć! — wykrzyknąłem stwierdzając, że wyraził słowami moją nieuchwytną myśl.

— Na tym polega cała tajemnica! — rzekł Clayton patrząc zamyślony w ogień.

Na krótką chwilę zapanowała cisza.

— Czy w końcu udało mu się to „przejscie”? — spytał Sanderson.

— W końcu udało mu się, ale musiałem go dobrze pilnować, jednak wreszcie zrobił to i nagle... zniknął. Jednak zanim to nastąpiło, mieliśmy sprzeczkę. Rozpaczał, potem poderwał się nagle i prosił, bym mu na sobie pokazał wszystkie ruchy w zwolnionym tempie, żeby mógł je zobaczyć. „Sądzę, że jak zobaczę, będę mógł zaraz wykryć błąd.” I tak zrobił. „Wiem” — rzekł. „Co wiesz?” — spytałem. „Wiem” — powtórzył i dodał opryskliwie, że jak będę na niego patrzył, to tego nie robi. Tak było po trosze przez cały czas. „Jestem nerwowy i pan mnie peszy.” Pokłóciliśmy się trochę, bo oczywiście chciałem widzieć, co będzie robił. Ale upierał się jak kozioł i wreszcie poczułem się zmęczony jak zbity pies, wykończył mnie. „Dobrze — zgodziłem się — nie będę patrzył na ciebie.” — I odwróciłem się do szafy z lustrem, stojącej przy łóżku.

Zaczął bardzo szybko, starałem się nadażać za nim i podglądałem w lustrze jego „nie-wypały” Wykonywał koliste ruchy rękami: o tak... i tak... a potem, w pewnym momencie szybko przeszedł do ostatniego gestu — stoi się wyprostowanym, ramiona rozpostarte, i tak właśnie stał. A potem nie ma go! Nie ma. Znikł bez śladu. Odwróciłem się od lustra ku niemu: ani śladu! Byłem sam, przy mnie dwie palące się świece. W głowie mi się kręciło. Co się stało? Czy w ogóle coś się stało? Czy to był sen? ... Po chwili, jakby na absurdalne zakończenie całej sprawy, zegar na podeście uznał, że nadszedł czas, i wybił godzinę pierwszą: bim, bam i znowu cisza. Byłem poważny i trzeźwy,

gdyż cały mój szampan i whisky wywietrzały. Czuję się niesamowicie, w paskudny sposób niesamowicie Boże! Jak głupio! — Patrzył przez chwilę na popiół z cygara i zakończył: — Oto wszystko, co się zdarzyło — zakończył.

— Położyłeś się potem spać? — spytał Evans.

— A co było innego do roboty?

Popatrzyłem Wishowi w oko. Chcieliśmy zażartować z Claytona, ale było coś w jego głosie i sposobie zachowania, co powstrzymało naszą chętkę.

— A jakie były te „przejścia”? — spytał Sanderson.

— Sądzę, że mógłbym je teraz pokazać.

— Doprawdy? — zdziwił się Sanderson, wyjął scyzoryk i zaczął wydłubywać nim z glinianej fajki nie wypalony tytoń.

— Czemu nie miałbyś pokazać ich nam od razu? — dodał i z trzaskiem zamknął scyzoryk.

— Oczywiście, zamierzam to zrobić — odparł Clayton.

— I tak nie poskutkują — wtrącił Evans.

— A jeżeli...? — zasugerowałem.

— Ja jednak wolałbym, żebyś nie próbował — oznajmił Wish wyciągając przed siebie nogi.

— Dlaczego? — zapytał Evans.

— Wolałbym, żeby nie próbował — upierał się Wish.

— Ale on i tak nie umie tego wykonać, jak należy — rzekł Sanderson napychając za dużo tytoniu do fajki.

— A jednak wolałbym, żeby tego nie robił — powtórzył Wish.

Zaczelśmy się spierać z Wishem. Twierdził, że powtarzanie takich gestów przez Claytona to jakby wyśmiewanie się z rzeczy poważnych.

— Ale chyba nie wierzysz w to? — spytałem.

Wish rzucił okiem na Claytona, wpatrującego się w ogień i jakby ważącego coś w myśli.

— Wierzę na pół, a może więcej? Jednak wierzę! — odrzekł.

— Wiesz, Clayton! — powiedziałem. — Tak wspaniale zmyślasz, prawie wszystko ci wyszło, ale to zniknięcie... właściwie jest przekonujące, powiedz, że to bajka o żelaznym wilku!

Clayton wstał, nie zwracając uwagi na moje słowa, wszedł na środek dywanika przed kominkiem i patrzył na mnie. Przez chwilę uważnie patrzył na swoje stopy, a potem przeniósł wytężony wzrok na

ścianę naprzeciwko siebie. Wzniósł obie ręce z wolna na poziom oczu i zaczął...

Sanderson jest wolnomularzem, członkiem Loży Czterech Królów, która ze znanym zajmuje się wyjaśnianiem wszelkich tajemnic masonerii w przeszłości i obecnie. Wśród członków Sanderson zajmuje poczesne miejsce. Obserwował więc ruchy Claytona ze szczególnym błyskiem zainteresowania w swoim zaczerwienionym oku.

— Wcale nieźle! — powiedział w końcu. — Rzeczywiście wykonałeś to w zadziwiający sposób, brak tylko jednego szczegółu.

— Wiem — odrzekł Clayton — sądzę, iż mogę ci nawet powiedzieć, jakiego.

— Mianowicie?

— O, tego... — rzekł Clayton i zrobił dziwny skręt czy wywinięcie z równoczesnym wyrzuceniem w górę obu dłoni.

— Zgadza się — przytaknął Sanderson.

— To właśnie ruch, którego on nie mógł uchwycić należycie, ale skąd ty?... — pytał Clayton.

— Nie rozumiem — odpowiedział Sanderson — większości tych ruchów, ani jak mogłeś wymyślić to wszystko, ale to, co pokazałeś — zastanowił się — to zestaw ruchów związanych z pewnym działem ezoterycznej masonerii, prawdopodobnie je znasz, bo inaczej skąd możesz o tym wiedzieć? — Znów zastanowił się chwilę. — Chyba nic nie zaszkodzi, jeśli pokażę ci ten ostatni trik, jeśli wiesz, to i tak wiesz, jeśli nie, to nie!

— Nic nie wiem — odparł Clayton — poza tym, co ten biedak pokazał mi wczoraj.

— Tak czy owak — rzekł Sanderson odkładając ostrożnie fajkę o długim cybuchu na półkę kominka, po czym szybko zaczął wykonywać ruchy rękami.

— To o to chodzi! — ucieszył się Clayton powtarzając ruch.

— Tak — odrzekł Sanderson i z powrotem wziął fajkę.

— Teraz mogę wam pokazać wszystko w całości, jak należy — oświadczył Clayton.

Stał, uśmiechając się do nas, przed przygasającym na kominku ogniem. Było jednak, sądzę, jakieś wahanie w jego uśmiechu.

— Jeśli zacznę... — powiedział.

— Ja bym nie zaczynał — odradzał Wish.

— Przecież wszystko jest w porządku — rzekł Evans. — Materia nie ulega zniszczeniu. Chyba nic wierzysz, żeby takie kuglarskie sztuczki przeniosły Clayтона w krainę cieni? Skąd-że, takie rzeczy nie wystarczą. Jeśli o mnie chodzi. Clayton, to możesz zaczynać, próbuj, aż ci ręce odpadną.

— Nie sądzę tak — zaproponował Wish; wstał i położył rękę na ramieniu Clayтона. — Jakoś przekonałeś mnie, że na pół uwierzyłem w twoją historię, i nie chcę, żebyś to robił!

— A to ci heca! — wykrzyknąłem. — Wish się przestraszył!

— Tak! — odpowiedział Wish z przejęciem, nie wiem, czy prawdziwym, czy świetnie udanym. — Wierzę, że jak wykona wszystkie ruchy, odejdzie.

— Nic takiego nie zrobi — krzyknąłem. — Jeden jest tylko sposób odejścia z tego świata, a do niego brak Claytonowi jeszcze trzydziestu lat! Zresztą wyobraźcie sobie takiego ducha!

Wish przerwał mi wstając. Wyszedł spośród naszych foteli, stanął z boku przy stole i rzekł:

— Clayton, jesteś szalony! Nie rób tego!

Clayton z błyskiem humoru w oczach odpowiedział mu uśmiechem.

— Wish ma rację — powiedział — a wy wszyscy się mylicie! Odejdę w zaświaty z chwilą, gdy wykonam ostatni z tych ruchów. Gdy ostatni gest przeszyje powietrze, *presto*, ten oto dywanik zostanie pusty. Zapanuje nieme zdziwienie, a elegancki dżentelmen wagi dwustu funtów zapadnie w krainę cieni. Jestem tego pewien i wy się o tym wkrótce przekonacie. Uchylam wszelkie dyskusje: wypróbujmy rzecz w praktyce!

— Nie! — krzyknął Wish, zrobił krok naprzód i zatrzymał się. Clayton już podniósł ręce i rozpoczął raz jeszcze powtarzanie wyuczonych od ducha „przejść”.

Byliśmy wtedy wszyscy w stanie napięcia, głównie z powodu zachowania się Wisha. Siedzieliśmy z wzrokiem utkwionym w Clayтона. Ja w każdym razie odczuwałem w sobie jakieś zeszywnienie, tak jakby moje ciało od głowy po lędźwie zamieniło się w ołów.

A Clayton z powagą i niezmaconym spokojem wykonywał przed nami skłony, pochylenia, wymachy rąk i dłoni. Kiedy zbliżał się do końca, skupiliśmy się: jeden przez drugiego pochylał się i pchał, żeby

lepiej widzieć, dreszcz nas przechodził.

Mówiłem, że ostatni gest polegał na rozwarciu szeroko ramion i uniesieniu twarzy do góry. Kiedy Clayton doszedł do tego momentu, przestałem oddychać. Było to pewnie śmieszne, ale znacie ten nastrój przy opowiadaniu historii o duchach! I to jeszcze po wieczerzy w starym, dziwnym domu pełnym cieni. Czy mimo wszystko zdarzy się z nim coś?

Stał tak przez ten zdumiewająco długi moment z rozłożonymi rękami i zwróconą w górę twarzą, ożywiony w świetle wiszącej lampy i pewny siebie. Przez ten czas wszyscy patrzyli w oczekiwaniu — wydawało się, że trwa to wieki. Wreszcie wydaliśmy niby westchnienie bezgranicznej ulgi, niby wyraz pewności, że nic się nie stało. NIC. Bo wizualnie nie zniknął. Wszystko to bzdura. Opowiadał kłamstwa i prawie nas przekonał. To wszystko. Wtem, w sekundzie, twarz Clayтона zmieniła się. Zmieniała się w taki sposób, jak zmienia się dom, w którym zgaszono nagle światła. Wzrok jego zatrzymał się, uśmiech zamarł. Stał, jeszcze stał, ale zaczął się lekko chwiać.

Ta chwila znowu była wiekiem. I w jednym momencie zaczęto odsuwać krzesła, rzeczy spadały; wszyscy rzuciliśmy się do przodu. Kolana Clayтона ugięły się jak podcięte i nagle runął przed siebie. Evans wstał, schwycił go w ramiona... Wszyscy oniemieliśmy, przez chwilę nikt nie mógł wykrztusić słowa. Widzieliśmy, a nie wierzyliśmy. Ocuciłem się z oszołomienia dopiero klęcząc przy jego boku, miał koszulę rozpiętą i Sanderson położył mu rękę na sercu...

Tak, ten prosty fakt, który dokonał się przed naszymi oczami, mógł teraz czekać na nasz osąd; było dosyć czasu, by to rozpatrzyć, zrozumieć. A jednak pozostał zagadką. Wtedy trwało to godzinę, a później, rozciągnęło się w pamięci na całe życie: ciemna, nieprzenikniona do dziś dnia zagadka. Clayton naprawdę przeszedł do innego świata, który jest tak daleki nam, a równocześnie tak bliski. Przeszedł tam jedyną drogą, którą człowiek śmiertelny przejść może. Ale czy przeszedł tam przez zaklęcia nieszczęsnego ducha, czy też został rażony apopleksją, akurat w trakcie tej bzdurnej historii (jak to nam wytłumaczył sędzia śledczy i sąd przysięgłych), tego nie wiemy, i nie jest moją rzeczą wydawać o tym werdykt. Pozostanie to jedną z wielu niewytłumaczalnych zagadek, która musi pozostać nie rozwiązana aż do czasu rozwiązania zagadki wszechrzeczy, które ma nastąpić. Wszystko, co z pewnością wiem i mogę powiedzieć, to fakt,

że stało się to akurat w momencie, gdy kończył przepisane ruchy; wtedy zmienił się zachwiał i upadł przed nami martwy.

Przełożyła *Janina Mroczkowska*

STANISŁAW BROSZKIEWICZ (1926 — 1984)

UPIÓR Z KILMARNOCK

Współczesny pisarz polski. Autor powieści i opowiadań, z których znaczna popularność zdobyły utwory związane tematycznie z Włochami i Szkocją, gdzie przebywał on podczas wojny („Taniec kogutów” i „Ballada z Rocca Lanciano”).

Nie ulega wątpliwości, że Pat Ferguson musiał czytać coś Emilii Bronte. Najprawdopodobniej były to „Wichrowe wzgórza”

— Więc powiadasz, Pat, że to ręka?

— Tak. ręka. Biała, długa ręka. Zimna.

Otuliłem się szczelniej pledem. Wiatr od Tarbett szedł chłodny i mocny jak spirytus. W takt uderzeń wichru chwiały się gwiazdy rozsypane szczodrze po niebie nad Highlandem. Siedzieliśmy przy ognisku we trójkę: Pat Ferguson, Kazik i ja. Spędzaliśmy z Kazikiem urlop włócząc się po najdzikszych zakątkach górnej Szkocji. Błądząc pasterskimi szlakami, Kazik czuł się jak w domu, urodził się bowiem i wychował w Sądecczyźnie. Wczoraj przybyliśmy tu, do Kilmarnock, małej miejsciny u stóp starego zamku, otoczonego nagimi skalistymi górami. Tu poznaliśmy Pata, który od razu odgadł w Kaziku górala i przyjął nas jak swoich, ustępując kąta w szałasie i przypuszczając do towarzystwa w skąpych posiłkach.

Stary zamek pamiętał czasy Cromwellowskiej rewolucji. Postawił go sobie ponoć duke Douglas za pieniądze otrzymane od Cromwella. Te pieniądze wziął, jak wiadomo, za to, że przeszedł ze swymi wojskami na stronę rebeliantów, opuszczając monarchę, któremu ślubował „oręż, majątek, życie doczesne i wieczne”. W pamiętnej bitwie pod Newcastle żołnierze księcia Douglasa uderzyli na tyły wojsk Karola przy jęku kobz i huku bębnow. A że bał się stary przechera zemsty górali, więc obwarował się potężnie.

Zamek niczym szczególnym nie wyróżniał się na pierwszy rzut oka — ot, wielka ruina w trudnym już do odczytania stylu, zamieszkała przez sowy i nietoperze. Obszerne martwe komnaty o kamiennych posadzkach pełne były wiatru sączącego się tysiędem dziur i szczelin. Jeden tylko pokój w południowej baszcie zachował się jako tako — stało w nim nawet coś, co dawniej było łóżkiem. Gdyśmy wspomnieli o tym Patowi, ten splunął z obrzydzeniem:

— Gdyby to łóżko umiało mówić...

— Ty, Pat, niby umiesz. Powiedz coś o tej ręce. A może to wcale nie ręka?

— Jak mówię że ręka, to ręka. Byli tacy, co widzieli. Długo potem nie pożyli.

Wtrącił się milczący dotąd Kazik:

— A może, Pat, to noga? Albo dajmy na to — pośladek?

Stary pasterz pokiwał przecząco głową.

— Trzeba być nie wiem jakim jołopem, żeby nogi od dupy nie odróżnić.

Było już późno, dochodziła dziesiąta. Siedzieliśmy w tą wrześniową noc przed szalasek Pata Fergusona i trawiliśmy kolację złożoną z kwaśnego owczego mleka i suto łojem kraszonych kartofli.

— A ta ręka to może dlatego, że Douglas zdradził, co? Niby boska ręka, Pat? Ale dziwi mnie dlaczego Szkoci posłuchali wtedy Douglasa. Ciekaw jestem, ile tej Cromwellowskiej forsy wypadło na łebka?

Pat pogrzebał patykiem w ognisku.

— Guzik wypadło, wszystko zabrał Thomas Douglas. oby go w piekle osrali. Zresztą Szkoci nie zrobili tego dla forsy. Nasi przeszli do Cromwella, bo my, Szkoci, jesteśmy rewolucjoniści. Karol był tyranem, a my nienawidzimy tyranów.

Kazik roześmiał się w głos:

— Nie bujaj, Pat. Szkoci jeszcze nigdy i nic nie zrobili za darmo. Zdradzili Karola, bo im Douglas obiecał dolę, a że dostali figę z makiem... widać niezbyt uparcie nadstawiali łapę.

— I teraz — podjąłem — ta łapa straszy w zamku Kilmarnock.

Ferguson popatrzył na mnie surowo i odwrócił się plecami. Burknął:

— Nie łapa, tylko ręka. Taka fajna, biała, długa kobieca ręka. Zimna jak lód. A kogo tylko dotknie...

— No dobra, ale skąd się wzięła? Był tu chyba jaki urodzaj na babskie ręce?

— Nie krępuj się, Pat — zachęcał Kazik — wal o tej ręce.

Pat westchnął głęboko, przeżegnał się nabożnie i zaczął:

— To było tak: jak ten stary drań Douglas osiadł w swoim zamku, to mu się coś w mózgownicy przekręciło. Zachciało mu się na starość bab, i to co młodszych. A że pysk miał jak Anglik dupę, więc żadna na niego nie chciała patrzeć. To on sobie radził w inny sposób. Jak zbój wypadał z zamku, najeżdżał wsie, porywał dziewczyny i uprowadzał na zamek. Po każdej takiej wyprawie niosły się z zamku na całą okolicę najpierw jęki i płacze, a potem śpiewy i śmiechy, widać dziewczuchy przyzwyczajaly się pomału. Raz porwał Douglas córkę jednego leśniczego, zrobiła się straszna awantura, bo przecie leśniczy to urzędnik królewski, nie? Więc co raz nadlatywali z Londynu gońcy z królewskim upomnieniem, a Douglas wieszał ich na baszcie, o, tej, za którą schował się księżyc. Potem jakoś wszystko ucichło...

Pat urwał, pomruczał coś do siebie i, wystukawszy fajkę o obcas, ciągnął dalej:

— Ta dziewczyna miała na imię Patrycja, a piękna była jak... jak... Bank Szkocji. Myślę, że ten stary cap kochał ją po swojemu, bo po pierwsze nie wypędził jej po paru tygodniach, jak to robił z innymi, a po drugie zazdrosny był o nią jak wściekły knur. Trzymał ją w zamknięciu, a jak wychodziła na dziedziniec, to musiała twarz chustką zakrywać. Za bramę nie puszczał jej wcale; być może, bał się, że ją porwą Mac Logganowie, bo ona przedtem była zmówiona z jednym z nich. Któregoś dnia przybył na zamek bratanek księcia, młody Cecil Douglas, syn Herberta, który zapił się na śmierć w Edynburgu. Przybył i został. Jeśli teraz dobrze ruszycie mózgownicami, to się domyślicie, co się stało. Cecil i Patrycja zakochali się w sobie jak pens w szylingu. Przypuszczam, że do niczego poważniejszego między nimi nie doszło, bo, jak już wam mówiłem, stary łąził za Patrycją jak owczarek za stadem. Aż raz... zdybał ich w korytarzu. Patrycja stała oparta o ścianę, a Cecil klęczał u jej stóp i całował ją w rękę. Kazał więc stary pryk oboje zasiec różgami na śmierć, ale przedtem odrąbać Patrycji tę zhańbioną dłoń. A potem przyszła kara boska: Mac Logganowie najechali Kilmarnock, zamek zdobyli, a starego Douglasa rozwłóczyli końmi na drobne kawałki, no i, rzecz jasna,

wszystko splądrowali. Bogiem a prawdą, to i nam, Fergusonom, coś z tego skapnęło, bo Logganowie zaprosili do rabunku całą okolicę, to szczodry klan. Powiadają Logganowie: „Bierzcie, bo to diabelskie mienie!” No to mój pradziad, jako człowiek pobożny, wziął na pamiątkę po swym panu mieszek francuskich luidorów, zakopany w oborze, trochę łachów i dwie jałówki. Ale kradzione, choćby nawet po bożemu, nie tuczy. Mój dziad przegrał wszystko w cetno i lichu na końskim jarmarku w Stuarton. A ta ręka...

Kazik słuchał opowieści jak ewangelii, nachyliwszy twarz nad ogniem. Połykał słowa Pata z zachłannością równą tej, z jaką dziadek Ferguson pętał jałówki Douglasa.

— Nie słyszałem jeszcze tej legendy — odezwał się, gdy Pat skończył.

— Tylko nie legendy — obruszył się Pat — to najszczęsza prawda!

— Taka sama jak ta, że Szkoci opuścili Karola tylko dlatego, że był tyranem.

Ferguson nastroszył brwi:

— Chcesz się przekonać?

Brrr... Przeklęty wiatr. Szczękając zębami zawołałem:

— Dość głupstw! Chodźcie spać, niedługo północ!

Pat roześmiał się jak puszczyk:

— To właśnie najlepsza pora dla niedowiarków. No jazda, chcesz iść do zamku i zobaczyć Białą Rękę?

Kazik zerwał się jak oparzony:

— A żebyś wiedział, ty serojadzie!

Wtrąciłem się:

— Jak chcesz to zrobić, Kazik?

— Całkiem po prostu, idę spać do zamku. Pożyczysz mi kozucha, Pat?

Ferguson siedział nieporuszony. Po jego zetlałych tęczęwkach skakały odblaski ognia.

— Well, Pat?

— Hmm... nie słyszałem jeszcze, żeby Biała Ręka rąbnęła komuś kozuch. Mogę zaryzykować. Dobra, przyjdziemy po ten kozuch rano i przy okazji zabierzemy twojego trupa.

— Myślisz może, że się boję?

— Ba, jesteś góralem, to się może i nie boisz. Ale jeśli mam być

szczerzy, to ci nie radzę. Żaden z tych, co widzieli Białą Rękę, nie żył potem dłużej nad miesiąc. Jeden tylko Henry Mac Stegger, ale on...

— Głupstwo. Idę do zamku!

Uważałem za wskazane wtrącić się znowu:

— Masz fioła, Kazik. Przecież to idiotyczna fanfaronada. Jeszcze rzeczywiście coś ci może dać w ucho.

— Nic mi nie będzie, mam spluwę. Dawaj kozuch, Pat, i dobranoc. Przyjdę na śniadanie.

Sprawdził bębenek w rewolwerze, zarzucił sobie kozuch na plecy i poszedł w stronę zamku. Długo patrzyliśmy za nim w ciemność.

Wreszcie Pat mruknął:

— Chodźmy spać, w razie czego sam sobie będzie winien. W każdym razie nie ja go namówilem.

Choć miałem co do tego niejaki wątpliwości, kiwnąłem głową. Ciężkie powietrze szałasu siadało mi na powiekach. Nie wiem, jak długo spałem. Obudził mnie Pat.

— Słyszałeś?

— Co?

— Coś niedobrego. W chmurach albo niżej, czy ja wiem? A może to...

— Co?

— Może on tam już sztywny? Biała Ręka jest silna jak byk z hodowli Jamesa Gotree...

— Pat! Bardzo cię lubię i wdzięczny ci jestem za te kartofle z łojem, które teraz wlażyły mi w wątrobę, ale jeżeli nie przestaniesz...

Pat cofnął się do drzwi szałas. Zasłonił je sobą. Teraz dopiero spostrzegłem, że oddech ma świszczący, że jego chuda pierś podnosi się spazmatycznie i omal nie rozsadza szwów zasmolonego serdaka.

— Gdzieś ty biegał, Pat?

— Na pomoc. Na Lucyfera, jestem przecież chrześcijaninem, no nie? Jak nie wierzysz, to sprawdź w parafii w Oach. Tam mają zapisane. Organista jest oblatany w tych świstkach i na każde żądanie...

— Pat, daję ci chrześcijańskie słowo, że jeśli nie przestaniesz... — Urwałem nagle, bo i mnie udzielił się pełen grozy nastrój niepokoju o Kazika. — I co?

— Przecie mówię. Wyszedłem, bo się obudziłem. A na dworze nic tylko chmury i wiatr, wszystko się kłębi. Ale ja nic, idę. Po

omacku doszedłem do bramy, przebrnąłem przez dziedziniec i zmacałem nogą schody do baszty. I... tam jest cicho...

— No to w porządku.

— W porządku? Ostatecznie to twój przyjaciel, nie mój. Jak uważasz, że wszystko w porządku...

— Mów, Pat.

— Ty akurat dasz mówić... — Umilkł na chwilę i wsłuchiwał się trwożnie w wiatr, który podwyższył lot i rozdzierał się z gwizdem o wierzchołki gór.

— Było mi już wszystko jedno, więc lezę po tych schodach i kombinuję sobie w duszy tak: święty Patryk, mój patron, ma wszystkie powody, aby uważać mnie za ostatniego łotra. Ale sam byłby niezgorszym hultajem, gdyby pozwolił, aby mnie Biała Ręka zdzieliła w pysk... I wtedy, na schodach...

— Biała Ręka? — spytałem i zrobiło mi się zimno.

— Tak. Wyraźna w tej mgle biała ręka o babskich paluchach, które nie znają roboty. Zamigotała mi przed oczami, jakby chciała powiedzieć: „Wróć się, chamie, bo ci ten kinol z pyska zdejmę”. To było dość przekonujące, więc, ma się rozumieć, ścisnąłem półdupki i chodu.

— Pat. My tam musimy koniecznie iść. Jeszcze raz. Trudno. On, Kazik, tam...

— Ty pójdziesz?

Podrapałem się w głowę.

— Ja? Oczywiście, ale bo to ja znam drogę? Moglibyśmy ostatecznie iść we dwójkę, ale w tej ćmie wlecimy na siebie i połamiemy sobie gnaty. Trudna rada, Pat, musisz iść sam i przyprowadzić go tutaj.

— Musiałbym wpierw zeżreć żywcem wszystkie moje barany.

— Ależ, Pat, jemu trzeba pomóc.

— Jasne. Róbmy więc, co możemy. Wołajmy głośno, że jesteśmy przy nim w tę godzinę upiornej śmierci. Zawsze będzie mu lżej.

— Usłyszysz?

— Umierający słyszy lepiej niż każdy inny.

Uchyliłszy drzwi szalasu i w chłodny świszczący mrok darliśmy się po angielsku i po polsku ostrożnym, skupionym wrzaskiem otuchy. Kiedy zachrypliśmy, Pat wyszeptał:

— Koniec, nic więcej nie możemy zrobić. Sam sobie winien. Ma

on ojca albo matkę?

— Tylko matkę.

— To lepiej. Kobita się wywrzeszczy, ale zawsze łatwiej przetrzyma. Kiedy zabili na wojnie Dicka Rogersa, to...

— Pies tańczył z twoim Dickiem Rogersem. Ale masz rację, nic więcej nie możemy zrobić. Kładźmy się spać.

Pat spojrział na mnie zgorzony, ale że usta rozdarły mu się od ucha do ucha, westchnął i zwałił się na pryczę.

Nadymając się jak tylko mogłem, wykrzesalem z oczu dwie mizerne łzy i szepnąłem:

— Trzymaj się Kazik, tam, gdzie jesteś. Ostatecznie za osiemdziesiąt lat zobaczymy się znowu...

Usnęliśmy.

Obudził nas Kazik. Stał w drzwiach szałas i gwizdał „Karpacką Brygadę” przytupując sobie do taktu. Zerwaliśmy się z legowisk.

— Ty żyjesz?!

Ziewnął serdecznie.

— Żyję. Nie powiem wam, z kim, bo to was guzik obchodzi, ale żyję. I żyć mi się chce.

Pat szedł ku niemu jak tygrys skradający się do antylopy, dopadł go wreszcie. Obmacał starannie, zajrzał głęboko w oczy, odstąpił krok i wyszeptał:

— Żyje, pieska jego mamusia. — I nagle wrzasnął: — Jakim prawem?! — A potem kiwał z niedowierzaniem głową. — Może ty znasz jakieś zaklęcie na Białą Rękę, co? Mów!

Kazik wszedł do wnętrza szałas. W wąskim prostokącie drzwi ujrzeliśmy bladobłękitne niebo, wsparte na ostrych filarach górskich szczytów.

— Biała Ręka? Nawet mi się nie przyśniła. Szczury i nietoperze, owszem, były. Było też zimno jak w psiarni. I nudno...

Pat chwycił siekierę i wziął się do wściekłego rąbania drzewa na podpałkę. Stękał i rzeźił z wysiłku, a sina tafelka ostrza zataczała szybki, świetlisty łuk.

— Więc nie widziałeś Białej Ręki Na pewno będziesz to wszędzie rozpowiadał, będziesz przy każdej okazji łągał jak wściekły pies, żeś nie widział, że to bujda, prawda?

Kazik podniósł pokrywkę garnka i wachał w ekstazie resztki wczorajszej kolacji.

— No bo bujda. Właściwie mógłbyś, Pat, coś oryginalniejszego wymyślić.

Pat przestał rąbać drzewo i wpatrzył się w ostrze siekiery.

— Nie jesteś pierwszy, co tak mówi. Dwa lata temu był tu jeden picuś z Londynu. On też schodził w dolinę w przekonaniu, że Biała Ręka to mój wymysł. I tak długo bluźnił w swoich parszywych myślach, aż Biała Ręka dopadła go w jasny dzień, w wąwozie, za potokiem. Powiadam wam, chłopaki, że łeb miał rozplątany naukowo, aż do grdyki.

Kazikowi zwężyły się oczy Rzekł jakby do siebie:

— Łzesz, Pat. A jeśli nawet nie łzesz, to ja jestem o moją głowę dziwnie spokojny. U mnie, widzisz, grdyka jest cholernie daleko od czoła. Poza tym mam w spluwie siedem sztuk amunicji, a ty, choć jesteś gość dosyć chudy stanowisz przecież jaki taki cel...

Pat rzucił siekiere na ziemię i rozplakał się. Stał pochylony nad piecem, a duże starcze, bezradne łzy biegły po jego chudych policzkach i zawisały na brodzie.

— Ej, Pat!...

Chlipnął i otarł oczy wierzchem dłoni.

— Siedzę w tym zadupiu od wielu lat. Jestem sam jak palec. Niby jest ze mną Bóg, ale z nim przecie trudno gawędzić o czymś innym niż o wiekuiestej szczęśliwości. Jeśli tu ktoś trafi, to albo przypadkiem jak wy, albo dlatego, że słyszał piąte przez dziesiąte o Białej Ręce. Na świętego Patryka! Przecie ty musiałeś widzieć Białą Rękę! Nie bądź ostatnim sukinsynem i przyznaj się! Co ja ci właściwie złego zrobiłem? No powiedz sam, widziałeś ją, prawda? Ja wiem, że jesteś cholernie odważny, ale tym razem bałeś się i modliłeś się na głos, i robiłeś w portki, i włosy ci dęba stawały. No powiedz, było tak czy nie?!

Pat złożył ręce jak do modlitwy. W jego oczach lśniło szaleństwo, błaganie i jakaś pełna pokory groźba.

Kazik odstawił garnek i usiadł na zydlu. Wbił oczy w podłogę, zagryzł wargi. Chciałem krzyknąć na niego: — Gadaj! — Wtem podniósł głowę, ominął wzrokiem nieruchomą, zastygłą w żebraczej pozie postać Pata i popatrzył na mnie przeciągle.

— Jestem świnia, Pat — powiedział głucho — Świnia i tyle. Chciałem zrobić z ciebie balona, ale ty przecież wiesz lepiej. Tak. Widziałem ją. Białą Rękę. Widziałem ją, jak was tu teraz widzę. I... —

przesunął palcami po powiekach — i przyznam się wam, że wolałbym diabła zobaczyć. Nie miałem nawet siły pociągnąć za cyngiel. Nie! — wrzasnął i zerwał się z zydlą. — Niecee!!! — zaciągnął przeraźliwie, skoczył do Pata, schwycił go za klapy kaftana, potrząsnął. — Niech cię szlag trafi, Pat! Jak ty tu możesz wytrzymać?!

Pat nie odpowiedział. Delikatnie zdjął z szyi palce Kazika, padł na kolana przy drewnianym wystającym spod pryczy kuferku, podniósł wieko i długo szperał w środku. Wydobył wreszcie pękatą butelkę, wypełnioną w trzech czwartych jasnożółtym płynem. Spojrzał na nią pod światło.

— To jest Old Scotch — powiedział — tego nigdzie teraz nie dostaniecie. Po takiej nocy należy ci się łyk. Wam obu. Możecie zresztą wypić wszystko Więc powiadasz, że jest wąska i biała? I żeś o mało hyzia ze strachu nie dostał? No tak, to by się zgadzało...

SPIS TREŚCI

Wilhelm Hauff — „Opowieść o statku upiorów” przełożyła <i>Emilia Bielicka</i>	02
Edward G. E. Bulwer-Lytton — „Duchy i Ludzie” przełożyła <i>Zofia Uhrynowska</i>	07
Friedrich Gerstäcker — „Germelshausen” przełożyła <i>Maria Gero-Rożniewicz</i> 27	
Mikołaj Leskow — „Zjawa w Zamku Inżynieryjnym” przełożyła <i>Irena Bajkowska</i> 41	
Oscar Wilde — „Upiór z Canterville” przełożyła <i>Jadwiga Kornilowiczowa</i>	49
Herbert G. Wells — „Niewydarzony duch” przełożyła <i>Janina Mroczkowska</i>	66

Zamieszczone w tomie utwory zaczerpnięto z następujących publikacji:

„Czarny pajak” Opowieści niesamowite z prozy niemieckiej, PIW, Warszawa 1976, Fantastyczne opowieści” WL Kraków 1975, „Opowieści niesamowite” PIW Warszawa 1975, „Opowiadania angielskie XIX wieku” NK Warszawa 1971, „Upiorny narzeczony” „Iskry” Warszawa 1967, Stanisław Broszkiewicz: „Taniec kogutów”. „Śląsk” Katowice 1972.